

Stanisława Fleszarowa-Muskat:Czarny warkocz.

Opowiadania.

Opracowanie graficzne Piotr PIÓRKO

YS^

Akc. W

KC. ^j U

ISBN 83-86181^2-7 Copyright by POLNORD - Wydawnictwo OSKAR, Gdańsk 1999

Przyszedł z morza

- Jeśli to jest możliwe - powiedział.

Przyszedł z morza, nie wiadomo skąd, przez tydzień patrzył na nią, wpierając w nią ciężkiej uparte spojrzenie mężczyzny, który nagle nie chce nic, ani słońca, ani wody, ani wiatru na czole, chce kobiety i mówią o tym jego oczy wyraźniej niż najprostsze słowa i ostrzej niż głos.

- Jeśli to jest możliwe - powtórzył.

- Nie, to nie jest możliwe - odpowiedziała.

Stał przy bufecie, opierając się na nim, ale łokcie jego były gotowe do odlotu, jak skrzydła ptaka, który nie wie, czy zatrzyma się dłużej w miejscu, gdzie wypadło mu przystanąć.

Przez ramię miał przewieszoną torbę - taką, jaką noszą zwykle ci, których cały dobytek mieści się w torbie i wędruje z nimi przez morza i lądy lekkie, niemęczący towarzysze.

Więc przyszedł z morza, nie wiadomo skąd, i zadał jej pytanie.

Odpowiedziała: - Nie, to nie jest możliwe - bo wydało jej się zbyt wielkim, zbyt szalonym szczęściem, żeby on zwyciężył, żeby przyszedł sobie z morza, nie wiadomo skąd.

i dostał ją jak pierwszą lepszą z ulicy albo taką, której nikt jeszcze nie pragnął.

Niechby nie był taki pewny siebie, niechby w oczach miał trochę pokory, trochę szacunku i pamięci o tym, że po tej stronie nabrzeża nie było lepszego, bogatszego, czystszej, weselszego, pachnącego lepszym rumem i tytoniem baru jak ten, w którym ona stała za kontuarem.

Nie, nie myślała o tym, myślała tylko o niej, widziała tylko siebie w jego oczach, kiedy patrzył na nią z bliska - z czystą, nierozumną oderwaną odświatałością człowieka, który nie mając nic, chce mieć nagle wszystko, uważa, że ma dotychczas prawo, ofiarowując w zamian siebie.

Siebie!

Powinna była zrozumieć, co to znaczy, ale nie rozumiała, wtedy jeszcze nie rozumiała. Wydał jej się szalony - tak, szalony - i choć krew napływała do głowy od tego szaleństwa, postanowiła dać mu nauczkę.

Nie, to nie jest możliwe - odpowiedziała jeszcze raz, a on poprawił swoją lekką torbę na ramieniu, dotknął palcem kapelusza przez chwilę jeszcze patrzył na nią, na nią całą, taką, jaka była i jakasobie wyobrażał, jakiej nie dostał i jaką chciał mieć - patrzył, a potem odwrócił się i nie zawołała go, pozwalając mu odejść.

Trzy, cztery, pięć kroków do drzwi - szerokie plecy podspłowiła kurtką, torbana ramieniu, brązowy, nisko zarosnięty kark własnietał powinien się to skończyć, klamkapod mocną dłońią, cichy trzask zamkai uspokojenie, znowu piwow kuflach, znowu spokojny uśmiechi wzrok błędzący wśród zakurzonych stateczków pod sufitem.

I nagle życie zrobiło się zupełnie małe.

Otwierane i zamykanewschodami i zachodami słońca, między któryminic się nie mogłozdarzyć, ponieważ wszystko, co mogło sięzdarzyć, już się zdarzyło.

Przychodzili mężczyźni i opierali łokcie o bufet (ale łokcie żadnego nie były skrzydłami ptaka), imówili: Mario!

Jesteś piękna!

Jesteś młoda!

Nie można przez całe życie patrzeć w drzwi.

Mamwdomu łóżko na dwoje, apod łóżkiem skrzynkę zpieniędzmi, wyciągnij dłoń, zobacz, jak pełna jest moja sakiewka,-, Przychodzilimężczyźni, opieraliłokcie o bufet (to wciąż nie były skrzydła ptaka) i mówili: Mario!

Jesteś jeszczepiękna!

Jesteśjeszcze młoda.

Nie zwróciła oczu ku żadnemu z nich, nie wyciągnęła ręki, żebydotknąć ich sakiewek. Zadużo mieli ze sobą, za mało siebie - niezrozumieliby, gdyby im to powiedziała.

Było już o wieleza późno,kiedy przyszedł drugi raz.

Niedorobił się niczego przez te wszystkie lata.

Miał ten sam stary kapelusz, wypłowiła kurtkę i tę samą lekką torbę przewieszoną przezramię.

A może był to już inny stary kapelusz, inna wypłowiła kurtka i innalekka torba, kryjąca niezasobny dobytek.

Może ani razu nie zachodził do tego portu, a może tylko do tego baru - teraz był tu, ale to nie oznaczało powrotu.

Przyszedł się tylko napić i kiedy patrzyła na niego, zaczął ogarniać ją strach, że przedtem nigdy go tu nie było, że zamiast niego były setki itysiące takich jak on - przychodzących z morza; niewiadomo skąd, w wypłowiłych kurtkach, z lekkimitorbami na ramieniu, że patrzyła na nich tak długo, aż przestała widzieć innych, tych, których łokcie oparte o bufet nie były gotowe do odlotu.

Powinna była może zapytać, czy był tu kiedyś, czy postawił jej to pytanie?

Nie zrobiła tego.

Niezatrzymała go, nie zawołała, gdy pozwalając jej patrzeć na swoje szerokie plecy i na swój brązowy kark, zbliżał się ku drzwiom.

1963

,

Małe, nagie piskłę

Juliuszowi zapisywał oprawny w czerwony safian tom // Canzoniere Petrarki.

Nieraz, podczas częstych wizyt przez wszystkie lata, Juliusz brał go w rękę i - nie otwierając - cieszył się samym dotykaniem cienkiej, miękkiej skóry; jego palce, zawsze zażółcone spalanymi do końca papierosami, długie i nerwowe, w przedziwny jakiś sposób - kontrastując - pasował do tej podniszczonej, zużytej, ale wciąż świetnej oprawy.

Tak, to był najlepszy zapis dla Juliusza.

Wyobrażał sobie, jak się zdziwi.

Pomyśli: aż tyle, czy - tak mało?

Kupili ten tomrazem uulicznego antykwariusza weFlorencji.

Lato było tego rokuupalne, jużkiedy wyjeżdżali z Warszawy, lipcowy skwar wydawał się nie do zniesienia, w starych murach Florencji nie było czym oddychać,ale ichto upajało zamiast męczyć.

Mieli po dwadzieścia pięć lat i własna młodośćbyła cudownympunktemodniesienia dowszystkich zachwyków, jakie budziło zapchane gromadzoną przez wieki pięknnością miasto. Myśląc potemnierz o tymmłodymflorenckim lecie z Juliuszem, zaczynałrozumieć, dlaczego podróże, które odbywał w późniejszymwieku,kończyły się zawsze znużeniem i smutkiem. Całkiem niedawnouciekł prawie z hotelu wGrenadzie na widok wycieczki starychAmerykanek, wysypujących się z autokaru.

To wycieczka się wysypywała -gdyby byłpoczątkującym pisarzem, w wydawnictwiepoprawiono by mu ten błąd, gwoli poprawności gwałcąc prawdę: botoprzecież jednak onsię wysypywały, stare, ale przerażająco żwawe, wnienaganych fryzurach i kostiumach, obwieszone aparatamifotograficznymi i kamerami - żarłoczne turystki, pragnące na starośćnajeść się świata, choć wiedziały,musiały wiedzieć, że za mało czasuzostało im na to, żeby go dobrze przeżyć.

Stare miasta, starekamienie, rzeźby i książki piękniały w młodych oczach; nie przyćmiewałspojrzani nanie żal zrodzony zmyśli o tak szybkim,o wiele szybszymprzemijaniu człowieka - młodziludzie o tym.

ludziom wydaje się (i to jest najpiękniejszą w młodości), że będą żyć wiecznie.

Im się wlasnietał wydawało, jemu i Juliuszowi, gdy przy Ponte Vecchio, w słońcu i średniowiecznym pyłe Florencji kupowali oprawy w czerwony safian tom Petrarcki. Znad zielonej wstęgi Arnowiał po raz pierwszy od wielu dni wiatr, orzeźwiający, pachnący urodzajnymi polami Toskanii.

- Weźmy ją - powiedział Juliusz.

Trzymał w uniesionej ręce książkę, jego palce były smagłe, nie przyswędzone jeszcze ogniem papierosów, a on już wtedy wiedział, że nigdy nie dozna równego szczęścia z czyjejś obecności.

Juliusz resztą nigdy się o tym nie dowiedział, przemilczał to przed nim, a radość tego - jakby była ofiarnym wyrzeczeniem - stała się jeszcze pełniejsza.

Później miewała inne, częstei niezbyt długotrwałe przyjaźnie, zawsze pełne namiętne go pragnienia wyłączności, jakby chodziło o inny rodzaj uczucia, bardziej zaborczego niż przyjaźń.

Zerwania kończyły je równie gwałtownie, po jakichś - urojonych niekiedy - zaniedbaniach, nieusprawiedliwionych milczeniach, lub - czasem - dla równie porywczej świeżej przyjaźni. Do Juliusza jednak zawsze wracał, do czynionych mu zwierzeń, do rozmów, które z kim innym nie byłyby w ogóle możliwe, do porozumień w pół słowa, w pół spojrzenia, w pół śmiechu, do niespokojnej, burzliwej radości, jaką sobą wnosił.

Tak mało - czy aż tyle?

pomyśli.

Odłożył pióro i przeciągnął się w fotelu.

Trzeba było teraz zająć się sprawami najważniejszymi i jakoś nie mógł się do tego zabrać. Nie budziły wspomnień, do których chciałby wracać - zilu ludzi miałyby się piękne wspomnienia, gdyby rozstania następowały wcześniej: przed zniechęceniem i znużeniem, przed mordem, który w końcu zadaje się miłości.

W domku naprzeciwko, o którego budowę miał nawet pretensję do władz miejskich, ponieważ zasłaniał mu widok - kobieta w fartuchu bez rękawów myła okna.

Była to wdowa po kolejarzu, który odziedziczywszy jakiś skromny spadek, wybudował ten dom, a wkrótce potem zachorował i umarł, zostawiając gożonie.

Zdążyli spędzić w nim za ledwie pół roku wśród sycącego posiadaniem szczęścia, dla niego już zapewne pełnego wysiłku.

- Teraz wdowa myła okna.

Stojąc na parapecie wychylała się na zewnątrz a wiatr rozwiewał połę jej nie dopiętego na kolanach fartucha.

Nogi miała gołe, tak samo jak ramiona - dzień był ciepły i słoneczny, przyjemnie chyba byłoby tak w oknie, w łagodnym przewiewie chłodzącym ciało.

W

Tak myślał - tak myśląc, wypoczywał - ale trzeba było wreszcie zabrać się do tych spraw najważniejszych, skoro chciał raz z tym skończyć, skoro chciał mieć to już za sobą. Dom i prawa autorskie zapisywał Róży Dorocie, żadna nie była już jego żoną, mógł więc uczynić to ze sprawiedliwego dystansu, oceniając bez żalu rozczarowania, jakimi go obdarzyły i jakich on - zapewne - także im nie poskąpił.

Żadna z nich nie znaczyła więcej w jego życiu i ten równy podział mógłby wreszcie doprowadzić je sprowadzić je ze wzniesień zbyt wielkich wyobrażeń o sobie - do kapitulacji wyrównującego wszystko pojednania.

Było to konieczne nie tyle dla zachowania godnej i spokojnej pamięci o nim, czego miał prawo się spodziewać, ile dla prostego i złośliwego faktu: dom - nie przewidziany przez architekta do podziału między dwu użytkowników - miał jedną tylko łazienkę.

Musiał się jednak uśmiechnąć namyśl o tym, jak się będą mijać na schodach, z jakim wyrazem twarzy spotkają się w drzwiach, jak wreszcie zaczną się kłócić, zapomniawszy o tym, kim są, a raczej - kim nigdy nie były.

Zawstydził się, że była to jedyna uciecha.

Jakie mógł jeszcze doznać, odwrócony już od świata, zdumiony próżnią, z której niczego nie można już było zaczerpnąć.

Wszystko, co go tak cudownie syciło w życiu, co karmiło jego myśli i uczucia, wydawało mu się teraz suche, budzące bezustanną czczość, przerażająco bezbarwne, bezwonne i łykowane. - I w tej ogromnej jałowości nagła, soczysta uciecha z pospolitej myśli o kłótniach tych kobiet.

A ta naprzeciwnie, wciąż stojąca na parapecie okna, upuściła ścierkę.

Krzyknęła cicho, może nawet zakląła, to drugie wydało mu się bardziej prawdopodobne, gdy na chwilę zobaczył jej twarz - odgarnąwszy zczoła spadające na nie włosy jęzłazić z parapeetu, w rozchyleniu fartucha zajaśniały na chwilę zdrową różowością jej krzepkie uda.

Ujrzał ją po chwili na dworze; jakaś jakby mniejsza niż w oknie, zaczęła szukać swojej zguby w krzakach bzu rosnących pod oknem, a znalazłszy ją, zniknęła w drzwiach domu - dlaczego czekał, dlaczego tak bardzo czekał, aż znowu pojawi się na parapecie, jak nasienie tylko dla niego grającego teatru, całkowicie nieświadoma daru, jaki mu przekazywała w tej tak trudnej dla niego godzinie.

Ile razy w życiu otrzymał coś bezinteresownie, ile razy nie musiał płacić - wcześniej czy później - za to, co otrzymał, a czego czasem nawet nie pragnął?

A teraz czekał po raz pierwszy na coś, po czym na pewno nie będzie rachunku.

Była tam wreszcie!

Włazła na parapeetę trzymając się silnymiramionami ram okiennych, wypłukała ścierkę w kuble, wyżeła ją.

starannie, a potem roztrzepała kilkoma energicznymi wstrząśnięciami ręki.

Przypatrywał się temu z uwagą, która jednak nie bolesną.

Na bosych stopach miała domowe pantofle bez pięt, zupełnie płaskie - jego wszystkie kobiety nosiły wysokie obcasy, stawały się przez to jakby lżejsze, taneczne w biodrach - ta miała Jakąś statyczność, przylegliwość do ziemi, do miejsca, w którym stała i w dziwny sposób nie odbierała jej to lekkości.

Powoli odwrócił głowę i skierował znów wzrok na leżący przednim papier.

A więc Róży i Dorocie po połowidom i prawa autorskie.

Och, pomyślał, prędzej!

Kończmy z tym!

Znowu poczuł jałowość, całą suchość, całą łykowatość życia.

To, co napisał, co pisał przez długie lata - jeśli nawet przydawało się na coś ludziom - wydało mu się kupą papieru, która wchłonęła, która wysssała z niego wszystkie soki, aby stworzyć pozór prawdy w wytwarzanych przez niego istnieniach, dać im oddech, myśli i uczucia i tę okrutną samodzielność, przerażającą go, gdy nie mógł jej opanować.

Onemiały żyć, przejęły z niego całą siłę i swoją długowieczność i trwałość, podczas gdy on, gdy jemu.

gdy w nim wygasło.

W ogrodzie, tuż pod oknem pokoju, w którym siedział, odezwał się jakiś cichy głos.

Ptasie kwilenie, nawoływanie, ptasi płacz?

-Zaczął nasłuchiwać, ale dźwięk już się nie powtórzył.

Podczas gdy on.

Cóż on.

Kiedy człowiek dochodzi do punktu, w którym nudzi go myślenie o samym sobie, powinien wiedzieć, co ma uczynić i powinno mu się to wydać sprawą tak prostą, jak odwrócenie wzroku od obrazu, który przestał zdumiewać i cieszyć.

Słaby głosik pod oknem odezwał się znowu.

Wyraźnie wzywał ratunku przerażonym swoim dźwiękiem, wołał o pomoc w tej dziwnej, kwilącej mowie.

Kto miał ją zrozumieć?

Trawa wokół podokiennej grządki?

Liście dzikiego wina na murze?

Krzak jaśminu?

Człowiek?

Dźwignął się ciężko z fotela, podszedł do okna, przechylił się przez parapet.

Na grządce, w cieniu rozłożystej piwonii, leżało małe, nagie pisklę, nieopierzone

jeszcze całkowicie dziecko szpaka czykosa, a może jaskółki - nie znał się na tym.

Patrzyło na niego przerażone, az żółtego, szeroko otwartego dzioba wydobywał się ów dźwięk panicznego alarmu, wielki płacz nacałe ptasie gardło.

Skąd się tu wzięło?

Może matka przynosiła je z gniazda, które z jakichś powodów przestało być bezpieczne, w inne, bardziej pewne miejsce i upuściła je w locie?

A może uczyło się już latać i zabrakło mu siły między rodzinną gałęzią a szczytem dachu, który przewidziany był jak meta dla latań ćwiczebnych tego dnia?

W końcu, nieważ

ne z jakiego powodu, leżało teraz pod piwonią i całe było przerażeniem, nagą bezsilnością, czekaniem na ratunek.

Ogarnęła go panika - trzeba było coś zrobić, aleco?

Każdej chwili mógł zjawić się kotsiadów, zwabiony kwileniem.

Ci, którzy mogą być zjedzeni, powinni siedzieć cicho, ale pisklę o tym nie wiedziało.
- Otworzył drzwi do tarasu i wyszedł do ogrodu.

Dzień był cudowny, ale nie pozwolił sobie na żadne zachwyty; na chwilę tylko oświadczył, że wiosna nie była najlepszą porą do rozliczeń z życiem, kryław sobie tyle podstępów i gdyby się nie mieć na baczności, ustalone -trwałe, jakby się wydawało - oceny, mogły ulec nagłemu zachwianiu za byle podmuchem pachnącego wiatru, za najbliższym.

Pisklę odezwało się znowu.

Nie, nie mógł go zostawić na grzędce, w otwartym polu wszelkich niebezpieczeństw, nawet słońce mogło je zabić przypiekając zbyt silnie małą, łusą głowę.

Schylił się i wyciągnął rękę.

Sądził, że pisklę przestraszy się, cofnie, spróbuje ucieczki- ale ono patrzyło na niego ufnie i wyraźnie czekało, żeby Jewziąłw dłonie i uniósł z ziemi.

Uczył to ze wzruszonym zdumieniem ostrożnie, uważnie patrząc pod nogi, ruszył powrotem do pokoju.

Tu rozejrzył się za miejscem dla ptaka: na biurku - do którego miał zamiar za chwilę zasiąść dokończenia tego, co dokończyć postanowił- nie miałoby spokoju, opodal pod ścianą stała mała egipska stolik, kładł na nim pudełka z papierosami, gdy ktoś go odwiedzał, teraz mogło tam zamieszkać pisklę, gdyby na intarsjowanym blacie uwił mu ciepłe gniazdko.

Pobiegł do przedpokoju i ściągnął z wieszaka swoją włóczkową czapkę, którą nosił podczas spacerów po kolicznych polach.

Kiedy ją nieco pomniejszył, zawijając jej brzegi, była naprawdę jak przytulne gniazdko i pisklę od razu potrafiło to ocenić.

Rozgościło się w nim z jawną ulgą i przymknęło powieki, jakby zmorzył je nagły sen pozbyt gwałtownych przeżyciach. Na palcach wrócił do biurka, pochylił się nad papierem. Na czym to skończył.

Tom Petrarcki dla Juliusza (aż tyle, czy, tak mało?)

) domi prawa autorskie po połowie dla Róży i Doroty.

Ale tego jeszcze nie napisał, uciecha z ich przyszytych babskich kłótni, na które Jeskazywał, odsunęła sformułowanie zapisu.

Właściwie.

dla czego wyobrażał sobie, że będą się kłócić w tym domu?

Po prostu sprzedadzą go za dobre pieniądze jakiejś ambasadzie i śmiać się będą z złości, z tej cennej, a nie udanej złości, jaką pragnął im wyrządzić.

To one będą uciechą.

Z miękkiemu gniazdku włóczkowej czapki, którą od tylu lat nosiła swojej zmęczonej głowie, dobiegł cichutki, przepaszający ją.

by piśniece - bardziej znak życia, niż prośba - ale on zerwał się odbiurka z dawno nie zaznaną radością natychmiastowego jej spełnienia.

Oczywiście, pisklę byłogłodne!

Jakże mógł o tym nie pomyśleć!

Pobiegł do kuchni, pokruszył kawałek bułki i białegosera, ponamyśle także plasteryk kielbasy.

Podał to wszystkopiśniece, jak właściciel restauracji, zabiegający o dobre samopoczucie klienta - pisklę jednak nie ruszyło jedzenia.

Podsunałmu talerzyk pod samdziób, odwróciło głowę.

Skąd mógł wiedzieć, czy modzywiało się do tąd?

Muszki!

przypomniał sobie we wszystkich okrutnych wierszykach dla dzieci, które czytano mu w dzieciństwie, ptaszki jadły muszki!

Stanął w oknie i zaczął czyhać na te nieszczęsne stworzenia.

Nie odważył się jednak wyciągnąć ręki, gdy znalazł się w jej zasięgu, jakiś nagły szacunek dla najmniejszego nawet życia sparaliżował mu ruchy.

Ale pisklę odezwało się znowu, tymrazem śmieiej, z pretensją, a gdy zbliżył się do niego, patrzyło muw oczy z pełnym wyrzutem oczekiwaniem.

Ogarnął go popłoch.

Byłogłodne, bardzo głodne - może nie jadło od kilku godzin i teraz zemrzetu zgłodu na jego oczach, a on nie potrafi go nakarmić, nie potrafi uratować!

Powinien wrócić do biurka, zakończyć to, co pisał i to, co zamierzał potem - ale pisklę chciało jeść, pisklę chciało żyć inie miało w tej chwili na świecie nikogo poza nim.

Otworzył gwałtownie drzwi od tarasu, podbiegł do ogrodzenia wzdłuż drogi.

Kobieta naprzeciwko kończyła właśnie mycie okna, wytarła szybę dosucha i przyglądała się jej pod światło.

- Proszę pani!

- zawołał, a zabrzmiało to, jakby toon teraz wzywał ratunku, nie małe, słabe pisklę, ale silny mężczyzna, szukający pomocy.

- Nie wie pani czym karmi się nie opierzone jeszcze ptaki?

Odwróciłaku niemu głowę zdziwiona.

Nie rozmawiali dotąd z sobą, nie wymieniali nawet sąsiedzkich pozdrowień.

- Cotakiego?

- zawołała.

- Małe ptaki!

- powtórzył.

- Znalazłem pisklę w ogrodzie - Comudać jeść?

- Bo ja wiem?

- powiedziała.

Wrzuciła ścierkę dowiadra, zapięła fartuch na kolanach.

- Może chleba?

- Dałem.

Nie chce jeść.

Zdechniez głodu.

- Małym kurczętom daje się posiekane jajko na twardo.

- Odgarnęła włosy z czoła i nie wiadomo dlaczego uśmiechała się przez chwilę.

- Chce pan?

Ugotuję i przyniosę.

- Och, proszę!

- zawołał żarliwie.

-Bardzo proszę!

- Zaraz tam przyjdę do pana- krzyknęła.

Wrócił do domu i czekał z radosną niecierpliwością.

Siadał, wstawał, chodził od drzwi do okna i z powrotem, a pisklę wodziło za nim wzrokiem, kręcąc w obydwie strony małą, łysą głową.

Przyszła wreszcie.

Na szklanym spodku niosła posiekane jajko, dmuchając na nie po drodze.

- Jeszcze trochę gorące wytłumaczyła.

Pokazał jej pisklę.

Pochyliła się nad nim i od razu parsknęła śmiechem.

- Ojeju!

- zawołała.

-Takie gniazdko mu pan zrobił!

Z mojej czapki - zawstydział się.

-Z mojej starej czapki.

- Widzę.

Nosi ją pan, odkiedy tu mieszkam.

Zawsze pan chodzi na spacer w tej czapce.

- Zauważyła pani?

-- Jak się wygląda przez okno, to się niejedno zauważy -Zamyśliła się.

-Zrobiłabym panu nową.

- Naprawdę?

- szepnął.

- Dlaczego nie?

No, jedz!

- pochyliła się znów nad pisklęciem.

-A wody mu pan nie dał?

- Nie - powiedział ze skruchą.

-Najpierw trzeba byłoby dać mu wody.

- Rozglądnęła się.

-Gdzie jest kuchnia?

- Tam - wskazał i pobiegł za nią, gdy ruszył w tym kierunku.

-O! -zatrzymała się na progu kuchni.

Straszny bałaganu pana.

-Kobieta do sprzątanía przychodzi raz w tygodniu.

To widać -powiedziała.

Wzięła ze zlewu brudny talerzyk, umyła go i napełniła wodą.

- Szkoda, taki ładny dom!

Nieraz sobie myślałam, jak tu jest.

Ja to bym.

- urwała, ale nie ona zachłysnęła się tym niedokończonym zdaniem, to on poczuł je w gardle, jak nagły spazm- Poszedł za nią w milczeniu i w milczeniu patrzył, jak pochyliła się nad pisklęciem, jak je karmi, wkładając mu jedzenie w żony, otwarty żarłocznie dziób.

-No, widzisz pan- roześmiała się.

-Odemnie je!

- Jak ma pani na imię?

- zapytał cicho.

- Całkiem zwyczajnie: Maria.

-Marija.

- powtórzył z modlitewnym zaśpiewem.

Spojrzała zdziwiona.

Umoczyła palec w wodzie i spływającą zeń kroplą napoiła pisklę.

Patrzył na toz zapierającym dech zachwytem.

Miała nasobie ten sam fartuch bez rękawów, w którym myła okna.

Nigdy nie był tak blisko kobiety zmęczonej fizyczną pracą, pachnącej zdrowym potem - ostrą woń, która biła spod jej głęboko obnażonych pach, przyprawiła go o zawrót głowy.

Przysunął się bliżej, potracony stolik zakołysał się, woda ze spodka spłynęła na intarsję blatu.

- Nogę ma jedną krótszą, trzeba coś pod nią podłożyć - powiedziała.

- O, jest tu jakaś książka!

- Chwyć dwa mokre palce i wcisną pod nogę rozchybotanego stołu oprawy w czerwony safian tom Petrarki, dar przeznaczony dla Juliusza.

- Jest tu Jakaś książka - powtórzył i przebaczył jej to.

Z radością.

Zpodniecającym uczuciem wyrzeczenia.

Patrzył, jak ptak pije krople wody, spływające z palców kobiety nie obchodziło go nic poza tym; cudowna cisza rozścielała się w nim całym, łagodne godzenie się na chwilę, którą przeżywał, na jej proste piękno, na jej prostą mądrość.

Na biurku leżał papier nie zapisany do końca, bez podpisu, który powinien na nim złożyć - jeszcze teraz, pomyślał leniwi. Jeszcze teraz.

Kobieta wpychała znowu jedzenie w rozwarty szeroko dziób pisklęcia.

- Jak toto żre!

- śmiała się.

- Jak tożre!

Była to kobiecość nie potrzebująca żadnego wsparcia - intelektu, piękności, wysokiego miejsca w świecie.

Miał blisko przed oczyma silne ramię, powleczone już złotą opalenizną - pomyślał, jakimś szczęściem byłoby choć na krótko położyć na nim głowę.

- Panoszał! - szepnęła pobłaźliwie.

A potem coraz szybciej, z zdumieniem, olśnieniem, z radością: Pan oszalał, pan oszalał, panoszał!

- Marija!

- modlił się, jak chłop kłęczący przed balaskami nawytartych kolanami stopniach.

- Marija!

- żarliwie i bluźnierczo, boleśnie i szczęśliwie.

- Marija!

Zaczęły w nim znów krążyć wszystkie soki życia.

Poczuł ustami całym sobie świeżą, ożywczą soczystość.

Powietrze wchodzące w płuca miało dawną aksamitną gładkość, świat odzyskał swoją barwę i woń.

- Marija!

powtórzył.

Pisklę patrzyło na niego jakby porozumiewawczo.

Okomiał okrągłe, za duże, jak na tę małą łysawą głowę, przykryte do połowy pomarszczoną powieką.

Właściwie oko starca wiele, bardzo wiele wiedzącego o życiu.

976

Nic niezwykłego

Stamtąd nikt nie przyjdzie, ani z tej drugiej strony - nikt, komuchciałoby się otworzyć drzwi, do kogo biegłoby się przez pokój, potracając sprzęty.

Zamknęła okno, przestała patrzeć na drogę, rozwidlającą się przed pałacem.

A może to był zamek, otaczał go jeszcze, porośnięty teraz krzakami, wyschnięty rów dawnej fosy. Zatrzymały się przed nią uzbrojone oddziały wroga, nadciągające z ogromnej równiny.

- dyrektor instytutu, kiedy wprowadził ją do tego pokoju, opowiadał coś o tym, w ogóle mówił dużo, zanim zdecydował się zamknąć zasobą drzwi, zanim zostawił ją tutaj samą.

Pytał, czy przypomina sobie słynne opowiadanie wielkiego pisarza, opowiadanie, którego akcja podobno działa się właśnie w tym zamku.

W lewym skrzydle -może właśnie w tym pokoju -mieszkała wdowa po jednym z braci,dziedziców tych włości, a drugi z prawegoskrzydła patrzył co nocwoświetloneokna jejpokoju.

Na cmentarzu, a właściwie międzyparkiem a cmentarzem jest jeszcze grobowiec, na którego kamiennejplycie leżałapotem krzyżem w zadanej sobiepokucie, waliła czołemo zimne sklepienie grobu.

- dyrektor instytutu miała pewno zdolności narracyjne, ale nie zostały należycie ocenione tego dnia.

Tobardzo piękny zakątek - dodał.

- Musi go pani zobaczyć.

Wokół staremodrzewie i cisy.

Zresztą cała okolica.

Można się naprawdę zakochać w tych miejscach.

- urwał inie wiadomo dlaczegozakłopotanypatrzył na nią,a ona myślała: Nie męcz się, człowieku!

Daj spokój!

Każdego dnia masz ochotę stąd prysnąć, każdego ranka się o tomodlisz do swoich świętych, ale tu bądź co bądź kierujesz instytutem,a badań nad hodowlą ziemniaka niemożna przeprowadzać w Warszawie.

Niech no tyiko jednak otworzy się w ministerstwie coś równorzędnego, może nawet bez kierowniczego dodatku, a odkochasz sięw tych miejscach, modrzewie i cisy będziesz miał w Łazienkach,wystarczy ci, jeśli zobaczyszje raz na tydzień, albo i na miesiąc, tym.

nniakiem zacząłeś się zajmować przez przypadek -i tak, jak ja, nie dostałeś się na inny wydział, a teraz tofle to twoje powołanie i posłannictwo-.

Tak, naidziała -na pewno można zakochać się w tych miejscach, a on dopiero wtedy wyszedł, jeszcze jakby bardziej zmieszany, cicho zamykając drzwi za sobą.

Teraz był z żoną w teatrze, co sobota jeździli do teatru w wojewódzkim mieście, wsiadali w trabanta zaraz po południu i wracali dobrze po północy, a czasem dopiero w poniedziałek rano, jeśli w hotelu udało się dostać pokój.

Patrząc naginając już w mroku drogę, pożałowała, że nie pojechała razem z nimi, jak proponowali, że przestraszyła się prowincjonalnej obsady sztuki, którą widziała w Warszawie w najlepszym wykonaniu.

Teraz czekał ją potwornie długi wieczór w pustym skrzydle pałacu, nawet nie mogła zejść na dół do Cześniakowej, woźnej instytutu, gdyż ta pojechała z mężem na drugą wieś dosiostry, po jabłka z rodzinnego sadu.

Inni pracownicy instytutu mieszkali na wsi, trzeba by było potem wracać w nocy drogą, którą zawsze szedł ktoś pijany z gospody, albo gdzie przy płotach gromadziły się grupki podochoconych wyrostków.

W piwnicy prawego skrzydła pałacu mieścił się, na wyrost chyba nazwany tym mianem, "dom kultury", a właściwie kawiarnia z telewizorem, zawsze pełna wiejskiej młodzieży, dziewcząt trzymających w sztywno odgiętych palcach papierosy, których dym napędzał im łzy do oczu, i chłopców spływających potem w nylonowych koszulkach.

Mogła tam pójść, mogła przysiąc się do któregoś stolika, zamówić kawę, rozpocząć rozmowę z kimś z geesu, albo pegeeru, a może z gromadzkiej rady, była teraz członkiem tej społeczności - czy wyobrażała sobie, że prędko się stąd wyrwie, napisze doktorat, do którego potrzebne jej było laboratorium i poletka doświadczenia instytutu, napisze doktorat i któregoś dnia zwinie manatki, w Warszawie czeka Zygmunt i mieszkanie, jej albo jego, któregoś końca trzeba będzie zlikwidować, chyba jego, bo jednak mniejszei dalej od śródmieścia, tylko właściwie dlatego nie przyjechał na niedzielę.

Nie -nie obiecywał tego, ile razy w miesiącu można wleźć z Warszawy aż tutaj.

Jednego tygodnia ja, drugiego ty - powiedział, ale ona miała w probówkach, ona zawsze miała w probówkach tę koszmarną skrobienię to było gorsze niż niemożliwość przy piersi, tego nie można było ani zostawić, ani zabrać ze sobą.

"Dom kultury" zamykano zresztą dziesiątej i co potem?

- kawanie pozwoliłaby jej zasnąć; i tak prawie co dnia zażywał przed pójściem do łóżka pastylkę phanodormu i jeszcze bardziej rozstrojona

czekała, żeby rozpoczął swe działanie.

Dziś postanowiła zażyć go wcześniej, rozgryzła pastylkę, obficie popiła wodą, rozebrała się z jakąś lekturą zawodową położyła się do łóżka.

Kiedy ucichły pod nią stare sprężyny materaca, w ciszę, która przedtem szumiała w uszach, jak natężone brzęczenie pszczoł, wdarł się teraz jakieś szelesty szmery, w długim korytarzu za drzwiami rozległy się jakby płasniecia bosych stóp o kamienne płyty posadzki.

Odwróciła głowę i wparła oczyma w ciężką zasuwę przy drzwiach, trzymała dobrze - ilekroć wchodziła do pokoju, podnosiła ku niej rękę, z całego otoczenia do niej jednej miała zaufanie, polubiła ją, jak jedynego sprzymierzeńca.

Ciche płasniecia bosych stóp o kamienne płyty posadzki przybliżały się i oddalały, jakby ktoś chodził pałacowym ciemnym korytarzem, nie zatrzymując się przed żadnymi drzwiami, ani przy żadnym oknie.

Wstała i na palcach podeszła do progu, wstrzymała oddech nasłuchując - na korytarzu trwała głucha cisza.

Wróciła do łóżka i oparłszy o kolana książkę starała się skupić całą uwagę na czytanej treści, ale Jeszcze trzy razy wstawiała i nasłuchiwała przy drzwiach, w końcu zaczęła czytać na głos, ośmieszona tym przed samą sobą - miała dwadzieścia sześć lat, dwadzieściasześć lat trzy miesiące, jej koleżanki, którym nie zachciewało się doktora, miały już dobrze podchowane dzieci i tłumaczyły im właśnie, że nie należy się bać ciemnych pokoi i korytarzy, że naprawdę tam nie ma.

Rzuciła książkę na ziemię, zgasiła światło.

Zaczął liczyć, najpierw owce skaczące przez płot, potem te pląsnięcia bosych stóp, które wciąż dochodziły z korytarza, choć nic się tam nie działo, nic się tamnie działo, napewno nic się tam nie działo.

Zbudził ją ostry krzyk pod oknem.

Uderzona jakby jego dźwiękiem usiadła na łóżku i długo nie mogła pojąć, co się stało, dopóki nie powtórzył się, wysoki alarmujący.

Ktoś wzywał ratunku.

Skoczyła do okna i otworzyła je cicho.

Na dole, pod ścianą parteru, toczyła się bójka.

Słyszała uderzenia i jęki - ten, który zrozumiał, że w tej walce nie ma szans, nie przestawał wzywać pomocy.

Noc była ciemna, jarzeniówki przed wejściem do "domu kultury" nie paliły się już, biegnąc ku oknu nie spojrzęła na zegarek, ale musiałoby być późno.

W popłochu zaczęła zastanawiać się nad sytuacją.

Co mogła zrobić?

Krzyknąć na nich z góry?

Zacząć wzywać pomocy?

Ale kto by ten krzyk usłyszał?

Przetrzebione drzewa starego parku i pustą drogą poza nim - do wsibyło co najmniej pół kilometra.

I czy krzyżąc nie zwróciłyby na siebie uwagi napastnika, może przestałby się, który miał już chyba dosyć, może.

Dotknęła dłonią

gładkiego muru pod oknem, na pierwszym piętrze powinna się czuć bezpieczna, a jednak nie mogła wydobyć głosu z gardła, a tamten człowiek na dole wciąż krzyczał, słabiej teraz niż przedtem, zapewniając siły i nadzieję.

Ach, czemuż nie pojechała do teatru, wszystko jedno kto grał w tej sztuce, ciekawie niechby się zabijali przez ten czas - bez niej, bez tego bezczynnego stania przy oknie, bez jej uczestnictwa w tym, co dokonywało się tam na dole.

- Ratunku!

- usłyszała jeszcze raz, potem nastąpiło głucho uderzenie, a potem cisza, długa cisza i nie działo się już nic, wypełniona, a ona stała wciąż przy oknie, bezczynnie stała przy oknie, z gardłem zacisniętym boleśnie, ze sparaliżowanymi rękami, spętana swoim głupim podłym strachem, gdy tymczasem ten człowiek nadole.

Skoczyła do wiadra z wodą, które obok miednicy na wiklinowym stojaku przygotowała jej Cześniakowa, dźwignęła je z trudem i przechyliwszy przez parapet chlusnęła wodą w dół.

Posypały się zaraz przekleństwa, grube słowa, miotane z wściekłością - ale tylko przez Jeden głos, silny i mocny, tamten milczał, zamilkł i milczał, może każda chwila była droga, może liczyły się już sekundy, a ona stała wciąż przy oknie, zamiast biec w dół po schodach, zamiast.

Ale czy ten człowiek, strzepujący tam w dole wodę z ubrania i włosów, ten człowiek, miotający wciąż grube, najgrubsze przekleństwa - pozwoliłby jej pójść do wsi po pomoc, a tym samym po świadków.

Usłyszała nagle jakby kroki, oddalające się kroki, i przekleństwa stawały się coraz cichsze, milkły, gubiły się w oddaleniu - tak, ten człowiek odchodził, zaczynał nawet biec, tak szybko, jak na to pozwalała ciemność.

Odczekała długą chwilę, dopóki zupełnie nie ucichł odgłos jego kroków.

Ubrała się pośpiesznie, otworzyła drzwi na korytarz.

Nie było na nim światła, posuwała się wzdłuż ściany, opierając się o nią rękami.

Miała nikłą nadzieję, że Cześniakowa nie zamknie drzwi do sekretariatu instytutu, gdzie był telefon.

Mogłaby zadzwonić na milicję, albo do pegeeru.

Ale Cześniakowa nie zaniedbywała swoich obowiązków, drzwi były zamknięte i trzeba było żelaznego łomu, żeby je otworzyć.

Stała przy nich długą chwilę, ogłuszona walaniem serca, strachnie opuszczała jej anina chwilę, obrzydliwy i upokarzający, myślała, żeby jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, ale szła w przeciwną stronę, żeby jak najszybciej zamknąć za sobą drzwi i zasunąć zasuwę, posuwała się coraz bardziej kuszodłom, ku ciemnym, krętym schodom starego pałacu, a potem nimi w dół, wzdłuż poręczy w dół i po

przez dudniącą echem jej kroków ścianę ku ciężkim drzwiom, które otworzyły się zaraz, gdy pchnęła je dłonią.

Uderzyło ją w twarz chłodne, ostre powietrze - w nocy będzie przymrozek - pomyślała jakimiś nawykami dawnych skojarzeń, dobrze było w tej chwili myśleć o przymrozkach, o jabłkach, po które pojechała Cześniakowa, niezmarzną pozostawione na drzewie, dobrze było myśleć o czymkolwiek, tylko nie o tym, że oto szła tam, gdzie mógł leżeć ten człowiek. gdzie na pewno leżał ten człowiek, uciszony, zamilkł po swoim ostatnim krzyku.

Ciemność była teraz już tak nieprzenikniona, jak wtedy, gdy po raz pierwszy spojrzała w nią przez okno.

Posuwała się wzdłuż skrzydła pałacu i na tle jego jasnej ściany zobaczyła wreszcie ten kształt - wsparty barkami o mur leżał człowiek, rzucony bezwładnie na ziemię, pozbawiony ostatnim uderzeniem siły i głosu.

Pochyliła się nad nim, potrzęsła za ramiona.
Powinna była położyć dłoń na piersi, sprawdzić czy żyje, ale wołała niewiedzieć, wołała tegonie wiedzieć - odskoczyła od niego i potykając się o nierówności ścieżki pobiegła ku drodze.

Nie myślała już, że może kogośna niej spotkać, przede wszystkim tego, który oddalił się przed chwilą i mógł teraz przyciąć gdzieś za drzewem, nie bała się go, nikogo się już nie bała - wpadłszy do wsi, skierowała się od razu do środka zdrowia i załomotała pięściami w zamknięte drzwi.

Lekarz mieszkał w tym samym budynku; kiedy nie otwierał, podeszła do okna i zadzwoniła palcami o szybę.

Może go nie było?

Może także pojechał na niedzielę do miasta?

Stąd każdy, kto mógł, jechał na niedzielę do miasta - dyrektor pegeeru, agronom i zootechnik, nauczycielki zeszkoły.

Uderzyła mocniej w szybę i teraz w mieszkaniu coś się poruszyło, a po chwili skrzypnęło okno.

- Cóż, u diabła?

- odezwał się zachrypnięty nieco głos, owioną dymem i odór alkoholu.

- Nawet w nocy można mieć spokój?

- Ja z instytutu - zawołała, starając się opanować.

- Podpałacem była bójka.

Jakiś człowiek leży tam ranny.

Może.

może nie żyje.

- No to już mu wszystko jedno, kiedy się nim zajmę.

- Panie doktorze!

- krzyknęła.

- Ach, to pani!

- Dopiero teraz ją poznał, to on właśnie zaaplikował jej panodorm, kiedy zgłosiła się do środka, udreżona bezsennością.

To pani!

powtórzył.

Proszę zaczekać, zaraz panią wypuszczę.

Trwało to dość długo, musiał się ubierać, bo kiedy je stworzył, miał na sobie kurtkę, palcami przeczesywał włosy.

- Przepraszam, trochę wypilem - dzisiaj Jadwigi.

Żona ode mnie uciekła, ale naimieniny zawsze zaprasza.

Dopiero co wróciłem izdażyłem się położyć.

- On tamleży - zaczęła bez tchu.

- Bili się, ale drugi uciekł, uciekł kiedy.

kiedy wylałam na nich wiadro wody.

- Co pani zrobiła?

- zapytał tłumiąc uśmiech.

- Wylałam wiadro wody.

Co mogłam innego zrobić?

Chciałam dzwonić na milicję, ale sekretariat, gdzie jest telefon, zamknięty.

- Nasz posterunek o tej porze tak nieczynny.

Więc co to było?

Bójka?

Weszła za nim aż do gabinetu w ośrodku i patrzyła, jak wpośpiechu wrzuca do torby jakieś narzędzia, buteleczki, fiolki i bandaże, w końcu strzykawkę - nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat, czy także bał się tu na początku?

Nie był tu za drzwiami pałacowego korytarza, gromadzącego wszystkie echa, no i był mężczyzną, silnym, młodym mężczyzną, który uśmiechnął się do niej wreszcie, wciąż odgarniając opadające naczółowłosy.

- Jestem gotów!

Miałem szczęście, że nie poczęstowałem pani jakimś mocniejszym słowem.

Nie lubię, jak mnie budzą w nocy.

Niech pani poczeka, wyprowadzę wóz z garażu,

- Nie, nie- zaprotestowała.

- To przecież nie tak daleko.

Zrozumiał, czego się bała.

Roześmiał się cicho, skierował dłoń ramienia ku wyjściu.

- Dziewczyno!

- mruknął.

- Niech się pani nie boi.

Wypilem wprawdzie trochę, ale skoro przejechałem jakoś osiemdziesiąt kilometrów, to i temu kawałkowi przez wieś podołam.

- Zostawił ją w ciemności, usłyszała, jak otwiera garaż, jak uruchamia motor, w chwilę potem zabyły światła i wóz wytoczył się na podwórze.

Posłusznie usiadła na wskazanym jej przednim miejscu.

Żeby niewydać się mieszną, zaniechała protestów, nie chciała go zresztą urazić, potrzebowała go, nie tylko ten człowiek, leżący bezwładnie pod ścianą pałacu, ona także.

- No, jak?

- zapytał, wyjechawszy na drogę.

- Już się pani tuprzyzwyczaiła?

- Tak- powiedziała.

- Sypia pani dobrze?

Phanodorm już niepotrzebny?

- Niepotrzebny.

- Byłem tego pewien.

Początki są trudne, ale to na szczęście szybko mija.

Ostatecznie wszędzie można żyć.

Jak się ma trochę silnej woli.

20

- Tak - powtórzyła.

- Jak się ma trochę silnej woli.

- Panipewnie myśli, że zapijam się tu wieczorami.

Że może nawet wypijam spirytus z apteczki- Nie.

Niech pani zaglądniedo mnie odczasu do czasu, przekona się pani, że taknie jest.

Lekarz na wsi musibyć trzeźwy, jak święty Piotr, nigdy nie wiadomo, kiedy jakiejś babiezechcesię rodzić, albo miłe chłopaczki porzną się nożami.

Dziś naprawdę wyjątkowy dzień.

Powiedziałem pani - imieniny żony, wdodatku takiej, co od męża ucieka.

- Nie ma tej silnej woli, o której pan mówił?

Milczał przez długi czas.

- Ano nie ma.

Kiedy zajechali przed pałac, leżący pod ścianą człowiek powoli podnosił się na nogi.

Zobaczyli go w świetle reflektorów, Jak dźwigał się, oparłszy dłonie o mur.

- Żyje szepnęła.

Wyskoczyła z wozu i podbiegła do niego.

- Nic się panu nie stało?

Odwróci!

ku niej głowę wreszcie zobaczyła jego twarz, posiniaczoną i pokrwawioną twarz młodego człowieka, wykrzywioną wściekłością.

- Sprowadziła pani milicję!

- To nie milicja.

To lekarz.

Doktor.

- Doktor?

- szepnął z niedowierzaniem i zaraz dodał.

- Po co doktor?

Nicmi nie jest.

Nic.

Zupełnie nic.

- To się zaraz okaże.

- Lekarz zatrzasnął drzwiczki wozu, zbliżył się latarką.

- Nic!

Zupełnie nic!

- powtarzał chłopak.

- Pobiliśmy się trochę.

- Ale przecież leżał tu pod ścianą - zawołała, przerażona tym, że załamuje się jej głos, że sama teraz w to nie wierzy.

- Leżał tu pod ścianą zupełnie nieruchomy!

- Tak mnie tylko trochę zemglilo - powiedziała chłopak.

- Zaraz zobaczymy, co cię zemgliło.

- Lekarz popychał go przed sobą stronę wejścia, oświetlając drogę latarką.

- Noże mieliście?

- Nie.

Co pan doktor?

- Będę musiał go u pani obejrzeć.

Chyba, że jest tu jakieś inne pomieszczenie.

- Wszystko pozamykane.

Proszę do mnie.

Na górę.

-Niech pani prowadzi.

Weszła do pokoju pierwsza, zapaliła światło.

Chłopak zatrzymał się przy drzwiach.

- Nic mi nie jest - powtórzył.

Otarł dłonią rozkrwawioną wargę, dotknął głowy.

- Cholera!

-jęknął.

Lekarz otwierał już torbę.

-- Rozbieraj się!

Odwróciła się do okna, zamknęła je, zasłoniła firankę, jakby mógł ktoś z tej bezkresnej pustki poza nią dojrzeć w jej pokoju rozebranego mężczyznę.

Chłopak syczał i pisał pod czas badania i opatrunku, wrzasnął na całego przy zastrzyku, ale stawał się coraz pokorniejszy i już ani razu nie powiedział, że nic mu nie jest.

- Urządził ci! ^!

- Lekarz skończył opatrunek, zaczął wrzucać do torby wszystko, co przedtem z niej wyjął.

-Jutro z samego rana, a właściwie to już dzisiaj - zerknął na zegarek - masz pokazać się ośrodku, Muszę cię jeszcze raz zbadać.

Nigdy nie wiadomo, co takiej bijatyki może wyniknąć, wstrząs mózgu, albo.

Chłopak patrzył w ziemię.

- Ja nie mogę przyjść jutro do ośrodka - szepnął.

-Niemożesz?

Dlaczego?

A zerwałeś się tak z wawo, kiedy myślałeś, że to milicja.

- Nie, to nie oto, panie doktorze.

Tylko.

ja jutro wyjeżdżam.

-Pracę w mieście dostałem.

Na budowie.

I mieszkanie w hotelu robotniczym.

Właśnie pożegnanie wyprawilem.

Odwróciła się powoli, ale nie ku niemu - ku lekarzowi, który nadaremnie rozglądając się za wodą do umycia rąk, znieruchomiał teraz i zapomniał o tym.

- Pracę w mieście dostałem.

- powtórzył.

- Tak, od jutra - Jak się jutro nie stawię, to by mnie może z listy skreślili i mieszkania bym nie dostał.

Niech tylko pan doktor na milicję nie daje znać.

Ja się z tym łobuzem sam porachuję, Jak na urlopu przyjadę.

A te bandaże.

te bandaże, panie doktorze, to chyba jutro będę mógł zdjąć.

?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Czekała na nią i ona, panicznie trzymając się tej ciekawości, jakby zależało od niej wiele, bardzo wiele - ale lekarz wciąż nie odpowiadał.

A dlaczegóż tyś tu wyjeżdżasz?

-zapytał wreszcie.

Wsadził brudne ręce w kieszenie kitla i patrzył na swego pacjenta tępym, nieruchomym wzrokiem.

Chłopak zbierał się już do odejścia.

Posunął się krok ku drzwiom, ale przedtem wznosił rękę do góry i uczynił nią nieokreślony gest, zamykający swoim zaokrągleniem nie tylko pokój, ale i noc po zanim, drzewa w przetrzebionym parku, ciemną drogę i wieś.

- A co ja bym tu robił, panie doktorze?
- parsknął krótkim, cichym śmiechem.
-To nie dla mnie.
Świata muszę trochę zobaczyć.
- No to idź!
Śpiesz się!
- Lekarz ruszył się z miejsca, ręce wyciągnął z kieszeni.
-Spiesz się! Napewno nie masz tu zrobić.
Prędzej!
Na co jeszcze czekasz?
- Panie doktorze!
- krzyknęła.
Przestraszyła się jego głosu, ale odwrócił ku niej nagle uśmiechniętą twarzą wypchnął chłopaka z drzwi.
- On naprawdę nie może się spóźnić!
- Wziął jej rękę, ścisnął i zabolęła.
-I nie ma w tym nic niezwykłego, nic niezwykłego, że on potrzebny jest tam, a my tu.
On tam, a my tu.
Wziął swoją torbę, powoli zbliżył się do progu.
- Dobranoc!
Niech się pani kładzie spać-!
trzeba zaraz zasnąć.
- Tak - powiedziała.
- Napewno zaraz zasnę.
W tym naprawdę nie ma nic niezwykłego.
Od początku tak myślałam.

Gospoda nad Sutjeską

Milko, młody, rostry Jugosłowianin, rozpałał w piecu ogień.

Przysiadłszy na piętach, układał w palenisku potężne szczapy dębiny; gdy pochylał się, między szarym swetrem z owczej wełny a wyświechtanymi portkami ukazywał się pasek opalanej skóry, gładko napiętej na młodym grzbiecie.

Pracował powoli, bez pośpiechu, choć z głębi gospody krzyczał ktoś na niego, że powinien był napalić wcześniej, zanim Amerykanin wrócił ze zdjęć nad Sutjeską, zanim Amerykanin udał się na odpoczynek do swego pokoju.

Ken, leżąc w ubraniu awyboistym łóżku, domyślał się treści tej nagany; uważano go tu za Amerykanina, był mężem najśłynniejszej amerykańskiej aktorki, to wiedziano o nim przede wszystkim w małym miasteczku w górach Hercegowiny; podejrzewał, że i w ekipie zdjęciowej także.

Sława Viv była już od dawna ugruntowana, kiedy on wciąż jeszcze chciał zdradzić żywego Szekspira wangielskim teatrze dla celuloidowych obrazków, pokazywanych w kinach całego świata.

Teraz przybył tu, żeby zagrać bohatera narodowego Jugosławii, był już godny tej roli, więcej - wiązano nadzieje z tym, że to właśnie on ją zagra, choć nazwisko Viv przyćmiewało go wciąż swoim blaskiem.

Nauczył się tym wzruszać, a nie złościć, lecz przyszło mu to nie bez trudu.

Byłoby głupstwem odzwyczaić się od tego właśnie tutaj, w jugosłowiańskiej mieścinie między Dubrownikiem a Sarajewem z dwiema przesiadkami, gdyby ktoś uparł się, żeby dotrzeć tu pociągiem z Belgradu.

Myśl o połączeniach kolejowych nasunęła mu inną, trapiącą go odprzedwczoraj, od nieudanej rozmowy telefonicznej z Viv.

Chciała usłyszeć jego głos, za godzinę odlatywała z Kalifornii do Moskwy i chciała przedtem usłyszeć jego głos - tylko tyle zdołał zrozumieć, rozmowa zaraz się urwała, nastąpiły nawoływania w eterze między

Belgradem, Los Angeles i tamieścina w górach, gdzie zakopał się na długie tygodnie. Goran Petranović, szef produkcji filmu, obiecał mu załatwić w odpowiednim ministerstwie poprawę linii telefonicznej;

w umowie zastrzeżone były również dobre warunki pracy.

Dobre warunki!

Ken miał ochotę roześmiać się na głos, patrząc w zakopcony sufit nad głową, czując pod grzbietem nierówną twardość materaca, oczadziały woniami dochodzącymi z kuchni przez nieszczelne drzwi, przez szpary w podłodze i ścianach, przez otwarte okno nawet - zapach oliwy czosnku otaczał gospodę jak zapała - Dobre warunki!

Kiedy indziej zrobiłby na pewno awanturę, ale teraz wszystkie te niedogodności były jakby nieodłączną częścią roli; grat partyzanta, pierwszego rangą w tym kraju - to go zobowiązywał do surowości wobec siebie, do utrzymywania się w filmowej postaci także poza planem.

Może to był aktorski kabotyzm, a może hołd dla bohatera, dla prawdziwych dni, które przeżył na tym kwadracie ziemi między trzema górskimi rzekami - nie chciał zastanawiać się nad tym, praca nad rolą sprawiała mu satysfakcję, to było najważniejsze.

Początkowo bał się, że nie zdoła wcielić się w postać człowieka żyjącego, powszechnie znanego, że stworzy to szczególnie rodzaj bezsilności wyobraźni, że sparaliżuje nim wszystkie mechanizmy aktorskich predyspozycji.

Potem to minęło.

Wypracował w sobie dystans do rzeczywistości; czasem filmu była przeszłość oddalona o lat trzydzieści usiłował się w niej utrzymać; kiedy patrzył w postarzałe twarze liczących

konsultantów filmu, starał się nie widzieć w nich dzisiejszych dostojnych marszalczyków, ale tamtą młodą zaciętość sprzed lat, tamtą rozpacz i wściekłość, szaleństwo i ból.

Byli otoczeni ze wszystkich stron przez przeważającą wroga - cztery dywizje i dwa pułki niemieckie, trzy dywizje włoskie, dwa pułki bułgarskie, brygadę domobranów i oddziały czetników.

Ich zgrupowanie liczyło ogółem dwadzieścia tysięcy żołnierzy i partyzantów.

Sztab główny z naczelnym dowódcą był wśród nich.

I szpital centralny, i komitet wykonawczy.

Musieli się więc przedrzeć, zawsze jaką cenę musieli się przedrzeć do Bośni, żeby połączyć się z pozostałymi wojskami narodowymi i wojskami zwoleńcami.

Co wieczora przepowiadał to sobie jak lekcję.

Irfan Koprović, student anglistyki z Belgradu, którego mu przydzielono w charakterze tłumacza, opracował dla niego całą dokumentację walk na tym terenie, ze szczególną dokładnością naświetlając majowe i czerwcowe dni czterdziestego trzeciego roku między Driną a Sutjeską.

Wieczorami.

czytał mu i tłumaczył odezwy i przemówienia partyzanckiego wodza z tamtych dni. Nie chciałgo więc grać, chciał być nim przedziewięćdziesiąt minut trwania obrazu. Ale oznaczał to tygodniowy siłku, którego ogromu nie wyobrażał sobie, gdy postanowił się go podjąć,

Przed gospodą zatrzymał się samochód, nadole rozległo się trzaśnięcie drzwi wejściowych, a po nim kroki i męskie głosy zadudniły w sieni - domyślił się, że to Goran Petranović wrócił do kwatery kierownictwa ekipy.

- Milko!

- powiedział do chłopaka.

Milko odwrócił głowę, ale wyraz twarzy miał roztargniony.

Sięgnął więc do kieszeni i wyjął dolara, co natychmiast ruszyło chłopca z miejsca.

Dziwne, pomyślał, patrząc w rozjaśniające się oczy Jugosłowianina - oni lubią dolary jeszcze bardziej niż my.

- Milko!

- powtórzył wciskając banknot w zwinną dłoń chłopaka.

- Goran Petranović!

Porozumiewali się tylko nazwiskami lub nazwami rzeczy, opatrzonymi gestem na tyle wymownym, by mógł zastąpić brakujące słowa.

Teraz gest nakazywał, by Milko spiesznie zszedł na dół i równie spiesznie sprowadził na górę szefa.

Polecenie zostało zrozumiane, schody zagrały pod podkutymi obcasami chłopaka.

Petranović zjawił się przełykając ostatni kęs, widocznie zdążył złapać po drodze kanapkę z bufetu.

- Wszystko załatwione!

- zawoła!

od progu.

Znał angielski na tyle, żeby móc się nim posługiwać w najprostszyspawach.

- Dziękuję.

- Ken podniósł się z posłania nie kryjąc zdumienia.

-

Tak prędko?

- Interwencje były dwie.

Prawdę mówiąc - Petranović przesunął dłońią po łysinie - ta pierwsza, wcześniejsza od mojej, więc moja.

okazała się niepotrzebna.

- O czym pan mówi?

- Poprawę linii telefonicznej rozpoczęto po interwencji ambasady.

- Angielskiej?

- zapytał bez nadziei w głosie.

- Amerykańskiej - podkreślił z naciskiem Petranović, jakby mu to sprawiało szczególną satysfakcję.

Ken uznał, że w tej sytuacji najlepiej będzie się roześmiać.

Pokazał zęby w szerokim uśmiechu i steżał w nim na długi moment, dopiero po chwili klepnął Jugosłowianina w plecy, aż ten przysiadł:

26

- Dobrze jest, jak jest.

- Też tak myślę - odpowiedział Goran.

Rozejrzał się po pokoju, jakby dopiero wyobrazenie Viv Clivley, składającej skargę na stan linii telefonicznej gdzieś tak wysoko, że wyżej był już chyba sam Pan Bóg, ukazywało mu całe ubóstwo tego pomieszczenia.

- Wstaw tu chociaż dwa fotele.

- Nie pozwolę tu nic zmienić - warknął.

- Jest panu niewygodnie.

- Chcę, żeby mi było niewygodnie!

- Co też pan mówi?

Po tyłu godzinach na planie?

Gdyby Zora zgodził się na dalsze dojazdy, mieli byśmy pierwszorzędne kwatery w którejś z miejscowości lotniskowych.

Ale uparł się przy tej dziurze.

- Dobrze, że się uparł - wziął w obronę reżysera Ken.

- Nie wiem, czy dobrze.

Ludzie w tej mieścinie wkrótce z nami zwariują.

Władowali nam wojsko do szkół, aktorów i obsługę techniczną do domów prywatnych.

- Zarobią.

- Tak, zarobią. Ale poza filmem nie ma tu życia.

Chyba nawet nie śpią ze sobą nocami.

- Możliwe, że z kim innym - bąknął Ken, lecz żart nie został przez Petranovicia dobrze przyjęty.

Nawet w ten sposób podkreślał, że jest to film szczególny i że wszyscy tu traktują swoją pracę jak nobilitujący ich zaszczyt.

- Zapomina pan.

- zaczął.

- Nie zapominam!

- Ken podniósł ręce gestem poddania.

Nie powstrzymał się jednak od uwagi: - Właściwie nie można nawet powiedzieć, że śpią z kim innym.

Przynajmniej mężczyźni.

Nasza ekipa jest tak pozbawiona płci pięknej.

- A Dara?

- zapytał z cicha Petranović.

Roześmiał się obydwoj hałaśliwie i to męskie porozumienie poprawiło im nagle humor.

Dara Sulajić, sekretarka planu, miała dobrą czterdziestkę i czarny puch nad górną wargą, nosiła zawsze spodnie, paliła najmocniejsze papierosy i nie odwracała głowy od kieliszka,

- A ty się z czego śmiejesz?

- spytał Petranović Milka, bo chłopak, zaniechawszy dokładania dREW do ognia, uczestniczył także w wesołości; nierozumiał ani słowa z ich rozmowy, ale imię sekretarki planu naprowadziło go na jej treść.

- Śmiać się nie wolno?

- burknął chłopak.

Wolno, wolno.

- Szefekipy złagodniał.

Potargał goza włosy.

- W przyszłym tygodniu dam ci zarobić, będziemy potrzebować statystów.

Chłopak pokraśniał.

- Mam jeszcze młodszego brata.

-O hoho!

Całej rodziny nie zatrudnię.

Ale zobaczmy, może da się coś zrobić.

Niech ten brat jutro się pokaże.

- Przyjdzie od samego rana.

-Raczej wieczorem- Będę wolniejszy.

- Dziękuję panu - szepnął Milko.

- Dziękuję.

Może pan chce rakiji?

Przyniosę od dziadka.

- Ani się waż- powiedziałże śmiechem Petranović.

-- AJemusmakuje, - Milko wskazał oczyma Kena.

- Przynosiłeś mu?

-Tak.

I bardzo chwalił.

- Nie rób tego więcej.

- Petranovićspoważniał.

-- Przyjechaliśmytu pracować.

Obiecałem mu statystowanie - zwrócił się do Kena.

-I od razu zaproponował mitakże usługi młodszego brata.

Ten filmprzejdzie do historii tak samo, jak prawdziwa bitwa pod Sutjeską.

Milko przymknął piec,zabrał kosz zdębowymi polanami i wycofał się na korytarz.

- Palwcześniej!

- krzyknął za nim Petranović.

-Nie wtedy, kiedyAmerykanin jest w pokoju.

- W ogóle nie trzeba palić -przerwał mu Ken, zrozumiawszy,o co chodzi.

- Przecież Jest maj.

- Ale w górach nocami zimno.

A nie chcielibyśmy, żeby się panzaziębił.

- Nie zaziębiam się tak łatwo.

Możebyśmy pojechali w sobotępopływać w Adriatyku?

Nie ma pan ochoty?

- Mam.

- Petranović w umiarkowany sposób wyraził entuzjazmdla tejpropozycji.

-Alejeśli Zoran się nie zgodzi,.

- W końcu nie jestemwłasnością pana ZoranaPasojevicia.

-Maprawo bać się, żeby się panu nicnie stało.

- Może będziecie zamykać mnie tu wieczorami?

-Tego nie powiedziałem.

- Alepomyślał pan, że tak by było najlepiej.

Ken uśmiechnął sięcierpko.

Wszyscy producenci na świecie bylitacy sami.

Obchodziło ich tylko jedno: żeby bez zakłóceń i przerwdobrać z filmem do końca.

Potem aktor mógł sobie nawet dla rozrywki skakaćw przepaść ze skały - nie ich sprawa.

Ale dopóki trwałyzdjęcia!

Boże drogi!

pomyślał.

Potrafił jednak nieraz umknąć ich czujności.

Te wieczory z Viv w Rzymie, kiedy nie rozpoznani przez nikogo włóczyli się po wąskich uliczkach, przesiadywali w tanich knajpkach.

A przecież strzeżono ich z podwójną zawziętością, bo w podwójny sposób mogło im się coś stać.

I stało się, tak nagle i tak cudownie, że starczy tego wspomnienia na całe życie.

Miał nadzieję, pragnął mieć nadzieję, że na całe życie wystarczy.

Po cóż denerwował Petranovicia planami kapieli w Adriatyku, gdzie byle zabłąkany rekin mógł przerwać zdjęcia do filmu, na którym tak tu wszystkim zależało?

Wiedział, że nie ruszy się stąd, że będzie warował tu wieczorami czekając na telefon z Moskwy, gdzie przebywała Viv, zgodziwszy się - nie bez satysfakcji - wziąć udział w koprodukcji radziecko-amerykańskiej.

Zawsze bowiem pragnęła, żeby podziwiano ją na całym świecie, i żadne podziały nie miały tu znaczenia. Więc co wieczór będzie czekał na telefon od niej - nie po to zadbała o poprawę linii do tej dziury w górach, żeby z tego nie korzystać.

Pozawszyscy kim innym - hm, tego mógł się spodziewać - będzie chciał wiedzieć, czy gdzieś się nie zawieruszył, czy jest na miejscu, choć film wojenny, prawie bez kobiet w obsadzie, powinien odsunąć od niej wszelkie niepokoje.

Rozczulenie, które ogarnęło go na chwilę, zaczęło ustępować rozdrażnieniu - Jeszcze nigdy nie należał do kogoś tak bez reszty, to było cudowne, ale chwilami traciło się oddech. Gdybyż Jeszcze mógł mieć pewność, że i jemu przypadła w udziale taka sama władza, że to on, a nie Patrycja Roth, decyduje o życiu Viv Clivley.

Nie zejdzie pan na dół?

- spytał Petranović.

- Zaraz będzie kolacja.

- Zora jeszcze nie wrócił?

- Powinien niedługo się zjawić.

Pojechaj zobaczyć, jak przygotowane jest wojsko do jutrzejszego planu.

- Ma przecież asystentów i konsultantów.

- No, wie pan, woi wszystko dojrzeć sam.

Zeszli do pustawej jeszcze salki gospody, tylko pod oknem siedziała grupa jugosłowiańskich aktorów, a wśród nich Dara Sulajic nad swoją potrójną kawą.

- Dla mnie to samo!

- zawołał Petranović w kierunku bufetu, aromat kawy rozchodził się po całym wnętrzu - Pan się także napije?

zwrócił się do Kena.

- Ja bym się napił - odpowiedział powoli.

- Ale kawy?

O tej porze nie piję kawy.

- Ken!

- zaczął Petranović najprzejmniejszą perswazją.

- Ken, jutro będzie naplanianie ciężki dzień.

- Wiem.

- Może nie powinien pan.
- Wiem, co powinienem, a czego nie.
- Przepraszam.

Ale czuję się w obowiązku.
- Zadużo bierze pan tych obowiązków na siebie.
- A poza tym.

- Petranović postanowił uciec się do ostatniego argumentu.
- Każdej chwili może być telefon z Moskwy.
- Do diabła!

- Ken usiadł już przy stoliku i uderzył pięścią w jego blat, nie za mocno i nie za słabo, tylko żeby trochę przestraszyć Petranovicia.
Co więc mamtu robić wieczorami?
- Zaraz przyjdzie Irfan.
- podsunął nieśmiało Petranović.
- Aha!

I będziemy sobie czytać aż do nocy przemówienia i rozkazy.
Myśli pan, że może mi to wystarczyć w taki wieczór majowy?
- Takie same wieczory majowe były tu wtedy, kiedy toczyła się bitwa - odparł surową powagą Petranović,
Ken skapitulował.

Pokonywały go zawsze prawdy i uczucia najprostsze.
Wprawdzie odchodził od nich równie łatwo -- dla innych prawd i uczuć najprostszych - jak łatwo im się poddawał, ale w danej chwili nie miało to żadnego znaczenia.
Uśmiechnął się do szefa produkcji prawie z tkliwością.
- Jedna whisky?
- Niech będzie - zgodził się Petranović.

- Ale bez wody sodowej.
- I tak jej tu pewnie nie mają, choć ciągle o to proszę.
- I bez lodu!
- I lodu chyba już niema.

Przy stoliku zjawiła się przywołana z bufetu żona właściciela gospody, mama Bujanić. Jak ją tu wszyscy nazywali, choć była bezdzietna.
Poprawiła kosmyki czarnych włosów, spadające na czoło, wygładziła fartuch.
Oczekiwała zamówienia od Petranovicia, ale patrzyła na Kena.
- Jedna whisky dla pana Salta, a dla mnie kawa, ale taka, jaką piję pani Sulajić.
- Już zaparzyłam.
- Potrójna?
- Potrójna
- Co będzie na kolację?
- Mackalica.
- Mackalica - wyjaśnił Kenowi szef produkcji - to jugosłowiańska potrawa narodowa.
- Z czego?
- spytał Anglik.
- Z czego robicie tę mackalicę?
- Petranović spieszył się swoją niewiedzą.
30
-- Jak to z czego?
- prawie się obraziłam mama Bujanić.
- Tylko z wieprzowiny.

Iz wszystkich jarzyn: z pomidorów, fasoli, marchewki.

- No już dobrze - przerwał jej Petranović.

- Zwieprzowinyi tutejszych jarzyn-przetłumaczył Saltowi.

Mackalica rzeczywiście okazała się świetna.

Ken zamówił drugą porcję, ale że była napapryczona ostro, a wina, którym splukiwał paprykę Jugosłowianie, nie pijał - konieczne okazało się zamówienie drugiej whisky, za co otrzymał już rozgrzeszenie od samego Zorana Pasojevicia, reżysera filmu.

Wrócił zdenerwowany, coś tam nie szłotak, jak sobie wyobraża, stara broń, sprowadzona z Bliskiego Wschodu, niezupełnie zadowalała ekspertów, muzea wojskowe już ogłosić można było liczyć tylko na zbiory prywatne, lecz dotarcie do nich, nawet za pośrednictwem telewizji, wymagało czasu, którego było mało - choćby ze względu na kontrakt Kena Salta.

- Sam się napiję - powiedział.

- I bez wody sodowej!

- Na szczęście już jej nie ma - bąknął Ken zerkając na Petranović, ale ten go nie słuchał.

Zajęty był układaniem komunikatu do telewizji, którym miał po raz drugi powołać pod broń wszystkich uczestników walk partyzanckich ostatniej wojny.

Przeczytał go Pasojevicowi, co tam jeszcze kreślili i zmieniali.

Do Kena przysiadł się Irfan.

Od kiedy wrócił - a przepadł tajemniczo zaraz po zdjęciach - widać było, że chce dużo powiedzieć.

Zdarzyła się wreszcie odpowiednia chwila.

Przysunął do ucha Kena swoje dyszące od pośpiechu usta.

- Wie pan, gdzie byłem?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Szukałem pokoju w miasteczku.

- Masz kwaterę w gospodzie.

Przestała cicho powiadać?

- Nie.

Zresztą i tak nie mógłbym się stąd ruszyć.

- Więc dla kogo ten pokój?

Irfan przysunął się jeszcze bliżej.

Na szczęście oddech miał czysty, jak u dziecka - nie pił, nie palił, w ekipie nazywano go panienką, boi twarz miał ładną niczym dziewczyna.

I to on właśnie wyjął z dumą:

- Dla mojej dziewczyny.

Przyjeżdża w sobotę.

Tylko niech pannikommu o tym nie mówi.

- Nie ukryjesz jej przed nami.

- Alena razie niech nie wiedzą, jak już przyjedzie, to trudno, powiem, nie odeślę jej przecież z powrotem.

Petranović zastrzegł się przed wszelkimi wizytami.

Damskimizwłaszcza.

-No, no - zanucił Ken.

- Jest z tego samego roku.

Ma mi przywieźć skrypty i notatki.

Niechciałbym, żeby mi przepadł semestr.

- Skrypty i notatki.

- powtórzył Ken.

Inagle zdał sobie sprawę, że przez cały czas siedząc tu, jedząc i pijąc, prowadząc rozmowę z Irfanem, uczestnicząc w dyskusji na temat komunikatu do telewizji - że przez cały ten czas w napięciu i bolesnej niecierpliwościczeka na telefon od Viv, na dźwięk dzwonka przy wiszącym naścianie aparacie, na gest tłustego ramienia mamy Bujanić, która razdejmie słuchawkę z widełek, a potem przywoła go nagłaco z radosnym, trochę poufałym, rozjaśnionym zaszczycem uśmiechem.

Nic takiego jednak się nie działo.

Mama Bujanić królowała zabufetem, Dragan -daleki krewnyBujanlciów, przygarbiony starykawaler z wiecznie przyklejonym papierosem w kąciku ust - krążyłpo saliroznosząc posiłki, gwar sięwzmagał proporcjonalnie doosuszanych dzbanków z winem, a to stare, uparte pudło, przyklejonedo ściany,milczało wciąż jakzakłete.

Nie tylko nie nasłuchiwał, czy niezaczynadzwonić, ale i wpatrywał się w nie uporczywie, jakby je chciał zahipnotyzować.

Co ona teraz robi w tej Moskwie?

myślał, choć Irfanwciąż mówiłdo niego, chuchając muw ucho gorącym szeptem.

Eilen, garderobiana, którą Viv wozila zawsze ze sobą, rozpakowała już zapewnewszystkie jej kufry, rozwiesila w szafach suknie, płaszcze ifutra, poukładała na półkach bieliznę, szale, obuwie, rękawiczki i torebki -królestwo rzeczy niezbędnychprzy wyjeździe, ale zwykle potem nieużywanych.

Viv lubila błyszczećpodczas wszystkich oficjalnychwystąpień, aktorki, które wydawały się piękne i świetnie ubrane, zanim ona się pojawiła, gasły przy niej jak wyłączane po kolei neony -na użytek prywatny ubierała się jednak skromnie, lubila swetryi spodnie, chustkina głowę, wygodne półbuty, pakownetorebki.

Uwielbiał rzeczy z zachowanym kształtemjej ciała, jej zapachem, nieznosił tych, którewkładała raz jeden, choć kosztowały setki dolarów.

Nie mogła pokazać się dwa razy w tej samej sukni, fotoreporterzyroznieśli byto po całym świecie, a szef reklamy być może zerwałbykontrakt.

Pękały więc szafy od tych kreacjina jeden raz.

Ellen przewietrzała je comiesiąc, pokazując córkom Viv suknie od Diorai kostiumy odCoco Chanel; kiedyś przeniesionezostaną zapewne doMuzeum Kina, alena razie było z nimi tylko mnóstwokokłopotu.

A więcEllen rozwiesila suknie, doktor Brandfoster zapytał Vivojejsamopoczucie i, jeśli było dobre, udał się na samotny spacer poMoskwie, masażysta i fryzjer równieżmieli już wolne, tylko opiekunpsów, Bob Hyhup, musiał wciąż tkwić przy nich, żeby je wyprowadzić przed snem.

Ale z tego tytułu miała pensję niewiele niższą odpensji doktora.

A więc Bob Hyhup, no i PatrycJa, ona nigdy nie miała żadnych własnych projektów na którąkolwiek z godzin dnia, to dzięki niej Viv nigdy nie czuła się samotna, lecz była to bardziej władza niżobecność.

PatrycJa traciła grunt pod nogami, kiedy Viv zaczynała czuć się samotna również przy niej.

Może dlatego nie lubila go, odkiedy się pojawił.

Chyba odpłaca jej tym samym.

Ale teraz był jej jednak wdzięczny, że jest z Viv w tym obcym mieście, w obcym hotelu, wśród obcych ludzi - choć dla Viv nigdzie nie było obcych ludzi.

- Naimię ma Milena - powiedział Irfan.

- Kto?

- Zdumiał się, bo od dawna nie słuchał, o czym chłopak mówi.

- Moja dziewczyna.

- Milena - poartorzył Ken.

- Ładne imię.

- U nas całkiem zwyczajne - powiedział student.

- Ale też myślę, że ładne.

- A ona?

- Ona?

- Ona czy ładna?

Bo już uzgodniliśmy, że imię tak.

- Mnie się podoba - wyznał Irfan cicho.

To przekłete pudło na ścianie wciąż milczało!

Może linia do miasteczka nie została jeszcze naprawiona?

Irfan albo Goran Petranović mogliby złatwością uzyskać informację na temat, ale nie chciał się przed nimi ośmieszać.

- Nie pójdzie pan się przejść?

- spytał Irfan.

- Nie.

Nie mam ochoty.

- Piękny wieczór.

Powietrze ostre, jak to w górach, musiałby panna rzucić kurtkę.

- Powiedziałem, że nie pójdę.

I przestańcie cackać się ze mną jak z noworodkiem.

- Mam zostać z panem?

- Jak chcesz - Właściwie.

z mamą Bujanić porozumiewam się już bez tłumacza.

Wiedział, że funkcja Irfana polega również na tym, aby nie był zbyt łatwo rozumiany przez mamę Bujanić, hojnie szafując zasobami.

swojej piwnicy.

Ale przed tą hojnością strzegło go w wystarczający sposób milczące wciąż pudło na ścianie, nie trzeba było do tego ludzi.

Nie odezwało się jednak tego wieczoru.

Podaremnyemu oczekiwaniu przeszli na górę, gdzie przy buchającym gorącym piecu

Ken wysłuchał kolejnego fragmentu wspomnień człowieka, którego grał w filmie.

Udało mu się na jakiś czas skupić myśli wyłącznie wokół tej postaci i scen przewidzianych na jutro do kręcenia.

Doświadczał zawsze radości wchodzenia w kreowaną rzeczywistość, gdy stawała się wyraźniejsza, bardziej odczuwalna, ważniejsza niż to, co naprawdę istniało w danej chwili.

Miał dotąd angielskie, wyspiarskie wyobrażenie o wojnie i była to największa trudność, jaką musiał przezwyciężyć.

W tej części Europy wróg nie atakował tylko z morza i powietrza - był wszędzie, nawet wyraźnej linii frontu nie można było wyznaczyć wśród zmatwiejących się z dnia na dzień pozycji.

Aż do tej chwili nigdy nie myślał, że było to możliwe: nagle otwierają się drzwi i wchodzi Niemcy.

Przez próg i są w domu!

Dopiero to było wojną, prawdziwie groźną, budzącą strach i nienawiść.

Jeszcze dziś widział ją w oczach ludzi.

Myślał o tym długo w noc, gdy Irfan już odszedł, a w całej gospodarce zapanowała cisza.

Był w niej sen zmęczonych ludzi - po pracowitym dniu, przed pracowitym dniem i szemranie wzebranych potoków w górach, bardziej wyobrażone niż słyszalne.

Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy rżenie koni, zgromadzonych na

południowej polanie przed jutrzejszymi zdjęciami, ale było to na pewno złudzenie.

Albo wspomnienie jakichś odległych wakacji.

Musiał jednak w końcu zasnąć, i to głęboko, bokiem zobaczył nad sobą schyloną postać mamy Bujanic, długo nie mógł sobie przypomnieć, co się dzieje, gdzie jest i dlaczego szarpie go ktoś zaramię w środku nocy.

Mama Bujanic stała przy łóżku pochylona, w nocnej koszuli, i przytrzymywała dłonią rozchybotane podniecie piersi.

To uprzytomnił sobie najpierw i sennym ruchem skłonił głowę ku miękkiej ich ruchliwości pod napiętym płótnem.

- Mister Salt!

- jęknęła kobieta.

- Telefon!

Telefon z Moskwy!

Jednym susem wyskoczył z łóżka, zgarnął dłonią przerzucony przez poręcz krzesła szlafrok i dopiero na schodach usiłował się nim owinać, co było konieczne nie tylko zewzględu na mamę Bujanic, ale i chłód panujący na dole - nie zwykł był sypiać w białym.

34

Słuchawka wisiała przy aparacie, lekko się kołysząc.

Nie dosięgnął jej jeszcze dłonią, a już wydawało mu się, że bije z niej głos Viv, wołający go przez te wszystkie przestrzenie, które ich dzieliły, kiedy jednak podniósł słuchawkę i przycisnął ją do ucha, zmroziła go szumiąca w niej cisza - Halo?

- krzyknął z niedowierzaniem.

Viv odezwała się natychmiast niewiarygodnie blisko i wyraźnie, jej głos brzmiał świeżo i pogodnie, jakby dopiero co wstała po dobrze przespanej nocy, wzięła kąpiel i wypita szklaneczkę pomarańczowego soku.

- Jak się masz, kochanie!
- Czekałem przez cały wieczór na twój telefon.

Któraż to godzina?

- Tutaj w Moskwie pierwsza w nocy.

Właśnie wróciłam z przyjęcia.

- Teraz?

O tej porze?

- Och, było cudownie!
- Wyobrażam sobie - bąknął.

Nie wiadomo dlaczego zaczynał być zły.

Na tych jakichś nie znanych ludzi, którzy oblegali Viv podczas przyjęcia, na jej skowronkowy szczebiot w słuchawce, na siebie stojącego boso na kamiennej posadzce gospody; nie musiał się aż tak spieszyć, żeby zapomnieć o pantoflach- Halo!

- zawołała Viv.

-Mówiłam, że było cudownie Nie wyobrażasz sobie, ile dostałam kwiatów.

- Od kogo?
- Od wszystkich.
- Cieszę się - powiedział, sam zaskoczony obojętnością zawartą w tym słowie.

Oparł zziębniętą stopę prawej nogi o ciepłą Jeszczełydkę lewej, złościło go, że musiał w tej pozie wydawać się śmiesznym mamie Bujanić, która z niewiadomego powodu tkwiła w drzwiach, wciąż przytrzymując ręką wyzwolone ze stanika piersi.

- Kiedy zaczynają się zdjęcia?

-krzyknął.

- Za kilka dni.

Zapoznaję się teraz z scenariuszem.

- Dopiero teraz?
- Z ostatnią wersją.

Wciąż zachodzą jakieś zmiany.

A co u ciebie?

- Kręcisz się - odpowiedział krótko.

Dlaczego właściwie czekał tak na tę rozmowę?

Podniósł teraz lewą stopę i oparł ją o łydkę prawej nogi.

Co mieli sobie do powiedzenia poza stwierdzeniem, że kręci się lub będzie się kręciło?

- Zdrowajesteś?

-zapytał.

- Tak.

A ty?

- Też.

Nie zapytał o to, ale powiedziała:.

- Ot i Des także dobrze się czują.

- Cieszę się.

Pogłaszczcie odemnie.

- Chcesz, żeby Ot zaszczekał do słuchawki?

- Jeśli uda ci się nakłonić go do tego.

Przez chwilę trwały w słuchawce szepty, cmokania i pieszczotliwieperswazje, najwidoczniej bezskuteczne, bo odezwał się po nich zniechęcony głos Viv:

- Chyba jest śpiący.

- Ja myślę - bąknął.

- Budź biednego psao tej godzinie!

- Otello i Desdemona były parą pudli, zawsze towarzyszącą Viv we wszystkich podróżach, ponieważ pozostawione w domu odmawiały przyjmowania pokarmu.

- Niepotrzebnie to zrobiłam.

- Viv zmartwiła się.

- Ostatnio jest bardzo nerwowy.

- Patrycja Już śpi?

- zapytał,

- Tak- Chyba tak.

- Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Ale kochanie'- zawołała Viv.

- Jej naprawdę tu nie ma nie rozumiem dlaczego.

- urwała.

Dobrze rozumiała, dlaczego o to pytał.

Ich rozmowa brzmiała od początku tak, jakby Patrycja przysłuchiwała się jej z sobie tylko właściwym chłodnym zniecierpliwieniem.

- Jakże możesz przypuszczać, że trzymałabym Patrycję przy sobie do tej pory.

To ona ciebie trzyma, chciał powiedzieć, zdołał się jednak pohamować, Viv nie lubiła, kiedy jej udowadniał, że boi się swej sekretarki.

- A więc Patrycja śpi- powiedział tylko.

- No, no!

Rzadko się jej

to zdarza.

- Nie bądź złośliwy.

Nie dałabym sobie tutaj rady bez niej.

- Myślałem.

- zaczął powoli - że chciałaś powiedzieć mi coś innego.

Że nie możesz dać sobie rady.

beze mnie.

- A po co dzwonię?

- spytała Viv cicho, podługiej chwili milczenia.

Słyszał tuż przy uchu jej przyspieszony oddech.

Chłopcy z telefonów musieli napracować się rzetelnie przy poprawie linii, postanowił odnaleźć ich na jutro i wynagrodzić im te starania.

- Po co dzwoniisz?

- powtórzył.

Umiał nadać ciepło wzruszenia swemu głosowi.

No! Ona także była aktorką.

- Ken!

- szepnęła.

-Naprawdę niemożę dać sobie rady bez ciebie.

Powiedz, że już nigdy nie będziemy kręcić osobno.

- Nie' Nigdy!

- zawołał żarliwie i były to pierwsze słowa, jakienaprawdę powiedział do niej podczas tej rozmowy.

-Viv, kochanie!

Słyszysz mnie?

Nigdy!

Niech ta stara sroka, niech Patrycja zawiadomiFalstona, żeby nie przyjmował beze mnieżadnych zobowiązań dla ciebie.

Powiesz jej to?

- Powiem.

-Musimy przecież znowurobić coś razem.

ChoćbynowegoSzekspira.

- Wszystko, co zechcesz.

-Nowego Szekspira!

- zapalał się.

-Już od jutra zaczynam o tymmyśleć.

Dobrze?

-Dobrze, kochanie.

- Bardzotu źle bez ciebie.

-I bez ciebie tutaj.

- Tyleludzi, aż ciasno.

A jednak zupełnie pusto.

- Powtórzto!

-Zupełnie pusto.

- To samopomyślałam podczas przyjęcia, choć wszyscy byliłlamnie tacy mili.

Ken!

Nie boisz się tego?

- Czego?

-Że nie możemyjuż być bez siebie?

-Ależ to jest miłość,kochanie.

To jestmiłość!

Mama Bujanić wciąż stała w drzwiach.

Nierozumiała ani słowaztej rozmowy, ajednak brała w niej udział i zupełnie jasnabyła dla niejjej treść.

Nie czuła już przeciągu, który przewiewał ją w otwartychdrzwiach,jakby płomień ogamąjącała, pełzał od dołu ku udomi biodrom, przesłaniał oczy krwawym migotaniem. Otoprzeżyła tyielat u boku człowieka, który nigdy nie mówił do niej takim głosem,który nigdy nie pieścił jej słowami.

Ken Salt, po aktorsku zawszeniesyty podziwu,zdumiałby się jego blaskiem w szeroko rozwartychżrenicach mamy Bujanić.

Alenie pamiętał o jej obecności.

- Skarbie!

- mówił do Viv.

-Śpij dobrze!

Położ się zaraz i śpijdobrze.

Myślę o tobie!

Jestem przy tobie!

I nie pozwolę ci już nigdy być tak daleko!

-Zadzwoń jutro-powiedziała Viv.

- Tak.

Będę czekał.

Odwiesił słuchawkę i przez chwilę stał nieruchomo, jakby brał jeszcze w siebie każde słowo nadpływające z daleka.

Dopiero szelest poza nim zmusił go do odwrócenia głowy.

Mama Bujanić patrzyła przepaszająco.

Rozumiała, że chciałby być teraz sam i że przeszkadza mu swoją obecnością.

Przywarła do framugi drzwi, gdy ją mijał, w nadziei, że może jej nie zauważy.

Ale on zatrzymał się przy niej,.

położył obydwie swoje silne dłonie na jej ramionach, na krótki moment przyciągnął ją do siebie i pocałował w obydwa policzki.

- Dobranoc, mama!

- Dobranoc!

- odparła, rażona tą bliskością jak piorunem.

- Idziękuję za przebudzenie.

- Niech pan zaraz zaśnie!

- Na pewno.

Mówili dwoma niepodobnymi do siebie językami, a jednak rozumieli się doskonale.

Salt pobiegł do siebie na górę, przeskakując po trzy stopnie.

W pokoju zalanym księżycowym światłem czerniała się na poduszceduża okrągła plama. Zwykle płoszył kotkę plaśnięciem dłoni wstawała wtedy niespiesznie i przeciągając się odchodziła, tak jak tu przysła, przez dachówkowy parapet ku któremuś z sąsiednich pokoi. Dzisiaj nie zrobił tego.

Ostrożnie, żeby nie zbudzić małego gościa, ułożył się na brzegu łóżka i patrzył, jak czarny kłębuszek porusza się łagodnym rytmem oddechu.

Spod białej łapy, przykrywającej trójką pyszczek, dochodziło ciche posapywanie.

Po raz drugiej nocy nawiedziło go wspomnienie odległych wakacji.

Lubił zasypiać razem z koźmi i psami.

Spokojny sen zwierząt użyczał jemu swojej głębokiej ciszy.

A następnego dnia pojawia się nad Sutjeską Milena, Milena Sułjan, dziewczyna irfana Koprovia.

Idzie przez miasteczko zatłoczone mężczyznami w zamszowych marynarkach, mężczyznami w partyzanckich kurtkach, ostatniej, nie znanej jej wojny, mężczyznami w kombinizonach filmowej ekipy technicznej, w to sobotnie południe wszyscy ścignęli już tu na weekend: aktorzy i statyści, setki pracowników tej ogromnej maszyny, jaką jest film wojenny.

Ale Milena nic jeszcze o tym nie wie, idzie dumiona przydworcową ulicą górzystego miasteczka, trochę przestraszona tym, że Irfan nie czekał na peronie i że będzie musiała szukać go w tym tłumie.

Walizka jej nie ciąży, nie miała mniejszej, więc musiała wziąć tędużę, a rzeczy w niej niewiele, trochę drobiazgów toaletowych, najkonieczniejszych podczas krótkiego wyjazdu.

Och, i koszula nocna!

O niej Milena stara się nie myśleć.

Kupiona za połowę studenckiego stypendium może w ogóle okazać się Jej niepotrzebna, może prześpi tę noc

w podkoszulku, który zwykle nosiła pod swetrem, i w rajstopach.

Taka szula jest bardzo piękna, z francuskiego importu, ma cały przód czarnej koronki, prześwieca przez nią ciało, biel ciała, biel piersi i różowość ich wierzchołków - ale nie pokaże mu jej, nie pokaże mu ich, nie po to tu przyjechała, co za głupota wydać tyle dinarów nacoś, czego nie można pokazać, ta walizka jest jednak ciężka i jakoś dziwnie - choć w pociągu było tak zimno - robi się gorąco.

Milena mija tyle ludzi i nie zaczepia nikogo, żeby zapytać Irfana, nie, nie chce teraz pytać o Irfana, nie chce o nim myśleć, nie chce go widzieć, może zaraz pobiegnie z powrotem na dworzec, wykupi bilet do Belgradu i wróci tam najbliższym pociągiem.

Tylko.

czy wtedy będzie mogła powiedzieć koleżankom, że widziała żywego Kena Salta?

Że rozmawiała z nim?

Że powiedział jej, jak świetnie brzmi jej angielski?

A autograf Kena, który polecił jej przywieźć Gordana?

Tonie Irfan przecież kazał jej kupić tę koszulę, która teraz wydal się jej śmieszna, i okropna, gdyby nie ręcznik, mydło, szczotki i pasta do zębów, stanowiące również zawartość walizki, chętnie by ją zostawiła na środku ulicy.

Żeby chociaż można było tę koszulę komuś bez straty odsprzedać.

Bo do domu, kiedy pojedzie na ferie, nie będzie mogła jej zabrać.

Gdyby mama albo któraś z młodszych sióstr.

- Przepraszam, nie wie pani, gdzie tu jest ulica Ivo Andrića?

- Jakiś młody człowiek, wyraźnie nietutejszy, patrzy na nią z nadzieją.

- Nie mogę się rozeznać w tej plątanie uliczek.

- Ani ja.

- Milena uśmiecha się przepaszająco.

Unosi nieco walizkę.

- Dopiero co tu przyjechałam.

I po raz pierwszy.

- Do filmu?

- Nie - zaprzecz z zawstydzającym ją samą żalem.

Chociaż.

właściwie.

Szukam Irfana Koprovića.

- Statysta?

- Nie.

Student anglistyki.

- Student anglistyki?

- Tak.

Jest tłumaczem Kena Salta.

Nie zna go pan?

- Młody człowiek - teraz głos młodego człowieka ma to samo brzmienie, co jej głos przed chwilą - niemamy dostępu aż tak wysoko.

U wylotu uliczki ukazuje się biegnący Irfan.

Dostrzegł ją, pozdrawia gwałtownymi gestami ramienia, które opuszczają zaraz, zorientowawszy się, że Milena z kimś rozmawia, że pozwoliła się komuś zaczepić w tym zatłoczonym mężczyznami miasteczku.

39.

- Właśnie pytałam pana o ciebie - wyjaśnia mu od razu, zna ten wyraz na dziewczęcej twarzy Irfana, to bolesne napięcie, które przeważnie nie ma podstaw, jak teraz.

- Bo nieczekałaś na peronie i nie wiedziałam, dokąd iść.

- Dziękuję!

- Irfan prawie niegrzecznie zwraca się do młodego człowieka, który kłania się i odchodzi, trochę wyrozumiale, trochę ironicznie uśmiechnięty.

A Irfan wybucha od razu:

- Jak mogłaś?

Ledwie wysiadłaś pociągu, a już jakieś rozmowy.

- Miałaś na mnie czekać na peronie.

- Mogłaś się domyślić, że coś mi wypadło i że zrobię wszystko, żeby wyjść ci jednak naprzeciw.

A ty od razu zaczepiasz obcych mężczyzn.

- To on mnie zaczepił!

Irfan milknie, drżą mu wargi i cały podbródek, jest wzruszający chciałoby mu się to powiedzieć, ale nie można, bo rozłościłby się jeszcze bardziej.

- Coraz lepiej!

- jęczy.

- Coraz lepiej!

- Co w tym złego?

Pytało ulicę Ivo Andrić.

- Akurat ciebie?

- Bo mnie właśnie spotkał.

- Inie zauważył, że masz walizkę w ręku, nie domyślił się, że najprawdopodobniej dopiero co wysłał z dworca?

- Mógł pomyśleć, że staletu mieszkam i właśnie wracam z wyprawy po wiosenne zakupy do Belgradu.

Och, Irfan!

Nie kłóćmy się.

Tak bardzo chciałam tu przyjechać Irfan rozgadza się łatwo.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Czy to.

Ken Salt zatrzymał cię dlatego nie mogłaś zdażyć na mój pociąg?

- Właśnie!

Zachciało mu się nagłemu maczenia artykułów o nim ze wszystkich gazet.

Ale mu powiedziałem, że przyjeżdżasz i będę musiał lecieć na dworzec.

- I zwolnił cię?

- Przecież widzisz - Tomiło z jego strony.

- W końcu nie muszę tkwić przy nim przez cały dzień,

- Nie?

- Oczywiście, że nie.

W niektórych sprawach daje sobie doskonałą radę bez mnie.

- W jakich sprawach?

- Na przykład z mamą Bujanić dogaduje się bezbłędnie.

- Z mamą Bujanić?

- Z właścicielką gospody, w której śpimy, jemy i która chlubi się także niezłe zaopatrzoną barką.

Ken Salt.

Co nas obchodzi Ken Salt?

- Oczywiście, że nie - mówisz leciutkim żalem Milena.

Pozwala odebrać sobie walizkę i idzie pochyliwszy nieco głowę, aby Irfan nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

- Podróż miałaś dobrą?

- Tak.

- Musiałaś się przesiadać w Visegradzie i w Foča?

- Tak, wiesz przecież, że nie ma innego połączenia.

- Wiem, ale myślałam.

- Co myślałaś?

- Że może.

podwiózł cię ktoś autostopem.

- Irfan?

- No już dobrze.

Przepraszam.

Milczą przez długą chwilę, w czasie której Irfan ściska palce Mileny w swojej dłoni, prawie je miażdży.

- To boli!

- Co?

- Puść moją rękę!

Oszalałaś?

Milena wyrywa się i idzie przodem w milczeniu, nie odwracając głowy.

Właściwie lubi te wybuchy zazdrości u Irfana, pochlebiają jej, a teraz przebrał chyba miarę. On sam to wie, bo doganiają zaraz, znów łapie ją za rękę i całuje biedne, zaczerwienione palce.

- To się już nigdy nie powtórzy.

Wierzysz mi?

- Wierzę - szepcze Milena bez przekonania.

Ale nie jest już nadąsana.

Nie chciałyby, żeby Irfan przestał być o nią zazdrosny, to dodaje jej pewności siebie, więc nie martwi się, że chłopak nie dotrzyma obietnicy.

- Zobaczysz, jaki wynająłem ci pokój!

Byłem już wrotpaczą, wszystkiemożliwe kwatery pozajmowane przez ekipę, pozostały jeszcze tylko dwa, trzy domy, których gospodarze odmówili wynajmu.

- Dlaczego?

- Zaraz zrozumiesz, dlaczego.

Jeden z tych domów to plebania, a drugi należy do starej panny, najbogatszej w miasteczku - i u kogo w końcu wynająłeś mi pokój?

-U niej właśnie.

- Jak ją do tego nakłoniłeś?

-Powiedziałem jej, że przyjeżdżasz pomóc mi w tłumaczeniu bardzo trudnego tekstu dla Kena Salta.

Że musimy to zrobić w ciągu nocy.

- Irfan!

-Musiałem przecież coś wymyślić.

- Ojej, nie o to mi chodzi.

Milena znów idzie przodem, ale Irfan nie stara się już jej dogonić, czuje rumieniec na twarzy i nie chce, żeby go z nim widziała, onajedna, ona właśnie nigdy nie powinna go nazwać panienką.

Dom panny Vragi Slimac -jedynej córki dawno zmarłego Duszana Slimaca, właściciela okolicznych wsi, nie istniejącego już pałacu w jednej z nich i tego właśnie miejskiego domu, którego nie zdążył przegrać w karty - stoi na małym wzgórzu w otoczeniu kwitnących drzew i krzewów.

Idzie się do niego starannie utrzymaną alejką, naktórej wygrzewają się w słońcu zielone jaszczurki.

Nie przyzwyczajono do tego, żeby je tu płoszono, pierzchają między kamienie i niską roślinność.

- Boję się - szepcze cicho Milena.

-Dlaczego?

To takie miłe stworzenia.

-Nie boję się jaszczurek - mówi Milena jeszcze ciszej.

- Nie bądź głupia!

- Irfan jest wyraźnie zniecierpliwiony.

Uderza dużą, mosiężną kołatką w wysokie, piękne drzwi domu.

Otwierają się natychmiast, jakby ktoś czekał z nimi, śledząc przez małe okienko wspinanie się gości pod górę.

Dziewczyna, która stoi w progu, ma koronkowy fartuszek i takiż stroik na głowie, ale od razu widać, że są to tylko korekwiżyty, wyciągnięte z kufra na strychu na ten wyjątkowy dzień, kiedy do domu zawitają obcy.

- Proszę - mówi dziewczyna cofając się w głąb dużego hallu, zapchanego po sufit szafami, szafkami, szafeczkami z pałacu i wszystkich dworów, które kolejno i niezmierną bez troską przegrywał Duszanie Slimac.

- Pani wnet będzie.

-Dziewczynachichocze, poprawia przekrzywiając się wciąż koronkę na potarganych włosach, potyka się o zbędną mnogość przedmiotów.

- Od rana się przystraja.

A kiedy przynieśli te kwiaty.

- Jakie kwiaty?

- Irfan zna już rozkład tego domu i popychając przed sobą pokojówkę, idzie do pokoju, który wynajął dla Mileny, dla siebie i Mileny na noc i dzień po niej.

- To niepan je przysłał?

-Ja? - zdumiewa się Irfan zbyt głośno.

Przykwiatkach, przy tych pięćdziesięciu chyba różach, które nie mogły się zmieścić w żadnym wazonie i umieszczono je w srebrnym kubku - Duszanie Slimac mroził w nim zapewne szampana - przy tych czerwonych, zaledwiorozkwitłych różach niema wizytówki, i z łatwością mógłby się donich przyznać.

Ale domyśla się, wie, kto je przysłał i kłamstwo nie może przejść mu przez gardło.

Kiedy on mógł to zrobić?
zastanawiasię.

Przecież powiedział, że idzie się położyć, więc żeby tekst - gdyby go skończył - zostawił mu u Petranovicia.

To wtedy, tak, na pewno wtedy.

- Jakie piękne róże!

- zachwyca się Milena i dodaje z rozczarowaniem, lecz i zdumieniem zarazem: -1 naprawdę nieodciebie?

- Nie!

- mówi Irfan podniesionym głosem.

Brzmi to prawie piskliwie, a najgorsze, że sam słyszy ten wysoki ton, wibrujący we własnym gardle.

- Więc kto?

Nie odpowiada, bo na szczęście zjawia się pani domu, cała w jasnościach szelestach letniej sukni, na której także znać zagniecenia powstałe w kufrze lub w zbyt ciasno zapchanej rzeczami szafie.

- Witam!

- woła od progu, wyciągając obie ręce do młodych, bardzo już postarzała i najoczywiściej niedzisiejsza panna Vraga Slimac.

- Jaką miała pani podróż?

- zwraca się do Mileny.

- Dziękuję, Bardzo dobrą.

- Mam nadzieję, że nikt nie palił przedziałe fajki?

- Nie.

Wybieram zawsze przedział dla niepalących.

- Na szczęście są już takie.

Dawniej można było wykupić sobie salonkę.

Mój Boże, wszystko minęło.

- Tak - szepcze Milena, nie wiedząc, jak najtaktowniej powinna się przyłączyć do żalu gospodyni.

Ale ona ożywia się od razu;

- Prawda jakie piękne róże?

I znów, na szczęście, nie czeka, żeby któreś z nich podzieliło jej odczucia, bierze Milenę za rękę, przyciąga do siebie.

- To bardzo trudny tekst?

- Tak - pośpiesza na ratunek Irfan.

- Ken Salt wymaga niesłychanej staranności w tłumaczeniu.

Przyzwyczajony do wysokiej wartości tekstów literackich, z którymi miał do czynienia w angielskich teatrach, wychowany na Szekspirze.

- Na Szekspirze.

- powtarza z mglistą znajomością rzeczy, alez odpowiednim uznaniem panna Vraga Slimac.

- Tak, wychowany na Szekspirze nie znosi, nie toleruje uchybieńw stylistyce, w doborze słów.

-A więc pracujcie, moje dzieci!

-woła panna Vragaz entuzjazmem, zktóregood razu uważaza słuszenie wytłumaczyć. Przyciągateraz do siebie także i Irfana i rzucając ukośne spojrzenia swojej pomocy domowej, tak paradnie przystrojonej na dzisiejszą okoliczność, wyznaje zdyszczanym szeptem: - Kłamałabym, gdybym mówiła, że kochamkomunistów.

Ale ON walczyłz Niemcami, a tozmienia postać rzeczy.

No iKenSalt gra go w filmie,i jestem przekonana, że królowa angielskaobdarzygo wreszcie tytułem lorda, jak Oliviera.

Mój świętej pamięćojciec także by walczył z Niemcami, gdyby żył.

Bo wszyskomożna o nim powiedzieć,tylko nie to, że niebył patriotą.

Kiedy król.

- Opowiadałem już tym Milenie - wtrąca pośpiesznieIrfan,przerwijając opowieść,którą panna Slimac uraczyła go poprzedniegodnia, gdy przyszedł wynająć pokój,

-No to pracujcie, mojedzieci!

Vladaprzyniesie wam zaraz kawy.

- Dziękuję.

Ale obiecałem Kenowi Saltowi, że przedstawię muMilenę zaraz po przyjeździe.

- Nie przyjdzie.

tutaj?

- pyta panna Slimac ze źle skrywanymrozczarowaniem.

- Może.

- Irfan robizadziwiające postępy w komponowaniukłamstw, do których zmuszają go okoliczności może później.

Właśniewrócił ze zdjęć.

- Wrócił ze zdjęć.

- powtarzanabożnie pannaVraga,

- Tak.

Droga niedobra, dzień był w ogóle męczący.

- Rozumiem.

rozumiem.

Proszę.

pozdrowić pana Salta odemnie.

I proszę mu powiedzieć, że jestempewna.

absolutnie pewna,iż królowa angielska, tak jak Olivierowi,który nie jest przecież lepszym odniegoaktorem, nada mu tytuł lorda.

- Czy mogłabym się trochę odświeżyć po podróży?

- pyta najmniej stosownie w tym momencie Milena, podnosząc z podłogiswojąwalizkę.

- Ależ proszę!

Łazienka jest wkońcu korytarza.

Vlada panią zaprowadzi.

- Wyglądasz zupełnie dobrze - protestuje Irfan.

-Ach - panna Slimac uśmiecha się leciutko i z zadumą, jakbyprzywoływała z najodleglejszychdali swoją młodość - cóżpan wieo dziewczętach.

Łazienka, doktórej zaprowadziła Milenę wciąż z cicha chichocząca Viada,marozmiary dużego pokoju.

W akademiku mieszkałyby

w nim czterystudentki.

Tu schroniła się epoka, której Duszan Slimacnie zdążył przegrać w karty. Prawie całą przestrzeń zajmuje wpuszczony w marmurową podłogę basen, wyłożony także marmurem, aleniebiałym, jak podłoga, lecz różowym, podświetlonym jakby od wewnątrz swoim własnym blaskiem.

- Kanaryjski!

- obwieszcza z dumą Włada, dostrzegając podziw w oczach gościa.

- Kanaryjski?

- powtarza nierozumiejąc Milena.

- No.

ten marmur.

Tak mówi zawsze pani, kiedy pokazuje komuś łazienkę.

Dziadek pani sprowadzał go aż z Włoch, kiedy budował tendom.

- Carraryjski - Milena uśmiecha się, choć onieśmiela ją to wnętrze, połyskujące odbijającymi się w marmurze weneckimi lustrami; na półkach pod nimi stoją srebrne przybory toaletowe, po które nieśmiałyby sięgnąć ręką.

- Ale myjemy się tam.

- Włada wskazuje kąpiel, w którym nadrewnianym krześle stoi emaliowana miednica, a przy niej na ziemi taki sam dzbanek.

- Zaraz przyniosę pani wody.

Ma pani ręcznik?

- Mam.

Milena otwiera walizkę, a gdy Włada znika z dzbankiem za drzwiami, śmieje się długo i szczęśliwie, i tylko mała część tego śmiechu jest niepohamowaną uciechą z blaszanej miednicy i dzbanka, całą resztę stanowi radość, że Ken Salt.

Ken Salt chciał ją zobaczyć i poznać, zaraz pójdzie do niego z Irfanem i ona powie mu to, co kładała sobie podczas podróży, starając się, żeby bezbłędnie zabrzmiało po angielsku: cały nasz żeński akademik marzy, żeby pan zobaczyć, ale tylko mnie spotkało to szczęście.

Oczywiście Irfan może tego wiedzieć i kiedy wychodzą wreszcie z domu panny Slimac, Milena długo opowiada mu o marmurowej łazience, przepowiadając sobie równocześnie w duchu to zdanie, po którym Ken Salt powinien wykrzyknąć: pani angielski jest wspaniały!

Ale tymczasem Irfan mówi:

- Może wstąpilibyśmy gdzieś na kawę?

- Jak to.

- Milena aż przystaje.

- Przecież mieliśmy.

mieliśmy iść do Kena Salta!

- Wymyśliłem to dla panny Śliniac.

Zagnałaby nas od razu do słęczenia nad tekstem, a ja nawet nie wziąłem nic w tym rodzaju.

- Powiedziałeś.

- Milena potrząsa głową, jakby chciała się wyzwolić ze złęgosnu i odpowiedziałeś.

- Dziewczyno!

- wzdycha Irfan.

- I nie obiecałeś Kenowi, że mu mnie przedstawiś?

- Ken teraz na pewno śpi.

Zważywszy, że nie położył się wtedy, kiedy miał się położyć.

Więc śpi, a po szklance whisky, którą niechybnie wychylił, sen ma głęboki i chrapie.

- Irfan!

-No co?

Najwięksi bohaterowie chrapią, siusiają.

-Przestań!

Milena opuszcza powieki, żeby ukryć pod nimi gwałtownie gromadzącą się Izy, nie zwraca uwagi, dokąd ją Irfan prowadzi, machinalnie zajmuje miejsce przy jakimś stoliku w jakiejś kawiarni.

- Czego się napijesz?

- pyta Irfan.

- Przecież mówiłeś, żebyśmy wstąpili nakawę!

Przepraszam -szepcze po chwili i przykrywa dłońmi wspartą o stół rękę chłopca.

- Przepraszam.

Zamów, co chcesz.

Wszystko mi jedno.

A potem bejrzymy miasteczko, kościół i stary klasztor, który widziałam z pociągu, kupimy sobie chleba i serana wypadek, gdybyśmy byli głodni, zejdziemy nad rzekę i będziemy wygrzewać się na słońcu.

- Kocham!

Kocham cię!

powtarza Irfan, znów tak łatwo i ufnie rozpozgodzony, jakby nie groziła mu już żadna pomyłka ani

zasadzka.

- I nie będziemy się już nigdy kłócić, przyrzekam ci.

Nie będziemy się kłócić Kena Salta, ani o nikogo innego.

- A kłóciliśmy się?

-Nie.

Skoro już tego nie pamiętasz.

Zamawiają kawę i po ogromnym kawałku tortu z kremem, który oczywiście nie jest tak dobry jak w małej akademickiej dziurce naprzeciwko uniwersytetu w Belgradzie, ale Irfan promienieje, to jest najważniejsze, to powinno być najważniejsze już na zawsze.

Tak są zapatrzeni w siebie, że gdy Ken Salt wchodzi do kawiarni, dowiadują się o tym z nagłego zamknięcia wszystkich głosów, wygaśnięcia gwaru.

Kiedy oboje zwracają głowy kudrzwiom, stoi w nich jeszcze, bardzo zwyczajny, w koszuli nie dopiętej na piersiach i pomiętych spodniach - pierwszy mężczyzna w tym mieście, pierwszy niejako podwójnie, ważnością własną i tą drugą, użyczoną mu przez człowieka, którego odtwarza w filmie.

Stoi, rozgląda się niezdecydowany, Irfan chciałby się w tym momencie zapaść pod ziemię, ale on już go dostrzega, podnosi do góry rękę, woła donośnie:

-Hej!

- Hej!

- odpowiada słabo Irfan.

Podnosi się, nie tak szybko, jakby należało, i prowadzi aktora do stolika.

- To Milena.

Mówiłem panu.

46

- Domyśliłem się.

- Wyciąga ku Milenie swoją dłoń, w której ginie jej zziębnięta nagle i spoconaw jednej chwili łapka.

- Bardzo się cieszę, że pani przyjechała do Irfana.

- Ja także - szepcze Milenie po angielsku, zupełnie zapomniała, jak brzmią po angielsku te dwa najprostsze słowa.

- Ja także - powtarza.

Onnie jest piękny, nie - ma niebieskie, zupełnie pospolite oczypodniskimi brwiami, usta koloru skóry i dwie bruzdy po obydwu stronach - na pewno nie jest to więc twarz piękna, ale jest to twarz mężczyzny, za którym poszłoby się bosą po śniegu na koniec świata.

Milena to poznaje pogwałtownym uderzeniu krwi do głowy.

- Jaką miała pani podróż?

Po raz trzeci, od kiedy wysiadł z pociągu, pada to pytanie i po raz trzeci odpowiada bardzo uprzejmie, tym razem już po angielsku:

- Dziękuję.

Bardzo dobrą.

- Przesiadła się pani w Yisegradzie i w Foća?

- Tak - szepcze Milena.

- W Yisegradzie i w Foća.

I zaraz potem wstaje i nie patrząc na zadnego z mężczyzn mówi:

- Przepraszam.

- Co jej się stało?

- pyta Ken zdumiony, gdy Milena znika za kotarą, w której nie od razu zresztą odnalazła przejście.

- Nie wiem.

- Irfan jest równie zdumiony, ale jest to już zdumienie bolesne, rodzące się uczucie przykrości.

- Dlaczego pan to zrobił?

-- mówi nagle bardzo cicho.

- Co?

- Salt nie rozumie.

Rozgląda się leniwie po kawiarni, kobiety wpatrują się w niego, młodziejają piękniej z pragnienia, żeby zwrócił na niego uwagę.

- Dlaczego pan przysłał te kwiaty?

- wybucha Irfan.

- I skąd pan wiedział, gdzie wynająłem pokój dla Mileny?

- Nietrudno było się domyślić, pomogła mi w tym zresztą mama Bujanić.

A róże - zawiesił głos - różę posłałem dlatego, że dziewczęta kochające chłopców nie mają na ogół zbyt wiele przyjemności.

Czy się mylę?

- Myli się pan!

- krzyczy niemal Irfan.

- I nic pan nie wie.

nic pan nie wie o.

świeżości uczuć.

- Mój drogi!

- Ken patrzy na Irfana z prawdziwą życzliwością - Świeżość uczuć ceni się dopiero na stare lata.

- Pan jest.

pan jest.

- krztusi się chłopak.

- Mądry.
A może także trochę smutny.

Wraca Milena, znowu z trudem wyplątując się z aksamitnej kotary.

Przypudrowała nos, ale wcale nie wygląda przez to dorośle.

Nadworze maj, kwitną krzewy i drzewa, a ona chyba naprawdę jest zziębnięta.

Zauważyła to i Ken.

Rozgrzałbym cię, myśli przypatrując się szarej twarzy dziewczyny.

Miałabyś cowspominać do końca życia.

Przygodaj Kenem Saltem!

A może dostałbyś pysk?

To także byłaby nie najgorsza przygoda, tym razem dla niego.

- Kawa ci wystygła - mówi Irfan świszczącym szeptem.

- Lubię zimną.

- Dlaczego wychodziłaś?

Źle się czujesz?

- Nie.

Uzmysłowałam sobie, że zupełnie nie umiem po angielsku.

- Co za głupstwo!

- Tak.

Nie mogę skleić najprostszego zdania.

- Może jednak źlesię czujesz?

- Nie wiem.

Nic nie wiem.

Słuchaj, Irfan, kupiłam sobie wspaniałą nocną koszulę.

- Co takiego?

Nocną koszulę.

Nie możesz wciążyć widzieć mnietylko w dzinsach.

Więc pomyślałam sobie.

Strasznie drogata koszula, bo cały przód ma z czarnej koronki.

Sam zobaczysz.

Splaw tego całego Kena Salta, nie będziemy przez niego marnować czasu.

-- Oszalałaś!

- szepcze Irfan, zdumiony i zachwycony zarazem.

Nie rozmawiają po angielsku, co jest niegrzeczne wobec Kena,

który wie, że oboje znają ten język, ale nie myślą się tym kłopotać,

nagle aroganccy i arogancko młodzi.

- Chyba pożegnamy pana - mówi Irfan niedbale do Salta, przyzywając gestem kelnera.

- Tak, chyba już pana pożegnamy.

- Milenie wraca znajomość angielskiego, gramatyka, słówka.

Obciąga sweter na bardzo skromnym biuście, co wzrusza Kena tak dalece, że wcale nie czuje się dotknięty.

- Ale janiestety będę cię jeszcze potrzebował - zwraca się do Irfana nie patrząc na niego, bo zaczyna go nagle denerwować ta jego śliczna, dziewczęca twarz i histeryczne stany, które raz po raz zmieniają jej wyraz.

- Będę cię jeszcze potrzebował - powtarza wolno i zdaje sobie sprawę, że chłopak chciałby go teraz zabić.

- Nie mogę się jakoś porozumieć z Pasojevicem, nie wiem, czego chce odemnie.

- A..

- Irfanowi drżą wargi, czuje to i przeraża go, że Salti Milena mogą to dostrzec.

- Anie można tego odłożyć do Jutra?

- Nie.

Zoran prosił o rozmowę dzisiaj.

- Jak długo.

potrwa?

48

Ken rozkłada ramiona teatralnym gestem.

- Tego niktnie wie.

- I nikt tu prócz Irfana nie zna angielskiego?

- pyta Milena ostrym głosem.

Ken, przychyliwszy na ramię głowę, przygląda się dziewczynie.

- Nikt-prócz pani!

- Odprowadzę Milenę zaraz do panawracam.

- Irfan zagarnia ją przed sobą prawie wypycha z kawiarni.

Kenowi, gdy spogląda z nimi, wydaje się, że oboje płaczą.

Ale kiedy Irfan wreszcie wraca, mówi do niego, znowu nie patrząc mu w twarz:

- Powinieneś być mi wdzięczny.

- Pozwoli pan- świszczę Irfan przez zęby- że nie będę.

- Przecież to jeszcze dziecko!

- Ma dwadzieścia lat.

Ma dwadzieścia.

i kochamy się.

- Niedojrzałość nie jest sprawą wieku.

Znałem dziewczyny piekielnie dojrzałe w wieku lat piętnastu.

Ale one wiedziały, że mówienie o miłości niema żadnego znaczenia.

- Czego pan chce ode mnie?

- Nic poza tym, żebyś pozwolił się jej przespać Zorana Pasojevicia oczywiście nie ma w "dowództwie" filmu.

Petranović, kierownik produkcji, dziwi się, że Keno tym zapomniał, że zapomniał owielkiej próbie, jaką reżyser miał dzisiaj z wojskowymi statystami.

- Umówił się ze mną- Ken nawet nie unika spojrzenia Irfana, jakby najzwyczajszą sprawą w tych okolicznościach było to, że będąc zakażony Pasojevicia choćby do rana.

- Napijmy się czegoś - proponuje.

- Ja dziękuję sztywno odpowiada Irfan.

Czy chce pan, żeby teraz skończył tłumaczenie tych artykułów?

- Oczywiście.

Ale nie przepadaj w swoim pokoju.

Zrób tutaj.

Poprosimy Dragana, żeby wytarł stół, i będziesz mógł się tu rozłożyć ze swoją pracą.

Siedzą w gospodzie przy ulubionym stoliku Kena pod oknem, skąd widać zalany słońcem południowy stok wzgórza, które od północnej strony tworzy zaczynający się opodal kanion Sutjeski.

i barek mamy Bujanić widać od tego stolika dobrze, Ken ceni sobie obydwie widoki na równi, a kiedy Dragan z nieodłącznym papierosem w kąci ust zjawia się, żeby zetrzeć ze stołu mokre plamy po winie, Ken przyciąga go do siebie i prosi prawie czule:

- Szklaneczkę!

- Tego co zawsze?

- Tego co zawsze.

Mozesz od razu przynieść dwie.

- Ta drugato dla niego?

- Dragan patrzyna Irfana.

-Nie, również dtamnie.

Młody człowiek jest abstynentem.

- Przynajmniej wtedy, kiedy pracuje - odcina się student.

Idzie dopokoju, przynosi gazety, zeszyt i długopis.

- Och - mówi Ken- nie potrzebuję tego napiśmie.

-Przedtem chciał pan,żebym to napisał.

- Musiałem cię czymś zająć.

Żeby Milko zdążył kupić i zanieść
kwiaty.

Milko wyczekuje przy bufecie na rozkazy, i na dźwięk swegoimienia ukazuje w uśmiechu wszystkie zęby.

- Jużraz powiedziałem panu -syczy Irfan znad gazety że niepotrzebnie je panposyłał.

-Nie ucieszyła się?

- Zdziwiła.

A ucieszyła się panna Slimac!

Żałuję, że nie wmówiłem w nią, że to dla niej.

Onajestjeszczesz epoki królestwa Jugosławii, a te gesty, te pana gesty.

- Nie powiesz mi, że nie cenią ich także młodekomunistki.

I nieusiłuj mnieobrazić.

Po pierwsze: to ci się nie uda, jestem dziś w wyjątkowo dobrym nastroju, a po drugie: nie zasługuję na to.

Tenmiły rodzaj rozmowy utrzymujesz aż do późnego wieczorapoprzez obiad, naktóry mama Bujanić osobiścieprzygotowała i podała Kenowi znakomite jagnię z rusztu i kilka szklaneczek ulubionego trunku nie liczonych dziś przez nikogo.

Gdy nie wiadomo było,kiedy wróci Zoran Pasojević, kiedy nawet należało przypuszczać,żenieprędko - Petranović tracił nad Kenem całąwładzę.

Te szklaneczki whisky nie mają zresztą żadnego znaczenia.

Umysłma wciążprzenikliwie jasny, o wiele za jasny jak na ten zasmarkanydzień, w którym - nie, to nie do wiary!

- do tego różowiułtkiego imieniaącego się na twarzygówniarza przyjechała dziewczyna, podczasgdyon, Ken Salt, wpatruje się wciąż na próżno w milczące pudłotelefonu na ścianie.

Przez cały czas wydawało mu się, żenie myśli oViv, że zajmują go sprawy tego smarkacza i dziewczyny, którą sobiesprowadził -on jeden zcałej ekipy!

- na dzisiejszydzień i całąnoc,całą noc do rana, tak,nie myślał o niej,ale była jego podświadomością, wewnętrznym dyktatemwszystkiego, co czynił lub nie czynił.

- Irfan - mówi nagle Ken miękko.

- Idź doniej.

Chłopak nie rozumie,mruży oczy, jestjuż zmęczony i senny,niemożesię doczekać, kiedy Anglik zaleje się do końca i uczepionyramienia zawsze gotowego dousług Milka, powędruje na górę do

50

łóżka.

Wtedy on- wtedy on.

wtedyi on.

mógłby zamknąć drzwi węgopokoju na poddaszu gospody i przespać wszystko, co się niedokonało, nieziściło.

- Dokąd mam iść?

- pytasennie.

- Do niej.

Przecież czeka na ciebie.

Przepraszam, że cię tak długo zatrzymałem.

- To nic - szepcze chłopak.

- Głupstwo.

- Idź do niej!

- Ken podnosi głos.

Hałaśliwa grupa jugosłowiańskich aktorów milknie, wszyscy zwracają głowy ku stolikowi pod oknem, nawet Dara Sulajić, sekretarka planu, ta z wąsem, caław oparach kawy i dymu; okazuje zainteresowanie tym, co się tam dzieje, choć na ogół - co nie jest miłe u kobiety - interesuje się wyłącznie sobą.

- Idź do niej!

- powtarza Ken już nieco ciszej.

- Niech panda spokój!

- Czy chcesz, żebym ja poszedł?

- O, Boże!

Czego pan chce ode mnie?

- Kupię następne pięćdziesiąt róż, wykupię wszystkie kwiaty w miasteczku i pójdę tam, jeśli zaraz nie ruszysz się z krzesła.

- Nie mówi pan tego poważnie.

- Mówię bardzo poważnie.

- Ken zniża głos, każde jego słowo, wypowiedane teatralnym szeptem, jest ciche i donośne zarazem, w teatrze dostałby za to brawa, a ten gówniarz nie potrafi tego ocenić.

- Mówię bardzo poważnie.

Liczę do trzech.

- Chcemy się spać - Jęczy chłopak.

- Liczę do trzech: raz.

dwa.

Irfan podnosi się z krzesła, przeciąga się, ciężką dłonią poprawia zmierzwił włosy.

- ...

trzy!

Poradzę ci coś: biegnij przez całą drogę!

Otrzeźwi cię to i wróci formę.

Dużo biegałem, kiedy byłem w twoim wieku, nawet nieżyłem na pięćset metrów.

Przydaje mi się to od czasu do czasu na planie.

- Niech pan wreszcie zamilknie!

- mówi Irfan przez zaciśnięte zęby.

Jest przekonany, że następnego dnia Anglik poprosi o innego tłumacza, ale jest mu wszystko jedno.

Ken Salt wciąż jednak nie daje się obrazić, uśmiecha się, wykonuje piękny, naprawdę bardzo piękny gest.

- Życzę dużo szczęścia!

A żeby cię wszyscy diabli!

klonie Irfan, ale już nie na głos, zapina kurtkę i wypadają z adymionej gospody w czyste, pachnące niedalekim lasem powietrze.

Nie biegnie, jak radził mu Anglik, wystarcza.

kilka głębokich oddechów, żeby poczuł się różnie i żeby powróciłopragnienie całego długiego dnia.

Postanawia przynieść Miieniekwiaty, jest pewien, że zrozumie to we właściwy sposób, wybierze różę ładniejszą od róż Kena, nie tak prowokacyjną, bladą różę i wszystkie jeszcze w paczkach.

Niestety, kwaciarnia jest już zamknięta i nie zdaje się na nic długie pukanie do drzwi i okien, ekspedientka łączy się zapewne z jakimś aktorem gdzieś w parku, ludziana ogół starają się nie marnować majowych wieczorów.

Teraz biegnie.

Serce wali jak odbijana o blaszane ściany piłka, wszystkie ulice miasteczka prowadzą pod górę, no i w końcu ta ścieżka do domu panny Vragi Slimac, na niej serce sięga gardła i chce wyskoczyć przez zdyszane usta.

Biegnie.

Stracił już tyle czasu, ale ma go jeszcze trochę przed sobą i nie pozwoli. już nie pozwoli.

Włada, przebrana za fertyczną pokojówkę pomoc domowa panny Slimac, otwiera drzwi, gdy Irfan jest na ostatnim stopniu schodów, Wygląda na to, że czyhała tu przez cały czas, zdumiona tak samo jak panna Slimac tym, że się nie zjawił.

- Ona śpi - obwieszcza z triumfem.

- Pracowała przez cały dzień,
a teraz śpi.

- Pracowała.

przez cały dzień?

- Tak.

Wciąż jej było mało papieru.

Zapisała cały papier listowy, jaki był w domu.

I musiałam Jej wciąż przynosić nowe gazety -

- Wychodziła na obiad?

- Nie.

Zjadła z nami.

Pani ją zaprosiła.

Miałyśmy dziś.

- A pani.

już także śpi?

- Nie.

Poszła nanie szpory, zwykle potem wstępują na plebanie grają z księdzem proboszczem w karty.

- No to my.

jeszcze.

popracujemy.

- Jaka się Irfan i czuje, że czerwienieje na twarzy.

Na szczęście w zapchanym sprzęcie hallu jest ciemno i Władanie może tego dostrzec.

- Proszę namnie przeszkadzać.

Akawy nie przynieść?

Dziękuję.

Dopiero co piłem.

- Ale ona.

ona może by się napiła?

- Narazie nie będzie jej budził.

Sam dokończę tłumaczenia.

Milena rzeczywiście śpi, albo spała, zanim przyszedł.

Teraz także, nie rusza się, przykryta turecką kapą, którą zasłane było łóżko, mała pod nią, zwinięta w okrągły kłębek, przyczajona w udawanym śnie.

Irfan ściąga kurtkę i uniósłszy kapę kładzie się obok, przytula się dopleców Mileny, całuje jej kark.

Kiedy usiłuje dłonią odwrócić do siebie jej twarz, poznaje, że płakała.

Poduszką jest jeszcze mokra, a policzki także zachowały wilgoć.

- Kocham cię !

- szepcze Irfan w podkoszulek na jej piecach.

- Kocham cię, słyszysz?

i nic poza tym nie jest ważne.

Spędzimy ten czas i nie tak, jak wyobrażają sobie ludzie.

Milena milczy, ale teraz nie udaje już, że śpi, jej ciało się ożywia i otwiera na każde jego słowo, dziewczyna odwraca się powoli i przytula do Irfana całą swoją szczupłością i śliskością, prócz podkoszulka ma na sobie rajstopy, i Irfan dotyka ich wreszcie dłonią, palcemu drżą.

- Nie musi być tak, jak wyobrażają sobie ludzie - szepcze.

Ustami wilgotne i nabrzmięte, boi się dotknąć twarzą Mileny, a lekko ją dotyka, jej usta są też nabrzmięte i wilgotne, ustępują pod jej wargami, łączy je z nimi wspólny jęk, głębokie westchnienie.

- Tak.

- Milena rozpina koszulę na jego piersiach, odrywa oporne guziki - wcale nie musi być tak, jak wyobrażają sobie ludzie.

Zamknąłeś drzwi na klucz?

- Nie.

- Zamknij!

- Ale.

gdyby.

- Zamknij!

Irfan biegnie do drzwi, przekręca klucz w zamku, nie troszcząc się o to, że może to usłyszeć Włoda, w drodze powrotnej do łóżka zrzucił koszulę i spodnie, zsuwa z nóg obuwi.

- Kocham cię - powtarzawciaż.

- Kocham.

- Daj mi z walizki koszulę!

- woła Milena.

Zdażyła już ściągnąć podkoszulek, okrywa teraz nim swoje drobne piersi.

- Koszulę?

- Tak, przecież mówiłam ci.

Wydałam na nią połowę stypendium!

Irfan chwycił drżącą dłonią miękki kłębuszek jedwabiu, chce spojrzeć, jak wygląda na ciele Mileny, ale onanie daje mu na to czasu,

wciąga go w łóżko, obejmuje udami.

- Zabiję jutro Kena Salta - szepcze dziewczyna - jeśli odważy się wezwać cię dziś do siebie.

- Nie!

- Irfan śmieje się szczęśliwie.

Nie robi tego.

Na pewno tego nie zrobi.

- Skąd wiesz?

Do niego wszystko podobne.

- Wiem, że tego nie zrobi.

- Irfan kładzie dłoń na malej piersi, której wierzchołek twardnieje pod tym uciskiem i zamienia się w ciepły, zaczepek nystożek.

- Już nie.

Kazał mi iść do ciebie!

- Kazał ci?

Tak.

Powiedział; idź do niej.

w nim mogło się obudzić.

Jak powiedział?

- Idź do niej - powtarza Irfan, nie rozumiejąc, dlaczego to takie ważne.

-- Wynoś się!

-krzyczy Milena.

Odrzuciła go jednym ruchem nóg,

wyrzuciła z łóżka.

- Wynoś się, ty gówniarzu!

Irfan nic nie rozumie, najpierw przeraża go własna nagość w łóżku, ale na zimnej podłodze usiłuje zebrać swoje rzeczy, zgarnąć je, wciągnąć na siebie.

- Dlaczego?

Dlaczego?

- szepcze przerażony.

- Wynoś się!

- piszczy Milena.

Wcisnęła rękę podciągnęła, swoją piękną koszulę, żeby okryć nią przeświecające przez koronkę piersi.

- Wynoś się!

Prędeż!

Bo narobił takiego wrzasku, że nie tylko Włada, ale i panna Slimac usłyszy go na plebanii.

Pozwolił ci,

tak? Kazał ci iść do mnie!

- Mileno!

- Irfan jeszcze ma nadzieję, że zdoła wszystko jej wytłumaczyć, naprawić, zawrócić czas do poprzednich chwil.

Wkońcunc już nie chce poza możliwość zostania w pokoju; wyobrażenie oczu Włady, czyhającej zapewne w przedpokoju, pęta mu ręce i nogi,

paralizuje ruchy.

Ale Milena nie boi się spojrzenia pomocy domowej panny Slimac.

Zrywa się z łóżka, podbiega do drzwi, zhałasem przekręca klucz

w zamku.

-Zjeżdżaj!

woła na cały dom.

- I w Belgradzie nie pokazuj mi

się na oczy!

Ludzie nieszczęśliwi mają bardzo dużo czasu, tak myśli Irfan, kiedy nie wie, co ze sobą zrobić, kiedy przez długie godziny błąka się po miasteczku, bojąc się wrócić do gospody - może by zabił Kena Salta, albo mu przynajmniej naubił, żadnego znaczenia nie miał fakt, jakie naprawdę przyświecały Anglikowi intencje.

A na ten wieczór majowy nawet zgór zeszyły do miasteczka dziewczyny i teraz wiodą za sobą mężczyzn w zamszowych marynarkach, mężczyzn w partyzanckich kurtkach ostatniej, nie znanej wojny, mężczyzn w kombinezonach filmowej ekipy technicznej.

Irfan wędruje za nimi, pijewino w jakiejś gostinicy, mówi już komuś ty, już kogoś całuje i śpiewa zachrypniętym głosem wojskowe

piosenki.

Kiedy wraca do gospody, jest już późna noc, w sali na dole przygaszono światła, więc Irfan, żeby nie zbudzić Kena Salta, gdy będzie

54

przechodzić obok jego pokoju, zdejmując buty i trzymając je w ręce, posuwa się po ścianie w głąb korytarza.

I nagle słyszy, jak Ken krzyczy do telefonu, jak biedny Ken wyobraża sobie, krzyżąc tesłowa, że Viv CHvley naprawdę zjawisnę nad Sutjeską:

- ...

Prześiądziesz się w Višegradzie i w Foća.

Zapamiętaj!

Zapisz sobie: w Višegradzie i w Poća.

A tutaj będę czekał na ciebie!

Przez wszystkie następne dni będę czekał na ciebie!

Irfan powinien być to widzieć.

Tak, powinien być przy tym i widzieć, jak na jedenasty piętrze luksusowego hotelu w Moskwie, które wynajęła i całkowicie wypełniała swoją niezwykłością, a także mnogością przywiezionych przedmiotów i liczbą towarzyszących jej osób wielka amerykańska gwiazda - jak na tym jedenastym piętrze Viv CHvley usiłowała kupić lub bodaj wypożyczyć za dwieście dolarów znoszony kożuszek odzudmionej panienki z recepcji.

Daria Dmitrjewna, której rodzice, a przynajmniej jedno z nich, musieli pochodzić z Kaukazu, zwróciła uwagę Viv właśnie swojej południowej urodą, czarnymi włosami, które czesała tak jak ona właśnie, w puszystą czuprynkę, nastroszoną nad czołem.

Te włosy, krucze brwi i rzęsy, mały nosek i.

kożuszek biała barania bekieszka, mocno podniszczona - były powodem zaproszenia jej na górę, w największej tajemnicy przed Patrycją Roth, którą chyba raz w życiu i w najmniej odpowiednim momencie zawiodła intuicja.

Pośredniczył w całej sprawie, na ten jeden jedyny raz dopuszczony do takiej poufałości, Bob Hyhup, opiekun Ota i Des.

On to sprowadził do apartamentów na jedenasty piętrze Darię Dmitrjewnę, już w windzie uwagami o ekscentryczności amerykańskich gwiazd starając się przygotować ją do niezwyklej propozycji, jaką miała otrzymać.

Viv przyjęła ją w swojej sypialni - tu Patrycja zaglądała najrzadziej i zawsze można było zatrzymać ją za drzwiami, tłumacząc się bólem głowy - miała na sobie peniar obszyty polarnymi lisami, przygotowany chyba specjalnie na Moskwę, i tym dziwniej zabrzmiała prośba, której Viv nie wyjawiała szczęście Darii od razu.

Posadziła ją w fotelu, którego istnienia Daria, pracująca tu już od dwóch lat, nawet nie podejrzewała, choć zdarzało jej się wchodzić do apartamentów położonych na niższych piętrach.

Był to kołyszający się.

obłok, w który zapadało się ze zgoła nie marksistowskim uczuciemwniebowzięcia.

- Kochanie!

- powiedziałaViv swoimnajtkliwszyrngłosem, Tak ładnie pani w tym fotelu.

- Każdemu,.

- szepnęła Darta- każdemu jest chyba w nimładnie,Rozmawiały po angielsku, Daria skończyła instytut języków zachodnioeuropejskich, z równą swobodą używała niemieckiegoi francuskiego, w tym hotelu stawiano personelowi wysokie wymagania.

- Napije się pani czegoś?

-Dziękuję.

Mam dyżur wrecepcji.

Muszę tamwrócić.

- Ale mogę mieć przecież jakieśkłopoty - Viv udawała bezradną,zmartwioną- mogę mieć jakieśsprawy, wktórych potrzebna Jest mi pomoc.

Daria Dmitrjewna zsunęła się na sam brzeżek fotela.

- Jesteśmy zawsze gotowi douślug iwszelkiej pomocy!

Mam nadzieję, żenic złego się pani nie przydarzyło?

- Och, nie.

Skądże znowu.

- Temperatura w hotelu jest właściwa?

-Chyba tak - uśmiechnęła się Viv - bo Niemcy chodzą w samych koszulach.

Daria roześmiała się i było jej z tymbardzo do twarzy.

Viv obserwowała ją, przechyliwszynieco głowę.

- Jesteś chyba trochę do mnie podobna.

Daria stanęła w łunierumieńca.

-Ależ, proszępani!

- Mów do mnie: Viv Michajłowna, mój ojciec miał na imię Michel, po waszemu Mi-cha-ił.

Tak to u was jestw zwyczaju, używasięimienia ojcazamiast nazwiska, prawda?

-"No, niezupełnie, nazwiska używa się także.

- Oficjalnie.

Ale w stosunkach towarzyskich.

takich jak między

nami.

- Między nami.

- powtórzyła Daria z najwyższym zdumieniem.

- Nie myśl bez przerwy o tym, kim jestem.

To właśnie męczymnie najbardziejpoza domem.

Nikomu przez myśl nie przejdzie, żejestem zwykłą kobietą, że mam zwykle potrzeby i pragnienia, żechciałabym może przejśćsię po Moskwie bez żadnejasysty, w takim kożuszku jak twój.

- Och - Daria Dmitrjewna zarumieniła się jeszcze mocniej -jest już taki zniszczony

- Jest świetny!

- zawołała Viv.

-Na pewno znakomicie bym się wnim czuła.

- Czy.

- recepcjonistka zsunęła się tak dalece z fotela, że siedziała właściwie na własnych piętach -- czy pani.

życzy sobie.

- Mów mi: Viv Michajłowna!

- Czy pani.

Viv Michajłowna.

- Daria zmieszała się jeszcze bardziej - życzy sobie. Żeby jej pożyczyła mój kożuszek?

- Pożyczyła?

Można to i tak nazwać.

W każdym razie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś kupiła sobie nowy w shopie na dole.

- Nic nie stoi na przeszkodzie?

- wykrztusiła Daria.

Viv wstała ze swego miejsca i przysiadła na oparciu fotela, otoczyła ją ramieniem w białym pachnącym futrze.

- Głupiątko!

- powiedziała czule.

- Nie chcę cię razić, ale właśnie dlatego, że cenię sobie twoją bezinteresowną życzliwość i że, hm, mam trochę pieniędzy, a ty jesteś tak młoda, że ich jeszcze mieć nie możesz.

- Viv Michajłowna!

krzyknęła Daria.

- O, Boże!

- zniecierpliwiła się wreszcie Viv, nie przewidywała aż takich ceregieli przy tak prostej transakcji.

- Dam ci trochę dolarów i kupisz sobie nowy kożuch, a ten stary odeślesz mnie.

To chyba proste?

- Proste?

- Czarne oczy Darii Dmitrjewny zaokrągliły się w bolesnej rozterce, bo już być może widziała siebie w nowym kożusku, a równocześnie widziała zdumione spojrzenia personelu recepcji.

- To wcale nie jest proste.

- Dlaczego?

- zapytała Viv z rosnącym zniecierpliwieniem.

- Och - zakłopotana się Daria Dmitrjewna - paninie będzie mogła tego zrozumieć.

Ale oczywiście moją bekieszkę pożyczę pani największą.

naprawdę największą radością.

- A w czym sama będziesz chodzić?

Zimny maj w tej waszej Moskwie.

- Nie zawsze jest tak.

Ten rok zupełnie wyjątkowy.

- Daria Dmitrjewna zaczęła gorliwie bronić moskiewskiego maja, jakby jego niska temperatura była skutkiem jakichś błędów i poważnych niedopatrzeń.

Na ogół o tej porze chodzimy już w samych sukienkach.

- Widocznie mam pecha - mruknęła Viv i dodała głośniejszym głosem: - Wyjątkowy czyni wyjątkowy, ale kożuszek jest ci potrzebny.

- Nie wtedy, kiedy siedzę w recepcji.

W tym czasie.

w tym czasie pani.

- Viv Michajłowna.

57.

- „,w tym czasie pani, Viv Michajłowna, mogłaby spacerować w moim kożusku po Moskwie.

-Świetnie!

- Viv roześmiała się.

-Jednak załatwimy to inaczej.

Bo nie znoszę sytuacji, kiedy nie rozporządzam w pełni swoim czasem.

Dość mam ograniczeń naplanie.

Więcnie dziw się, gdy ktoś przyniesie ci do recepcji prezent.

- Prezent?

-Tak.

Ty przedtem dostarczysz mi na górę bekieszkę, dyskretnie, rozumiesz, nie musio tym wiedzieć cały hotel, a przede wszystkim ój personel, a potem ktoś przyniesie ci prezent ode mnie.

Dużapaczkę, pięknie zapakowaną!

Prezenty wolno ci chyba przyjmować?

- Nie wiem, czy.

takie - zaszeptala Dariusza w śmiertelnej męce.

- Nie bądź dzieckiem.

- Viv znowu objęła ją swoimi białymi i puszystymi ramieniem, polarne lisy pachniały odurzająco.

-Zobaczysz, że to nawet zrobi dobre wrażenie Wkońcu mogę mieć taki kaprys.

Wciąż wszystkie gazety piszą o moich kaprysach, a kiedy wreszcie jemam, tak trudno je zrealizować.

Tam wiszą różne kożuchy w tymshopiena dole.

Chcesz mieć biały czy brązowy?

- Biały- szepnęła Daria.

Czy byłakiedyś sama na lotnisku?

Bez babci, bez rodziców, bezkolejnychmężów, którzy - jeśli tylko mogli- towarzyszyli jej w podrózach, beztlumu płatnych opiekunów wreszcie, koniecznych i corazliczniejszych wmiarę wzrostu jej sławy.

Nigdy nie troszczyła się to, w jakie wejśćdrzwi, naktóre wstąpić schody, którędy trafić dowyjścia, jak zdobyć taksówkę.

Nigdysamanie dźwigała bagażu.

Teraz to wszystko wydaje się jej koszarne, trudne, budzące strach -zwłaszcza że wciąż stara się, żeby jej nierozpoznano.

W samolocieto sięchyba powiodło, Stewardesy, zawiadomione przez obsługęodprawy dokumentów, kogo mają na pokładzie, przyjrzawszy sięwszystkimpasażerom musiały rzecz całą uznać za pomyłkę.

Możep przez sekundę dłużej zatrzymały na niej wzrok, ale kożuszek DarliDmitrjewny miał działanie magiczne; Viv Clivley nie mogła być takubrana.

Przez całą podróżnie zdjęła okularów, nie rozwiązała zruskazamotanej wokół głowy chustki.

Ale wBelgradzie jestupał!

Zanimpodstawiono schodki i otworzono drzwi, samolot przy wyłączonejklimatyzacji zamienił się wpodgrzewane pudełko sardynek.

Kożuch

Darii Dmitrjewny staje się ciężki, ogromny, oblepiający ciało.

Vivściąga go z siebie, przerzuca przez ramię, lecz kiedy ukazuje się naschodkach tylko

wswetrze i spodniach, które tak kocha Ken, ponieważ spodnie mająwypcniętykształt

jejkolan, a sweter - łokci, wiatr hulający na wszystkich lotniskach świata przewiewa ją na wylot.

A ubiegłego roku miała w Paryżu zapalenie płuc, ciężko to przeszła i doktor Brandfoster zalecił jej.

Nie może zwracać głowy zaleceniom doktora Brandfostera, lepiej w ogóle o nim nie myśleć, o nim ani o Patrycji, o awanturze, którą zapewne sobie teraz robią, najważniejszą sprawą jest przedostanie się bezwzbudzenia sensacji przez kontrolę paszportową - potem jest już Jugosławia, jest Ken, który czeka na nią, jest kilka wspólnych godzin, zanim Patrycja, mimo listu, jaki jej zostawiła, zacznie działać.

Kolejka do kontroli paszportów posuwa się szybko, zresztą nie jest zbyt duża, w samolocie pozostało sporo wolnych miejsc, maj nie był szczytem sezonu nad Adriatykiem. Na szczęście w okienku siedzinie rozczytująca się od dziecka w pismach filmowych panienka, leczbarczysty Jugosłowianin.

Stojąc przed jego obliczem Viv odkrywaw sobie zdolności do ról charakterystycznych, przygarbią się, zaczynanawet seplenić - zapalone na chwilę w oczach Jugosłowianina światełko gaśnie, dziewczyno, myśli, ale cię podszykowali dotego zdjęciaw paszporcie!

Teraz trzeba odebrać bagaż.

Viv przypomina sobie o nim, gdyż już - szczęśliwa z pomyślnego przebiegu odprawy paszportowej - zmierza ku wyjściu z lotniska.

Właściwie nie wie, jak się to odbywa i dokąd powinna się zwrócić.

Przypomina sobie takie sytuacje niez własnych doświadczeń, ale chyba z oglądanych kiedyś filmów.

Oczekiwanie na bagaż!

Dostrzega grupę pasażerów ze swego samolotu, są w niej dwie Rosjanki, które siedziały przed nią - najwyraźniej czekają na walizki, mają przy sobie tylko torebki i przerzucone przez ramie płaszcze.

Viv znów się garbi, wsuwa podzęby dolną wargę, co czynią gotową do natychmiastowego seplenienia.

Zaczyna jej się to nagle podobać, ledwie powstrzymuje uśmiech, bo już go ktoś podchwycił, już się uśmiecha do niej jakaś kobieta o szerokich, aksamitnych brwiach.

Walizki ukazują się końcu na taśmie ciążu, odbiera swoją, i choć wybrała najmniejszą z moskiewskich bagaży, wydaje jej się bardzo ciężka, z niewiadomego powodu o wiele cięższa niż w Moskwie - rozgląda się za bagażowym, ale wszyscy są już zajęci, objuczeni walizkami ogromnej wielkości przepychają się brutalnie przez tłum.

Od.

tracona pod ścianę przez taką kanciastą postać, ledwie powstrzymujesz się od głośnego oburzenia; oto samo życie zagarnia ją swoją falą, Ken tego chciał, a ona zgodziła się ponieść wszelkie trudy, żeby go zobaczyć, żeby być z nim przez kilka godzin.

Przez kilka ukradzionych światu godzin.

Kiedy Patrycja zjawi się w wytwórni z jej listem, wybuchnie niewątpliwie wielka awantura.

Ale David Jonathan Path, stary Nat, który nakręcił jej pierwszy film, kiedy miała dwanaście lat - bardzo bała się wtedy kina, choć miała go kochać na ekranie - stary Nat potrafił wieciej wybaczyć.

Być może kręci teraz swój ostatni film, w dodatku w produkcji z takim potężnym partnerem, zapewniającym projekcję we wszystkich kinach ogromnego kraju, zależy mu więc nadewszystko, żeby tam była dziewczynka, która stała się wielką gwiazdą, użyczyła mu swego blasku.

Ale nie tylko dlatego był zdolny jej wiele wybaczyć.

Łączyły ich tysiące godzin wspólnej pracy i wspólnego poniewypoczynku, kiedy to wiedział, że bardziej był jej potrzebny niż na planie.

Na początku miała jeszcze swego sztabu, czuła się zagubiona, wessanaprzez mechanizm, którego była tylko jednym, wymiennym kółkiem.

Wtedy lubiła, żeby był przy niej.

Potem wiesz się zmieniło, ogromny mechanizm zaczął się kręcić wokół niej, stała się niewymiennym jego kółkiem, otaczała się mnóstwem płatnych osób, kolejni mężowie starali się rozpraszać jej jełki, nigdy - za dnia ani w nocy - nie była sama, a jednak czasem mówiła: zostań ze mną, Nat!

I znaczyło to bardzo wiele, znaczyło, że był jej potrzebny.

Zataki darmożna zapłacić tylko wzajemnością.

Gdyby zdołała złapać bagażowego, on postarałby się o taksówkę, bez bagażowego sytuacja wydaje się beznadziejna, łańcuszek trudności wydłuża się o wszystkie życiowe nieprzystosowania; powinny właściwie dla treningu co najmniej raz na tydzień urządzić sobie taką samotną eskapadę, nabrałyby wtedy wielu umiejętności, w jej życiu niepotrzebnych, ale niezbędnych tym, którzy z radością posługują się własnym ciałem, nie strzegąc go tak usilnie przed każdym wysiłkiem.

Viv zacisnąwszy zębopodnosi walizkę, kożuch Darii Dmitrjewny przerzuca sobie przez ramię; przepychając się wśród tłumu, wychodzi przed gmach lotniska.

Słońce praży tu jak w lipcu, przez odór benzyny przebija woń świeżo strzyżonych trawników, zapach lata i wakacji z dala od miast, wytwórni i hał zdjęciowych.

Kożuch Darii Dmitrjewny ciąży coraz bardziej, ponadto zwraca powszechną uwagę.

W grupie pasażerów moskiewskiego samolotu, równie objuczonych ciepłymi okryciami, wcale nie raził - tu, na zalanych słońcem schodach,

60

pośród fali wiosennie ubranych ludzi staje się sensacją, Chyba go tu gdzie zostawię, myśli Viv w popłochu, ale od razu przypomina sobie, jak mroźne po upalnych dniach były noce w Afryce, może tu jest podobny klimat, trudno spać klimaty na całej kuli ziemskiej.

I po co się właściwie tyle podróżuje?

Dlaczego człowiek niesyty jest wciąż nowych miejsc i nowych ludzi, dlaczego sam nie może uwierzyć, że najszczęśliwszy jest w domu, z tymi samymi obrazami naścianie i tym samym widokiem za oknem.

Ta malownicza wstęga ludzi po prawej stronie, to kolejka do postoju taksówek.

Viv ma ochotę zawrócić do hali lotniczego dworca i sprawdzić na tablicy, o której odlatuje samolot do Moskwy.

Powstrzymuje ją tylko myśl o tym, że Ken czeka, że będzie wychodziła na wszystkie pociągi, którymi mogłaby przyjechać.

Jednak widok kolejki do postojów taksówek obezwładnia ją.

Czy doktor Brandfoster nie przestrzegał wielokrotnie, że nie wolno jej długo stać?

Stare dolegliwości kręgosłupa, nabyte podczas upadku konia, mogłyby się znów odnowić.

W dodatku ta walizka!

Czy ogólnie była jej potrzebna, czy koszułki nocnej i szczoteczki do zębów nie mogła wsadzić do torebki?

Gdyby była z nią Patrycja.

Dopiero ta myśl przeraża ją naprawdę.

Oznacza bowiem kapitulację, ostateczne załamanie, przyznanie się do porażki.

Więc co by było, gdyby tu była z nią Patrycja?

myśli z wściekłością, skierowaną przede wszystkim przeciwko sobie.

Co by zrobiła Patrycja?

Wyjęłaby stodołarów i w tej samej chwili miałaby i bagażowego, i taksówkę.

Ale co by zrobiła Patrycja bez stu dolarów w ręce?

Stałaby tu równie bezradna jak ona i chyba jeszcze bardziej wściekła, bo nikt.

na nią by nie czekał na jakiejś małej stacyjce wśród gór.

Ta myśl jest pokrępowana, dodaje siłę, każe wziąć się w garść i trzeźwo przejrzeć dokoła.

Viv kopie nogą walizkę i rzuca ją na ścieżkach.

Do diabła, nie będzie tu przecież stała do południa!

Przez ten czas wszystkie pociągi odejdą w stronę Visegradu.

Dostrzega nagle samochód, zielone Volvo, przesuwające się wolno wzdłuż schodów, a w nim - za opuszczoną szybą - samotnego mężczyznę.

Ile razy widziała takie sceny na ekranie!

Podnosi rękę, przegina się zalotnie, niechowa dolnej wargi pod górnymi zębami, teraz na pewno nie będzie seplenić.

- Hej!

- Hej!

- odpowiada wcale nie zdziwiony mężczyzna. Zatrzymuje samochód, otwiera drzwiczki - umie patrzeć na kobiety i nie jest toporny ani prowokujący, jest przyjemny, Viv wie, że odniosła swoje.

małe, najzupełniej prywatne zwycięstwo: nie jest Vivien CHvley, jest zwykłą niebrzydka dziewczyną bez stu dolarów w ręce, którą ktoś ma ochotę podwieźć.

- Przepraszam - mówi po francusku, woli jednak nie posługiwać się angielskim - muszę jak najprędzej dostać się na dworzec, akolejka do taksówek taka długa.

- Niech pani wsiada - mówi mężczyzna.

Zna francuski, ale akcent mógłby sobie poprawić.

Kim jest?

Inżynierem, lekarzem, naukowcem?

Brodę ma ciemną od przebijającego spod skóry czarnego zarostu, pewnie musi się golić dwa razy dziennie, myśli Viv, rano, i wieczorem przed pójściem do łóżka, kobiety nie lubią, kiedy kłują jeszcze ciniaste brody, choć właściwie.

„Viv płoszy się tą myślą, lecz on - zajęty prowadzeniem wozu - naszczęście tego nie widzi, włącza od razu drugi biegi pyta: Skąd pani przyleciała?

-- Z Moskwy - odpowiada z lekkim zająknięciem.

Jak to wszystko razem powiązać, jeśli będzie dalej pytać, Francuzka, z Moskwy, do Wiednia? Ale przecież w tym kożuchu nie mogła przylecieć z Paryża.

- I tak tam zimno?

- Mróz.

i śnieg!

- No!

U nas się pani rozgrzeje.

- Już się rozgrzałam.

- Może chcesz pani czegoś napić?

Wstąpimy gdzieś na chwilę.

- Nie, nie!

- zbyt gwałtownie protestuje Viv.

Jej najzupełniej prywatne zwycięstwo zaczyna się stawać niebezpieczne.

Drogą lotniska do miasta prowadzi wśród zielonych ogrodów, nienawidzących ich nieliczne domostwa, oplecione kwitnącymi pnączami.

- Dlaczego?

Znam tu taką zaciszną kawiarenkę.

- Śpieszę się.

bardzo się śpieszę - jąka się Viv, znowu ma ochotę zacząć seplenić.

- Muszę zdążyć na pociąg.

- Dokąd?

- Do Wiednia.

- Do Wiednia?

- Tak.

- brnie dalej Viv - moja firma.

francuska firma Laurenta.

- zapomina, jak ma na imię wielki krawiec, którego tylekroć była klientką, i powtarza: -- Firma Laurenta organizuje razem z Rosyjską Modą pokaz modeli skomponowanych na motywach ludowych - I właśnie dowiedziałam się, że macie jakieś słynne hafty w okolicach Wiednia.

62

- Popatrz, popatrz - mruży mężczyzna.

- Mieszkasz tu i nic się tym nie wie.

- Bo nie interesuje się pantymisprawami.

Alekiedy pracuje sięw modzie.

- Viv urywa, bo spostrzega, że mężczyzna zerka najejportkii sweter.

-jestem projektantką- wyjaśniaz naciskiem.

- Ale mogłaby pani byćmodelką.

-Co też pan.

- Albo aktorką!

Naprawdę.

Nie mówię tego każdej ładnej kobiecie.

- Wierzę.

Ale tylkote ładne kobiety, które nie mają nic do powiedzenia w żadnym innym zawodzie, zostająmodelkami.

I aktorkami-dodaje Viv, coraz bardziej wściekła na siebie.

-Głupie gęsi, myślą, że uroda to wszystko.

- Jednak, co tu dużo gadać - mężczyzna zwalnia nieco, wjeżdżajaw miasto, ruch się zwiększa - jak człowiek wydaje te dwadzieściadinarów na bilet do kina, to chce sobiepopatrzeć na ładneciało.

Czyto cozłogo?

- No nie.

tego nie powiedziałam.

- Więc niech się pani nie obraza, kiedy mówię, że panitakże mogliby za toplącić- Nie tylko zarysowanie sukienek iwynajdywaniehartów aż.

w Viśegradzie.

Ostatnie słowa zabrzmiałynieco dziwnie i Viv postanawia miećsię nabaczności.

Garbi się, odwraca twarz ku bocznej szybie.

- I nadługopani do tego Yiśegradu?

-Tobędzie zależało.

od kilkuszpraw.

- Amoże.

- mężczyzna poprawia się na siedzeniu, przez chwilęrozważa propozycję, zanim Ją wyjawi - może.

podwieźć panią?

Byłaby pani o wiele wcześniej niż pociągiem.

- Och nie?

- Viv jesttak przerażona, żejej towarzysz zaczynamieć o Francuzkach zupełnieinne wyobrażenie niż miał dotąd.

- Chciałem pani oddać przysługę - mówi nieco obrażonymtonem.

-Oczywiście - Viv usiłuje naprawić sytuację - to było bardzomiłe z pana strony, ale widzi pan.

ktoś będzie czekał na mnie nadworcu.

- Tego mogłem się domyślić.

Wie pani przynajmniej, o której mapani pociąg?

- Zapół godziny - mówi Viv.

- Ledwie zdążękupić bilet.

-Oczywiście kłamie, nie ma pojęcia, o której godzinieodchodzi pociąg doYisegradu.

- Czy aby na pewno zdążę?

-pytanerwowo.

Mężczyzna naciska pedał.

- Postaramy się oto.

Choć.

nie bez żalu.

Nie rozmawiają już aż do samego dworca, a kiedy samochód zatrzymuje się przed nim i Viv - wciąż udając pośpiech - chwyta walizkę i zgarnia kożuch Darii Dmitrjewny, mężczyzna przytrzymuje na

chwile jej dłoń.

- Wie pani, dlaczego zatrzymałem się, kiedy pani podniosła rękę?

- Nie - szepce Viv czując, że się rumieni.

- Bo jest pani podobna do Viv Clivley.

- Naprawdę?

- Nikt pani o tym nie mówił?

- Nie.

Pan pierwszy.

- Ależ podobieństwo jest wprost łudzące!

Oczy, usta, sylwetka!

A wie pani, że ona już się rozeszła z Kenem Saltem?

Zwykle plotki na tematich małżeństwa doprowadzają ją do szału, teraz Jednak uśmiecha się swoim najpiękniejszym uśmiechem i mówi

zalatnie:

- No widzi pan.

Jest do wzięcia.

W oczach mężczyzny zapala się nagłe olśnienie, ale Viv jest już w tłumie przed dworcem, już wtapia się w prawy nurt przepływający przez wejścia, skręcający kukułom.

W zielonym kanionie Sutjeskinie ustawała praca nad filmem.

Scenariuszowa sytuacja była następująca: główna grupa operacyjna, a z nią naczelne dowództwo irani, przedzierali się do Bośni przez silne okłady wojsk niemieckich (dywizja SS "Prinz Eugen"), włoskich i bułgarskich.

Jugosłowianie, podzieleni na dwie grupy, liczyli dwadzieścia tysięcy żołnierzy, Niemcy wraz ze sprzymierzeńcami o sto tysięcy więcej.

Nocami słychać było ujadanie niemieckich psów, zdradzało to pozycje esesmanów; ich obecność (zakłócającą, tą najbliższą czy tą dalszą?)

stawała się nieomal fizycznie odczuwalna.

Jugosłowianie już doniej przywykli, ale Anglicy z misji wojskowej mieli strach w oczach, z trudem koncentrowali się w rozmowie, przewiewny namiot jugosłowiańskiego wodza nie wyciszał

tych odgłosów wojny.

Szczekanie psów, zgromadzonych dla potrzeb filmu, męczyło także aktorów i ekipę techniczną.

W nocy słyszało się ten psi jazgot w całym miasteczku, w dzień - na planie nad Sutjeską - spotęgowałyby jeszcze ujadaniem wszystkich kundli z okolicznych wsi.

Rwały się na łańcuchy

cuchach, czując w pobliżu sferę milicyjnych owczarków, które

Goran Petranović prowadził wraz z ich opiekunami aż z Zagrzebia.

- Zapytaj pirotechników - mówi Ken Salt do swego tłumacza - czy nie mają waty do uszu.

Irfan od dwóch dni boczy się na Salta, wykonuje wszystkie jego polecenia, ale sam nie odzywa się doniego, unika jego spojrzeń i nie patrzy mu w oczy.

Teraz stara się zdobyć dla Anglika tę wyciszającą hałas wate do uszu, lecz bez gorliwości; otrzymałszy przeczącą odpowiedź od jednego z pirotechników, nie pyta dalej, wraca i obwieszcza prawie z satysfakcją:

- Nikt nie ma.

- Przyjdzie oszaleć z tymi psami, Nie wiesz, kiedy je odeślą do Zagrzebia?
- Dopiero wtedy, gdy zostaną nakręcone wszystkie sceny esesmańskiego pościgu.
- Długo to potrwa?
- Nie wiem.
- A ty co?

Wciąż się dasasz?

Irfan milczy, tylko twarz pokrywa mu się ciemnym rumieńcem.

- No, odezwij się.

Zaklnij chociaż!

-- Ken skończył właśnie scen?

z angielskimi aktorami, grającymi oficerów misji wojskowej, machwilę wytchnienia i chciałby spędzić ją przyjemnie.

Naprawdę wierzy, że Viv jedzie do niego, może wylądowała już w Belgradzie i teraz jedzie pociągiem, radość rozsadza mu piersi, mógłby wszystkich wokół całować i ścisnąć, reżyser zwrócił mu nawet uwagę, że bynie był tak promienny, żeby nie zapominał, jaka jest sytuacja "Operation Schwarz", mówił, na rozkaz samego Hitlera ma zlikwidować front bałkański, nie ma jeszcze frontu we Francji i tylko Bałkany są drugim frontem w Europie, odciągającym siły niemieckie od frontu wschodniego, niechże pan o tym wszystkim myśli, mister Salt.

I mister Salt skupiasię z trudem, ma w wyrazie twarzy prawdziwą animozję do Anglików.

Nigdy nie byli w stanie zrozumieć uczuć innego narodu, dopóki sami.

No tak.

koniec z tym, teraz jest przerwa, Viv jedzie do niego, tyleszczęścia, wielki Boże!

Nie chce widzieć żadnych dąsów, o co ten smarkacz może mieć żal do niego, czy nie zwolnił go w końcu, żeby mógł się przespać z tą swoją zieloną dziewczyną?

- Odezwij się!

- powtarza- - Straciłeś mowę czy zapomniałeś angielskiego.

- Ani jedno, ani drugie- odpowiada Irfan sztywno.

- Tylko nie mam nic do powiedzenia.

65.

- Nie masz nic do powiedzenia?

A może dowiem się wreszcie, o co chodzi?

Spała już, kiedy do niej poszedłeś?

Irfan milczy zacisnąwszy usta.

- A może niewpuściła cię panna.

no, jakże się nazywa właścicielka domu naprzeciwko plebanii?

- Slimac, Vraga Slimac.

-Może niewpuściła cię panna Slimac, zgorszona tak późną wizytą?

- Była na brydżu u proboszcza.

-Mowa ci pomalutką wraca, ale wciąż nie mogę się dowiedzieć najważniejszego; dlaczego jesteś taki wściekły?

Nie przydarzyło ci się chyba coś najpaskudniejszego, co może spotkać chłopaka?

Czasem, kiedy czekasz za długo.

-Nie!

-krzyczy Irfan.

-Niech żepan już przestanie!

- Wiem.

Ken obejmuje chłopaka ramieniem.

- Wyrzuciła cię

z łóżka!

-Pan jest.

pan jest.

-krztusi się Irfan.

- Wyrzuciła cię z łóżka, tak?

-Tak - kapituluję Irfan.

Dowiedziawszy się prawdy, Ken wygląda na szczerze zmartwionego.

- Przepraszam- mówi cicho.

-Dużo mi przyjdzie z pana przeprosin.

Co mogę zrobić więcej?

Przepraszam.

Mieszając się cudze uczucia, jesteś myśloniem w składzie porcelany.

- Za późno pan to spostrzegł.

-- Irfan! Bardzo mi przykro.

- O Boże!

I będzie pan teraz wciąż powtarzał, jak bardzo panu

przykro iż pan przeprosza.

...

- Wiesz, pociesza mnie jednak myśl, że wpadłbyś, mój chłopcze, gdyby się to stało.

- O czym pan mówi?

-Wpadłbyś, nie ma dwóch zdań.

Takie dziewczyny, jak to twoje kurczę, nie dają się zbyć byle czym.

Musiałbyś się z nią ożenić i niewybaczylbyś jej przez całe życie, że cię do tego zmusiła.

- Powinien pan książki pisać, ma pan tyle wyobraźni.

-Nie wybaczylbyś jej tego.

Mężczyzna wielerzeczy może wybaczyć kobiecie, ale niemożliwe, że go zmusiła do małżeństwa.

- Ja bym Milenie to wybaczył - mówi Irfan cicho i Kenowi robi się podwójnie przykro, mocniej zaciska ramię na plecach chłopca,

lecz Irfan wrywasiej świszczę przez zęby: - A ona nie przyjedzie!
Nie wyobraża pan sobie chyba, że ona naprawdę przyjedzie.

- Owszem - mówi Ken spokojnie.

- Wyobrażam sobie.

Wyobrażam to sobie bardzo dobrze.

- Pan oszalał!

- Ani trochę.

Tylko kobiety prawdziwie niezależne potrafią byt tak uległe.

- Przyjedzie tu sama?

- Zupełnie sama.

- To niemożliwe, wszędzie ją rozpoznają.

- Postara się, żeby do tego nie doszło.

Od tego jest aktorką.

Czy dowiedziałeś się, o której przychodzą pociągi z Foća?

- Tak.

Są dwa, o szesnastej i dziewiętnastej piętnaście.

Ale popołudniu szef urzędu przegląda kręconego materiału, właśnie przywieźli taśmę z Belgradu.

Strzał jest celny.

Irfan miałby ochotę podskakiwać do góry jak piłkarz, któremu udał się gol; Ken milczy długo, skubiąc palcami dołną wargę.

- Wiesz na pewno?

- Pyta wreszcie.

- Tak.

Zoran Pasojević polecił mi zawiadomić pana.

- Dziękuję.

Gdzie będzie ten przegląd?

- W kinie.

- Daleko stamtąd do dworca?

- No, jednak.

.. - mówi Irfan ze złośliwą satysfakcją.

- Muszę się już panem zająć, mister Salt - przerywa tę rozmowę charakterystycznie.

Ma przygotować Kena do sceny, w której zostaje ranny.

Nie jest to na szczęście rana niebezpieczna, ale nim się to wyjaśni, partyzantów ogarnia groza i przerażenie.

Podczas gdy Kristina Gurić przy użyciu swoich środków opracowuje ranę na ramieniu Kena, Irfan czyta fragment scenariusza, uzupełniony dla angielskiego aktora tymi wszystkimi informacjami, które Jugosłowianom są dobrze znane.

Ken solidnie przykładą się do roli, wyzbył się swojej nadmiernej niekiedy pewności siebie, nade wszystko pragnie, żeby nikt tu - od reżysera po ostatniego pracownika technicznego - nie mógł go posądzić o gwiazdorstwo; uczy się historii kraju, do którego go zaproszono, uczy się kraju, do którego go zaproszono, wiele musi zrozumieć i zapamiętać, pracując dla tak potrzebnej tu legendy - Są kraje, myśli, posługujące się nią w sposób umiarkowany, sam jest obywatelem kraju umiarkowanej legendy monarchii, i są inne, które doskonale mogą się bez niej obejść, kraje nierozumne.

mantycznych demokracji, gdzie ludziom obojętne jest, kto nimi rządzi, byleby rządził dobrze.

- Pan mnie słucha?

- pyta Irfan, przyglądając się twarzy aktora.

- Tak, oczywiście.

-Bo zdawało mi się.

- Źte ci się zdawało - mruczy Ken łagodnie.

Tegodnia, kiedy Vivmaprzyjechać, jest samą łagodnością idobrocią.

Na dworcu w Yisegradzie jest tłok.

Odbywała się chyba w tym dniu jarmark albo targ, bo perony zatłoczone są ludźmi ze wsi - tak przynajmniej myśli Viv, przyglądając się kobietom z przywiązanymi na plecach koszami i mężczyznom, którzy przypominają jej meksykańskich chłopów z wakacji w dzieciństwie, jakie spędzała zawsze z rodzicami w Meksyku.

Później jeździła tam z kolejnymi mężami na weekendy; czasem wraca do nich myślą wspominając miejscowości, gdzie byli razem.

Wielkie wakacje, wolne od wszelkich zobowiązań filmowych, spędzała jednak zawsze w Europie, której prawdziwy urok odkrył przed nią dopiero Ken.

Czy ta dziwna, samotna podróż przez jugosłowiańskie góry będzie dalszym ciągiem odkrywania tych uroków?

No, na razie nie ma w niej nic uroczego.

Tłok na peronie, z którego za pół godziny ma odejść pociąg do Foča, staje się coraz większy.

Chłopi jugosłowiańscy mają barankowe czapy na głowach, rośli są i w dziwny jakiś sposób kanciąści w barach, gdy objuceni miejskimi zakupami brutalnie przepychają się przez tłum. Viv, odrzucona barkiem jednego, opiera się zawieszoną na plecach drugiego bańkę po oleju, całą umazaną brunatną tłustością; na nogi walają się różne worki i skrzynki, nad głową płyną podawane z rąk do rąk kosze.

Wciśnięta w ten ruchliwy brak miejsca, spływająca potem w kożuchu Darii Dmitrjewny, który wydał jej się zbawieniem podczas jazdy pociągiem, gdy tylko otwarcie okien na przestrzał ratowało ją przed zasłabnięciem wczesnokowym zaduchu, a teraz przygniata ją do ziemi, spragniona bodaj i kuzimnej wody myśli w panice, co zrobiłaby na jej miejscu Patrycja. Ale całe doświadczenie życiowe Patrycji psu na buty by się zdał w sytuacji, w której nigdy nie była i której zapewne niemogłaby sobie nawet wyobrazić.

Ktoś nadepnął jej na nogę, ktoś

wytrącił jej walizkę z ręki - Viv krzyczy, po angielsku oczywiście, tu już nie boi się, że ktoś ją rozpozna, tu nawet pragnie, żeby ją rozpoznało, ale nie ma na to żadnej nadziei.

Ta świadomość mobilizuje w niej wszystkie siły, sprężyła się jak kotka (kręgosłup! mówił zawsze doktor Brandfoster.

Niewolno pani zapominać o kręgosłupie!

), wyszarpnęła walizkę spośród kotłujących się ciał i osłaniając się nią jak tarczą, zaczyna się przepychać ku ławce pod ścianą budynku dworca.

Kiedy doniej dociera, oddycha z ulgą - Tu jest narażona na atak tylko z jednej strony, tyłem przywiera do tych, którzy siedzą na ławce, a którzy nagle zaczynają się jakby rozstępować.

Viv ogląda się - młoda kobieta w czarnym stroju usiłuje zmieścić na kolanach swoje dziecko, wskazując jej miejsce obok.

Viv dziękuje uśmiechem i wciska się między nią a drugą postacią w baraniej kamizeli - rano, kiedy ludzie wybierali się na targ, pewno było w górach chłodno.

Przymyka oczy i usiłuje myśleć, co robi teraz Ken, ale kobietę coś do niej mówi i Viv musi znowu się do niej uśmiechnąć zamiast odpowiedzi,

Kobieta w czarnym stroju zaczyna się jejbacznie przyglądać, szepnęła coś do sąsiadki, która siedzi po drugiej stronie, przyglądając się jej teraz obydwie, natarczywie, zachłannie.

Viv cały czas się uśmiecha, ażustajej tężeją, dobrze, że żadna kamera ani aparat fotograficzny nie mogą tego utrwalić.

Niespodziewanym ratunkiem okazują się dzieci, które też wpatrują się w nią okrągłymi ze zdumienia czarnymi oczami.

Aksamitne brwi nad nimi uniesione są wysoko, długie rzęsy sterczą nieruchomo.

Chłopczyki dziewczynka, młodsza od brata najwyżej o rok, ubrani są na podobieństwo dorosłych - dziewczynka w czarną długą sukienkę wysokim stanie i przymarszczeniu na piersiach, chłopczyk ma na głowie barankową czapkę, spod której wystają zlepione potem włoski.

Gdybym przywiozła taką parkę do Kalifornii!

myśli Viv.

Kiedy ma się pieniądze, duże pieniądze, wszystko wydaje się do kupienia.

Ale jedno spojrzenie na twarz kobiety trzymającej na kolanach swoje pociechy, rodzi podejrzenie, że chyba niewszystko jest do sprzedania.

Jednak udało się Viv zaadoptować Mary, przywiezioną z zimowych wakacji w Szwajcarii, Jerome z Katangi został bez przeszkód jej czwartym synem, zaś dla Mignonne z paryskiego sierocińca angielski będzie językiem rodzimym.

Z dalekich podróży przywoziła dzieci, własnych postanowiła już nie mieć (figura, mówił doktor Brandfoster, figura!

), a lubi dziecienny szczebiot w domu podczas swoich

rzadkich w nim pobytów.

Na Boże Narodzenie jest dla kogo ubierać choinkę - Ken, w ulubionej przez siebie roli świętego Mikołaja, cieszy się, że nawet jego własne dzieci nie mogą go rozpoznać.

- Jak mają na imię?

- pyta po angielsku i kobieta jakoś od razu

pojmuję, o co chodzi.

Dotyka dużą, ciężką, ale jakże pieśczośliwą w geście dłonią głowyczkę.

- Aco - mówi.

-Aco?

- dziwi się Viv.

- A-co!

- powtarza kobieta wyraźnie, na palcach pokazuje, że chłopczyk ma sześć lat, i znowu kładzie dłoń na jego głowie, a Viv myśli, że takich pieniędzy, za które kobieta oddałaby swoje dziecko jakiejś zwariowanej amerykańskiej aktorce, że takich pieniędzy w ogóle nie ma.

- A córeczka?

wskazuje na dziewczynkę.

- Sima - odpowiada kobieta, ślini wskazujący palec wygładzaniem małej włosów nad czołem, żeby była jeszcze ładniejsza, żeby była najładniejsza na świecie.

Mój Boże, myśli Viv, na pewno nie ma

tych pieniędzy.

Otwiera torebkę, wyjmując nieczekoladę, którą zabrała na drogę, a z której uszczknęła tylko kawałek - podaje dzieciom.

Nie biorą od razu, rzucają na matkę pytające spojrzenia.

Jest w nich rozpaczliwa prośba, żeby zgodziła się, żeby pozwoliła przyjąć poczęstunek; dopiero kiedy przyzwalają kiwa głową, chciwie wyciągają rączki i od razu wydierają sobie zdobycz, bo jest to już zdobycz, z której każde pragnie jak najwięcej dla siebie.

Viv uśmiecha się z zakłopotaniem, nie ma drugiej czekolady, która pogodziłaby dzieci.

Ale jest na to inny sposób - matka odbiera czekoladę skłóconemu rodzeństwu, wrzuca ją do koszyka.

Poszperawszy w nim wyjmując łyżki nóż i pół bochna chleba, krajędzie kromki, smaruje masłem, które zabrała z sobą na podróż w glinianym garnuszku, wyciąga z papieru kawałek suchej kiełbasy, łamie najmniejsze części.

Dzieci zapominają od razu o czekoladzie, wyciągają ręce po chleb i kiełbasę, wbijają w nią zdrowe ząbki.

Musiałoby coś być w oczach obserwującej to Viv, bok kobietaw czarnej sukni, zerknąwszy na nią, kroi jeszcze jedną kromkę, odłamuje kawałek kiełbasy i podaje na otwartej dłoni swój poczęstunek cudzoziemce.

Jest to dłoń porwana śladami blizn, pociemniała od pracy, od brudu chyba także.

Kiedy ta kobieta myślała ostatnio rękę?

Viv aż się wstrząsnęła (zarazki, mówił doktor Brandfoster, wszędzie są zarazki,

70

miliardy zarazków, niech pani unika ludzi imiejsc, kryjących w sobię niebezpieczeństwo), ale kobieta patrzy jej prosto w oczy, szczerze, zapraszająco, z godnością, nie przewidując możliwości odmowy.

Viv wyciąga więc rękę, bierze chleb i kiełbasę, jej dłoń także pociemniała w ciągu tej podróży (októrej godzinie opuściła łazienkę w hotelu w Moskwie?

), są na niej zapewne również te miliony, te miliardy zarazków, lecz nie sposób terazo tym myśleć, chleb pachnie, kiełbasa pachnie - a sąto wonie różne od zapachów sterylnej jedzenia,

podawanego w samolocie, doprawione czymś zakazanymi niedostępnym - Viv gryzie chleb, wbija zęby w kielbasę i uśmiecha się pełnymi ustami do kobiety i dzieci.

Leżą już jej na kolanach, wsparte nie tłustymi od jedzenia piąstkami, przypatrują się jej teraz z bliska, zawsze dzieci najpierw odkrywały jej urodę i był to zachwyt najbardziej bezinteresowny, niewsparty kalkulacjami menadżerów i producentów ani chęcią - tak zwykłą u widzów kinowych - usprawiedliwienia kilkudolarowego wydatku na bilet.

Pięcioletnia Sima i sześciolatek Aco wpatrują się w nią jak w oglądaną po raz pierwszy w życiu zabawkę, już mają ochotę dotknąć paluszkami jej oczu, żeby sprawdzić, jak się otwierają. Ale matka, wyczuwając chyba te pragnienia, zagarnia je ku sobie, coś do nich mówi; dzieci odwracają wzrok od cudzoziemki straciwszy jakby nagle apetyt żują bez smaku chleb i kielbasę.

A Viv ją pochłania!

Dawno już jej nie taknie smakowało.

Skłonna do niebezpiecznych okrążeń, poddawana wciąż torturom niskokalorycznej diety (waga, mówił doktor Brandfoster, niewolno pani zapominać wadze!

) ma wreszcie w ręku nie tost, niesucharek, ale przyzwoity kawałek chleba i porcję kielbasy, której nie jadła od lat.

- Cudowne!

- mówi Viv, znów uśmiechając się do kobiety pełnymi ustami.

Ta otwiera kosz, wyjmując chleb, pyta gestem, czy ukroić jeszcze.

- Och, nie!

- Viv śmieje się i pokazuje rękoma, że zrobiłaby się od razu strasznie gruba.

Kobieta zaprzecza, daje jej do zrozumienia, że nic nie grozi jej urodzie, że zawsze będzie ładna.

Sąsiadki z ławki potakują, Viv się rumieni, czujesz dziwnie dobrze w tym kąciku pod ścianą dworcową w Yisegradzie, mogłaby tu spędzić cały dzień, nie tylko półgodziny.

Bo oto dokonała cudownego odkrycia, że ludzie są mili nie dla Vivien Clivley, ale dla zwykłej - no, może tylko nieco ładniejszej od innych, amerykańskiej dziewczyny!

Kiedy zbliża się godzina odejścia pociągu do Foća, Viv, która jednak przyzwyczajona jest do płacenia za wszystkie świadczone Jej usługi, zdejmuje z szyi swój złoty łańcuszek i zapina go na krągłymkarczku Simy.

Dziecko cieszy się błyskotką, a kobiety - matka dziecka i jej sąsiadki - najpierw milczą, jakby im głos i dech odebrało, a potem podnoszą krzyk, rozpisany jak w operowym chórze na głosy podziwu, zachwytu i niedowierzania,

I nagle to wszystkocina głos z megafonu, zapowiadający pociąg do Foća.

Tłum, ospały i rozleniwiony czekaniem, podrywa się.

Ludzie, a naich barkach kosze, bańki, worki i skrzynki, spływają na brzeg peronu, skąd najbliżej do drzwi i okien pociągu, gdy ten nadjedzie i stanie.

Viv, niesiona niemal przez tłum, znowu całamokra od potu w kożuchu Darii Dmitrjewny, stara się odnaleźć kobietę z dziećmi i jej sąsiadki, obezwładnia ją nagły strach, jednak samotność w tłumie jest najgorsza, gdzieś to czytała albo mówiła w jakimś filmie, teraz widzi, jaka to prawda, wola, krzyczy, ale nikt nie zwraca na nią uwagi.

Za semaforem rozlegają się gwizd pociągu, tłum tężeje, takiej nieruchomej prężności musi nabierać cię lwa, kiedy się szykuje do skoku.

Viv jest także częścią tego ciała, cała jest gotowością i czujnością, gdy przed jej oczyma migają wagon podstawanego pociągu.

Stanął wreszcie od razu rusza ku niemucy i baludzi i wszelakiego sprzętu - a Viv zostaje nagle odepchnięta, jakby ją kto wycisnął z tłumy.

Przytomnieje dopiero wtedy, gdy cały pociąg jest już załadowany, gdy w otwartych drzwiach i na stopniach wiszą ludzie, a kobieta z dziećmi, przyparta do okna.

nawołuje do niej piskliwie, żeby wsiadała.

To chyba znaczącej słowa i gesty, ale Viv nie pojmuje, w jaki sposób mogłaby się dostać do wagonu, skoro ludzie wiszą we wszystkich drzwiach - stoi zupełnie bezradna na peronie, a kołazaczynają się toczyć i pociąg powoli nabiera rozpędu.

Przychodzi jej jeszcze do głowy, żeby krzyknąć, kim jest.

I robi to, wymawia swoje nazwisko nie z dumą, jak zawsze, ale w pełnym poczuciu poniżenia.

Jakiś kolejarz naperonie obrzucił ją spojrzeniem bez specjalnego zainteresowania, dwóch młodych mężczyzn w oknie wagonu roześmiało się hałaśliwie.

O szesnastej nie przyjechała.

Ken, odprowadzany zdumionym spojrzeniem Zorana Pasojevicia, wyszedł z kina, choć odbywał się przegląd najważniejszej części nakręcanego materiału - transportu rannych przez góry; posadzając sam siebie oszałeństwo, pobiegł na dworzec.

Kiedy przyjechał pociąg, patrzył z zapartym tchem na wysiadających podróżnych, na wieśniaków wracających z miejskich zakupów, kobiety z dziećmi, roześmianą młodzież, czarnookie dziewczęta i chłopców.

Viv wśród nich nie było.

To oszałeństwo, myśli Ken, wyobrażać sobie, że ona.

mogłaby się tu zjawić, że mogłaby przyjechać z tymi ludźmi, w tym ścisku i zgiełku, narażona na popychania i potrącania, na bliskość czyichś oddechów.

Szałeństwo czekać tuż nieznośnym uciskiem w sercu i myśleć, że to jednak jest możliwe, jest możliwe, miał prawo prosić ją o to, miłość nie jest miłością, Jeśli nie zmusza człowieka do ofiary.

O dziewiętnastej piętnaście jest drugi pociąg, myśli wracając nadalszy ciąg przeglądu.

To na pewno oszałeństwo, ale będzie stał naperonie i będzie czekał na nią.

Ken wsuwa się chyłkiem do kina, odnajduje w mroku swoje miejsce obok reżysera.

- Przepraszam - mówi - musiałem pójść na dworzec.

-Na dworzec?

- dziwi się Zoran Pasojević, jest przekonany, że źle zrozumiał to angielskie słowo.

Ale Ken potwierdził skinieniem głowy i nagłym, gwałtownym uściskiem ręki.

- Tak, później to panu wytłumaczę.

Zresztą.

sam pan od razu wszystko zrozumie.

- Cofniemy się dla pana; co pan widział przed wyjściem?

-- Deszcz - mówi Ken w roztargnieniu - zaczynał padać deszcz.

Deszcz.

Strugi wody spływające z nieprzychylnego nieba na pochód rannych przez góry.

A może nie jest przychylne?

Lepiej moknąć niż być dostrzeżonym przez tych w górze.

Deszcz jest jeszcze z innego względu dobroczynny - jego krople natwarzynie pozwalają rozpoznać, kto płacze.

z bólu rozpaczy, wprzecuciu kresu sił.

Ranni wspierają się wzajemnie, ci, którzy nogi mają całe, prowadzą okaleczonych, pomagają sanitariuszom w podtrzymywaniu osłabłych, ślaniających się przy podejściach pod górę.

Kobiety pioraw rzece bandażę, zostają na chwilę przy tych, których nie mogą.

zabrać ze sobą, którzy tu się już na zawsze zatrzymali.

Ken myśli, że takie chwile, takie wydarzenia, które wojna od razu zacierają swoim krótkim trwaniem, ponagającym dalszym ciągiem, dopiero po latach - w sztuce, w literaturze i filmie - uzyskiwały należną im dostojność, w rzeczywistości, pod ostrzałem z ziemi i nieba, nikt niezatrzymywał się przy poległych.

Wojna była zawsze przede wszystkim pośpiechem.

Ten niemłody już chłop, który stracił właśnie, który zostawił w górach trzeciego swego syna.

Dopiero film oddaje hołd jego ojcowskiej ofierze, czyni ją patetyczną, w najwyższym ludzkim wymiarze.

Ken, przez cały czas upokorzony tą swoją inną, angielską wojną, przypomina sobie boje armii królewskiej w Afryce, we Francji, namorzu i w powietrzu, wtysiącnych, kilkuosobowych często desantach na wyspach greckich, gdzie najtrudniej było podejść wroga.

Wielotym także zfilmów, dzięki nim tamto bohaterstwo sprzed lat zostało utrwalone i jakby rozesłane między ludzi, żeby czerpali z niego własną siłę.

Ogarnia go nagła radość, że gra w takim filmie.

I zarazem żal, że wartości, takoczywiście podczas walki, uspokojony i znowu syty świat potrafił już zniszczyć

- Miał pan tu kogoś?

- pyta Pasojevicia.

- W tych górach?

- Tak - mówi reżyser, - Ojca i stryja.

Stryj zginął.

W drodze do Tandżaku.

Przedzierał się z drugą grupą.

- Ma więc pan jeszcze i swój własny powód.

- Niewątpliwie - odpowiada Pasojević bardzo wolno - A potem dodaje z ożywieniem: -

Ojciec wniósł wiele ze swoich wspomnień do tego filmu.

Na szczęście jeszcze żyje.

Na szczęście jeszcze żyją, myśli Ken, jeszcze są wśród nas ci, którzy wtedy tworzyli historię.

Jeszcze mogą coś opowiedzieć, coś przekazać, choć młodych to już, przerywają im, bo najważniejszy jest czas teraźniejszy - najbardziej błahy czas teraźniejszy ważniejszy jest od najbardziej bohaterskiej przeszłości.

Ale i dla niego czas teraźniejszy ważniejszy jest od bohaterskiej przeszłości.

Przeгляд nakręconego materiału jeszcze trwał, gdy wysunął się kina udając, że niewidzi pełnego już teraz grozy spojrzenia Pasojevicia - i pognął na dworzec.

Do przyścia pociągu brakowało kilku minut.

Bo postanowił, że Viv przyjedzie tymo dziewiętnastej piętnaście, szaleństwo zaplanowane wydaję się łagodniejsze, w jakiś sposób podległe jednak człowiekowi.

Więc przyjedzie o dziewiętnastej piętnaście, wysiądzie z wagonu, a on nie podbiegnie do niej, pozwoli jej iść peronem, będzie stał i patrzył na nią, potrzeba mu będzie czasu, żeby uwierzyć, że ona naprawdę tu jest.

Ale nie przyjechała także o dziewiętnastej piętnaście.

Z pociągu - tak jako szesnastej, kiedy tu stał i czekał na nią - wysypuje się gromada podróżnych, czarno ubrane kobiety z kobiałkami, mężczyźni w baranich czapach, z pustymi bańkami po winie albo rakiji na plecach, z miejską ubraną młodzieżą, chłopcy z teczkami i czarnowłose, podobne do Viv dziewczęta.

Ajej nie ma.

Ken, stojący w cieniu pod ścianą stacyjnego budynku, kurczy się, jakby otrzymał cios w żołądek.

Czuje się ośmieszony i poniżony.

Jak mógł.

jak mógł wyobrazić sobie, że ona.

Zawiadawca stacji podnosi chorągiewkę, konduktor idąc wzdłuż peronu zamyka drzwi, wściekły, że nie uczynili tego podróżni, pociąg drgnął - i wtedy z ostatniego wagonu wysiada pośpiesznie jakaś niepozorna dziewczyna, ciągnąc za sobą walizkę i kozuch.

Rany boskie!

myśli Ken.

Co za wariatka!

Kozuch o tej porze roku i to wysiadanie prawie w biegu!

Mogła zsunąć się z schodów, mogła wpaść pod koła.

myśl nagle się urywa, Ken zaczyna biec, nie jest tak, jak sobie wyobrażał, że będzie stał i patrzył na nią, biegnie, roztrąca ludzi na peronie, wytrąca komuś koszyk z ręki, tania, niepozorna, niezgrabna, wysiadająca w ostatniej chwili z pociągu dziewczyna to jednak Viv, jego Viv. Stał się cud, jedyny cud w jego życiu!

- Kochanie!

- woła z daleka.

- Jestem tu!

Czekałem na ciebie!

Viv stoi między walizką a kozuchem leżącym na ziemi.

Podnosi rękę, wyciera spocone czoło, jest chyba u kresu sił.

- Przyjechałam - mówicicho Ken bierze ją naręce, jak dziecko.

Widzi, że jest brudna, spocona i potargana, ale dla niego nigdy nie była jeszcze tak piękna, powie jej to kiedyś, nie teraz, teraz mi leżą przyciśnięci do siebie, nie do wiary, ile słów zmarnowali poeci, żeby wyrazić miłość, a wypowiada się ją najlepiej milczeniem.

Skinąwszy na chłopaka, który wyraził gotowość zajęcia się bagażem, niesieją wzdłuż peronu wśród rozstępującego się tłumu, a potem ulicami miasteczka, zatłoczonego ludźmi z filmu; od razu rozpoznają Viv, choć jest tak zmieniona, rozpoznają Viv Clivley i idziewieść w miasteczku poruszająca wszystkich - do Kena Salta przyjechała jego sławna żona!

Kiedy Ken, wciąż niosąc Viv na ramieniu, wkracza do gospody, a za nim tłum wznoszący okrzyki powitania - mama Bujanić i tata.

BuJanić wiedzą już o wydarzeniu.

Obydwoje zdążyli przywdziać śnieżne fartuchy, ale sali i bufetu nie da się odświeżyć i przyozdobić tak prędko.

Nigdy jeszcze zakopcone dymem fajczanym ściany niewydawały im się tak ciemne, a podłoga tak zdeptana.

Dara miała ją myć dziś rano, przeklęta baba!

myśli mama Bujanie, znowu się wczoraj upiła i nie przyszła dzisiaj do pracy, gdybym była wiedziała, myśli mama Bujanić, sama umyłabym tę podłogę, przez całą noc bym ją myła dla takiego gościa, i chodniki bym zaścieliła, i kwiaty wstawiła świeże do flakonów na stołach.

Paniczne myśli taty krążą koło spizami - czy zaopatrzył ją w dość dobre, w dość delikatne mięso, czy jarzyny są w niej dostatecznie świeże, a owoce dorodne?

Co też może Jadać taka piękna, sławna pani?

Coprawda, wcale nie wygląda w tej chwili pięknie, wymiętosili biedaczkę w tym pociągu, ale czy ktoś tak jak Viv Clivley powinien podróżować pociągiem, w ścisku, razem z chłopcami i społeczeństwem?

A może nie jest tak bogata, jak mówią, może w tej Ameryce naprawdę są tak wysokie podatki, że pochłaniają prawie całe zarobki artystów?

Iubrana jest tak skromnie, jakby nie była gwiazdą filmową, tylko panną pocztową, która sprzedaje znaczki, w takim swetrze on, Bujanić, nie pozwoliłby swojej żonie wybierać się w podróż, między obcych ludzi, co to oceniając człowieka według wyglądu.

Kim jest Viv, wiedzą wszyscy, co do tego nie ma wątpliwości, nawet Dragan, który nigdy nie chodzi do kina, najęty widok wypluwa papierosa z ust.

Potem tak zwędziewa świeży kitel i stara się docisnąć do miejsca, gdzie Viv stoi na krześle, postawiona tam przez męża (czy podłoga jest aż tak brudna?

myśli mama Bujanić w popłochu), który, trzymając ją jedną ręką, drugą zatacza szeroki krąg.

- Tu właśnie mieszkam, skarbie!

- mówi.

Viv wodzi wzrokiem za ramieniem męża, obejmującym gestem zafajczone ściany gospody, uśmiecha się promiennie.

- Bardzo tu pięknie - mówi.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

A to jest mama Bujanić, która nas karmi i która przygotowuje zaraz dla nas pyszną macka.

- ...

mackalicę - podpowiada mama Bujanić, czerwona jak upiór przejęcia.

Nie rozumie słów, którymi porozumiewają się cudzoziemcy, ale dodatkowym zmysłem restauratorów całego świata odgaduje, o co im chodzi.

- Oczywiście, może być mackalica.

- Może zjadłaby coś cielęciny?

- szepcze jej mąż do ucha.

- Albo rybę?

A może kurczaka?

Teraz Ken odgaduje znaczenie tych słów, tylekroć powtarzanych w gospodarstwie.

- Wszystko!

- mówi.

- Wszystko i jak najprędzej.

A teraz dużo wody!

Dużo ciepłej wody!

Milko jest tu także, a Jak mowa o wodzie, to wie, że skierowane to jest do niego - pięty chłopaka już dudni nad drewnianymi schodami, rozdzwaniając się wiadra i dzbanki.

Ken podnosi Viv z krzesła, żeby zanieść Jana górę, ale jeszcze chwilę zatrzymuje się.

- A to jest Irfan - mówi powoli, bo Irfan wciąż nie rusza się z miejsca, jakby zapomniał o swoich obowiązkach albo nie miał ochoty ich dalej pełnić - Irfan Koprović, student anglistyki na uniwersytecie w Belgradzie, mój tłumacz.

Trudno uwierzyć, że nie Anglik może tak pięknie czytać Szekspira.

- Bardzo mi miło - mówi Viv.

- Mąż przez telefon wspominał mi panu.

Że wiele panu zawdzięcza.

Irfan wciąż milczy, skłonił się tylko Viv, a lenie znajduje żadnego słowa, żeby ją nim powitać, usta ma zacięte i Ken, który znosił pogodnie wszystkie jego dotychczasowe impertyncje, teraz dopiero ma ochotę walnąć go w kark tak, jak na to sobie zasłużył.

Przy drzwiach robi się ruch, ludzie się rozstępują przed Zoranem Pasojevićem, który, najwidoczniej przez kogoś zawiadomiony, przerwał trwający wciąż jeszcze przegląd materiału i ciągnąc za sobą całe kierownictwo ekipy, zjawił się w gospodzie.

- Pani - woła z daleka.

- Pani?

Viv!

Pani tutaj?

- Tak.

- Viv śmieje się, obejmując Kena zaszyję.

- Niech pan sobie wyobrazi!

- Ale dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

Czy pani przyjechała?

Chyba nie pociągiem?

- Pociągiem!

- potwierdza Viv, uszczęśliwiona swoim bohaterstwem.

- Samolotem z Moskwy do Belgradu, a stamtąd już pociągiem.

- Dlaczego?

- Zoran wciąż nie może tego pojąć.

Dlaczego?

Przecież byłbym posłał samochód na lotnisko.

Jak pan mógł,

- zwracając się do Salta - jak pan mógł trzymać tow. tajemniczy i narażać panią na niewygodę w podróży?

- Raz w życiu chciałem mieć przyjemność wyjścia po nią na dworzec - mruczy Ken.

- To dlatego dwukrotnie musiałem opuścić przegląd.

- Gdybym się był domyślił!

Goran Petranović, szef produkcji filmu, także nie może przebaczyć Kenowi tej tajemnicy.

- VivClivley!

- woła.

-Viv Clivley w plenerze filmu nad Sutjeską!

i pan to chciał ukryć przed nami!

- Wcale nie, Tylko bałem sięwszelkiego zamieszania.

Bo wizytajest całkiem prywatna.

- Bardzo prywatna podkreśla Viv uśmiechając się do męża.

-Więc żadnej informacji do prasy?

- pyta Petranović najwyraźniej rozczarowany.

-Żadnej!

- Ale tego nie da się ukryć.

Czy w Moskwiewiedzą,dokąd paniwyjechała?

-TerazJuż wiedzą.

Zostawiłam list.

- I przyjechała pani sama?

- Goran Petranović ma w pamięciwszystkie artykuły w gazetach, rozpisujące się na temat sztabu, z jakim Viv Clivley zjawiała się w Moskwie.

-Całkiem sama?

- Ależ tak!

- Vivciaśniej obejmuje Kena za szyję, a on podnosi jąz krzesła i niesie na górę wśród ciszy ogarniającej wszystkich w gospodzie.

- Kochanie!

- mówi po drodze.

- To jest najpiękniejszy dzieńwmoim życiu iprzysięgam ci, że. nieprzełknę kropli alkoholu, jakdlugo będziesz mnie kochać.

- Biedny Ken!

- szepcze Viv.

-A więc już nigdy się nie napijesz?

Milko, uginając się pod ciężarem dwóchwiader gorącejwody, staje pod drzwiami pokoju Anglika i zastanawia się, czy wejść odrazu, czy też zapukać - wybiera wreszcie coś pośredniego; prawierównoczesne uderzenie łokciem w drzwi i naciśnięcie klamki, która. nie ustępuje^ drzwioskazują się zamknięteMilko stoi chwilę nieruchomo z wiadrami wrękach, a potem stawia je cicho przed progiem, chce mu się głupio śmiać i zarazniewidomo dlaczego krzyżeć, zatyka sobie pięścią usta, zbliżasię, przykłada ucho do deski i nic nie słysząc słucha tego, co dziejesię za drzwiami.

Kenbudzi się o świcie, Vivjeszcze śpi.

Zmęczona podróżą i miłością nie słyszy ptasiej wrzawy zaoknem.

Ken siada na łózkui patrzyna nią.

^

Najbardziej lubi jejtwarz właśnie we śnie, rozluźnioną, swobodną, bez kontrolowanego wyrazu, jaki przybierała zawsze za dnia,przygotowana na czyjaś obserwację, Teraz, wciśnięta prawym policzkiem wpoduszkę, ze spletanymi włosami nad czołem i odchyłonądolną wargą, przypomina dziecko, które zasypia wszystko jednogdzie, ufne i szczęśliwe.

Rozczuła go ta myśl, od wczoraj wie, że"wszystko jednogdzie" i dla Viv Jest możliwe, bylebybyła z nim.

Wstał najostrożniejjak tylko mógł, żeby jej nie obudzić.

Chcem się pić - ale nie whisky, nie rakiji- chce mu się wody, zimnej, źródlanej, takiej, jaką mama Bujanić przynosi w dzbankach ze studni zagospodą.

Ubiera się, bierze dzbanek, postanawia przynieść jej wody dla siebie i Viv, żeby mogła się jej napić po przebudzeniu.

Już ma wyjść z pokoju, gdy - poprzedzoną cichym odgłosem stąpania miękkich łap - ukazuje się nadachówkowym parapacie czarna kotka.

Uchylił szerzej okna, żeby mogła wskoczyć na łóżko, ale kotkanie kwapi się do tego, zdumionym spojrzeniem obserwuje obcą postać pod kołdrą.

Zastanawiał się nieraz - nawet z aktorskiego punktu widzenia - nad wyrazistością oczu zwierząt. Człowiek całą twarzą wyraża stan swoich uczuć, futrzane pyski zwierząt nie mogą posługiwać się mimiką, pozostaje im tylko spojrzenie, i nadają mu siłę wyrazu, niespotykaną u ludzi.

Chce cichutko, żeby zachęcić kotkę do wejścia, ale zastrzygł tylko uchem i nie odwracając głowy wpatruje się wciąż w swoje, zajęte przez kogoś innego, miejsce na łóżku.

Ken odstawia dzbanek i próbuje ją schwycić, lecz kotka wycofuje się poza zasięg jego ręki, najwyraźniej rozczarowana i obrażona.

Zepsuło mu to humor.

Lubił, żeby w jego domu, żeby przynajmniej szczęśliwe były - kobiety, dzieci, zwierzęta.

Wydawało mu się, że ma jakiś dar jednoczenia ich w ogólną szczęśliwość.

Ubiegłego roku urządzili sobie Viv takie święta Bożego Narodzenia - wzięły w nich udział wszystkie jej dzieci z adopcji i poprzednich małżeństw oraz Jego z tych dwóch, które już miał zasobą, gdy ją poznał, wszystkie jej i jego psy, koty, konie, nawet papuga Peggy, choć długo nie mógł jej obłaskawić, ponieważ bardzo lubił poprzedniego męża Viv.

Ale w końcu i Peggy sfrunęła na jego ramię i nie było w całym domu ani jednej nadąsanej twarzy, ani jednego sfrustrowanego pyska czy dzioba.

Wyciąga rękę poza okno, lecz kotka cofa się wciąż po dachówkach, więc daje spokój, zwłaszcza że Viv wzdycha przez sen i zanurza głębiej twarz w poduszkę.

Chwyta znów dzbanek, na palcach podchodzi do drzwi i otwiera je cicho,.

W sali restauracyjnej na dole jest jeszcze pusto, tym bardziej wędziwi się, zobaczywszy przy jednym ze stolików Irfana- Śpi, bezwładnie zwisając z krzesła, ale budzi się zaraz na odgłos jego kroków.

-Co turobisz?

- pyta zdumiony.

- Czekałem na pana.

-Nie prosiłem cię o to.

- Oczywiście, że pan nie prosił.

Z własnej ochoty.

Zwłasnejogromnej ochoty czekałem tu na pana.

- Co to znaczy?

-Chcę panu coś pokazać.

Niech panidzie za mną.

- Zszedłem po wodę.

Dla siebie idła Viv.

Na pewno zechcesz jej

napić po przebudzeniu.

- Niech pan na razie da sobie spokójz tą wodą.

Muszę panucoś

pokazać.

To niedaleko stąd.

- Nie zwracaj głowy.

Czy to takie ważne?

- Bardzo ważne.

-Dla kogo?

- Dla pana.

- Irfan zaśmiał się.

-Zobaczy pan, jakie toważne dla
pana.

- jeśli to jakiś kawał.

-Nie odważyłbym się.

- Dobrze.

- Ken stawia dzbanek na stoliku z niejasnym uczuciem, że nie powinien ulegać chłopakowi, ale ma nadzieję, że poprawi tym swoje stosunki z tłumaczem.

- Chodźmy, jeśli tak ci na tym zależy.

Wychodzą z gospody w rześki, górski poranek, kamień chodników mokry jest jeszcze od mgły irosy, ale słońce grzeje już ostro i Ken unosi odrazu ku niemu twarz, rozpinając pod szyj ąkołnierzykkoszuli.

- To niedaleko stąd mówi Irfan jeszcze raz, idzie przed Kenem, który patrząc na niego nie może zrozumieć, dlaczego chłopak kroczytak triumfalnie, jakby to, co zamierzał mu pokazać, nie tylko dla Kena; ale i dla niego miało wielką wagę.

- Za kościołem jest mała gastinnica, nie zajęta dla filmu, bo Pasojević chciał miećwszystkich pod ręką.

Tam się zatrzymali.

-Kto?

- Zaraz pan zobaczy.

Ken przyspiesza kroku.

Irfan zaczyna go znowu denerwować, chybanaprawdę będzie musiał poprosić innego tłumacza, chłopakspoufalił się za bardzo.

W gastinnicy za kościołem wszyscy jeszcze śpią.
W zamkniętym kurniku pieje kogut, jakby dół ptakom, przemieniającym trzykaształy,
rosnące na podwórzu, w zieloną ptasią filharmonię.

W cieniu drzew stoi osrebrzony rosą czarny ogromny samochód.

- Właśnie to chciałem panu pokazać - mówi Irfan zeszczepionym triumfem.

- Mianowicie co?

Dom?

Drzewa?

Kurnik?

- Nie wymienił pan samochodu.

A osamochód właśnie chodzi.

- Co w nim takiego niezwykłego?

- Niech się pan lepiej przypatrzy.

Podchodzą bliżej - czarny samochód okazał się najnowszym modelem Lincoln i miał z tyłu przy numerach dwieliterki: CD.

- Wóz amerykańskiej ambasady w Belgradzie - wyjaśnia Irfan, jakby wymagało to wyjaśnienia.

- I co z tego?

' - krzyczy Ken.

- Co z tego?

- Irfan także podnosi głos -- Czy pan wciąż wyobraża sobie, że ona przyjechała tu do pana pociągiem z Belgradu, przesiadając się dwa razy w Višegradzie w Foča?

- Wsiadła przy mnie z pociągu!

- krzyczy wciąż Ken.

- Mogła wsiąść do niego na poprzedniej stacji.

- Była tak zmęczona, tak wyczerpana podróżą.

- Ostatecznie jest aktorką, prawda?

- Milcz!

- woła Ken.

- I powiem panu jeszcze, z kim przyjechała.

Tam na górze - Irfan wskazuje dwa okna na pierwszym piętrze - śpi wysoka, energiczna kobieta w okularach i otyła męczyczna z rudą bródką, ale za to bez jednego włosa na głowie.

- Patrycja!

- mówi Ken.

- Patrycja i doktor Brandfoster.

- Nie wiem, jak się nazywają: wypytałem służbę i tak mi mniej więcej ich określono,

- Patrycja i doktor Brandfoster - powtarza Ken.

Wszystko, co mówił Irfan, wydaje mu się prawdopodobne.

Gmach, który od wczorajszego popołudnia wznosił z rzadko doznawanych w życiu wzruszeń - runął nagle.

Nie zabił go, ale ogłuszył.

- I co pan na to?

- pyta bezczelnie Irfan.

- Dziękuję ci za przysługę - mówi Ken.

- I rozstajemy się, mój chłopcze.

Albo nie, będziesz mi jeszcze dziś potrzebny - Wracamy do gospody i przynieś mi ze swego pokojukawałek papieru i coś dopisania.

List do Viv jest krótki:.

Skarbie.

' Dziękuję ci za noc, która - niezależnie od tego, że napodwórze gospody za kościołem stoi incoln z amerykańskiej ambasady \v Belgradzie - była cudowna.

Nie żegnam się Tobą osobiście, bo może, gdybym został dłużej, musiałbym pogruchotać kości Pati Brandfosterowi, więc wolę ulotnić się, kiedy jeszcze śpicie.

Nieznoszę małych oszustw, wolę już, żeby byłem wielkim stylu.

Wracaj z Pali doktorem do Mosk\vy, im prędzej, tym lepiej, bo musisz podjąć pracę, nie chcę, żebyś ucierpiała z mego powodu.

Ken

- Zanieś to nagórę i wsuń do mego pokoju przez szparę pod drzwiami.

- Z ochotą!

- Irfan się podrywa.

- Niechcie wszyscy diabli!

- Dlaczego?

pyta z uśmiechem.

- Dzień jest taki piękny.

- Zjeżdżaj!

- Już lecę.

- Tylko cicho, żebyś Jej nie obudził.

Żebyś nie obudził pani Clivley.

- Nie obudzę pani Clivley - powtarza Irfan wciąż z tym samym uśmiechem na swojej ładnej twarzy.

tkiedy, skradając się, podąża w górę po schodach, w drzwiach od mieszkania gospodarzy ukazuje się zdumiona mama Bujanić.

Czujesz się od razu winna, że Ken czeka na śniadanie, rzuca się w stronę kuchni, ale Anglik powstrzymuje ją gestem.

- Nie będzie pan jadł?

- pyta mama Bujanić zdumiona.

- Nie.

Zjemy śniadanie gdzieś po drodze.

Powiedz jej - zwraca się do Irfana, który wrócił już z piętra - że śniadanie zjemy pod drodze.

I niech jak najprędzej ubierze się do wyjścia.

- Kto ma się ubierać?

- pyta Irfan w obawie, że źle zrozumiał.

- Mama Bujanić.

Zabieram ją.

I ciebie.

Powiedz jej, co mówiłem, i zbudź kierowcę Pasojevicia.

Weźmiemy jego wóz.

- Wścieknie się.

- Raz może się na mnie wściec.

Zachowywał się przez cały czas jak panna z klasztoru.

No, na co czekasz?

Powiedziałem ci, co masz robić!

Kierowca Pasojevicia - wąsaty Duško - nie chce jechać bez zezwolenia szefa.

Ulega dopiero pod warunkiem, że Anglik weźmie wszystko na siebie - Bo jakkolwiek Ken Salt gra główną rolę w filmie, i to w dodatku taką rolę, to jednak reżyser jest reżyserem, Anglik

82

pojedzie, a reżyser zostanie.

Duśko mawiając mnóstwo wątpliwości doprzemyślenia, kiedy jadą już wstronę Dubrownika, aczapy mgiełobsuwają się z wierzchołków gór kudolinom.

Na miejscu obok kierowcy siedzi Ken, za nim Irfan, a obok niegozupelnienie pojmującasytuacji, w Jakiej się znalazła, mama Bujanić.

Mana sobieczarnąjedwabnąsuknię, w którejzapewne chodzi do kościoła, bo nawetteraz złożyła splecione modlitewnie dłonie na jej połyskliwej szeszczącej czerni.

Ken odwraca od czasu do czasu głowęi uśmiecha się do mamy Bujanić, dziękuje jej, że przyjęłajego zaproszenie, że nie bojąc się gniewu małżonka umknęła oświcie z gospody.

Uśmiecha się, oczy mu się zwężają, od ich zewnętrznych kącikówbiegną promienie zmarszczek, ale w ustach jestcoś, conie jestuśmiechem, i tylkoIrfan wie, co toznaczy.

- Spytaj mamy Bujanić - zwraca się do niego Ken - gdzie tuw okolicy można zjeść dobre śniadanie.

- Powie, że u niej.

- Ale jest Jeszcze chyba jakieś drugie takie miejsce?

Irfan tłumaczy pytanie Kena mamie Bujanić, a ta nie odpowiada odrazu.

Zamyśla się, jej policzki pokrywają się ciemnym rumieńcem.

- Anglik jest głodny - nalega Irfan.

- Ja.

też, pani i Duśko chyba także.

Nie zna tu pani żadnej gastinnicy godnej polecenia?

- Znam -- mówi wreszcie mama Bujanić.

- I mogę.

naprawdę ją polecić nawet komuś takiemu jak pan Salt,

- Nam wszystkim należy się dobre jedzenie - stwierdza z naciskiem Irfan.

- To daleko stąd?

- Nie.

Tylko trzeba zboczyć w góry.

- Niech pani wskaże drogę kierowcy.

Mama Bujanić pochyla się doprzodu, wczepia palce w oparcie siedzenia kierowcy.

- Skreć pan zaraz w lewo - mówi.

- A potem za figurą prawoi przez most nad strumieniem.

- Mama Bujanić musi dobrze tę drogę pamiętać, bo nachylona wciąż ku kierowcy pokazuje mu wszystkie zakręty, szczególnie tłumaczy, jak ma jechać.

- Przez cały czas będzie asfalt?

- chęć upewnić się Duśko.

- A co ty myślisz?

- obrusza się mama Bujanić.

- Gospodę Pance Miticia znają w całej okolicy.

Jest tak sławna, prawie tak sławna - poprawia się zaraz - jak nasza.

Ken przysłuchuje się tej rozmowie, przysłuchuje się jej melodii, starając się nie myśleć o niczym, a nade wszystko o tym, co zrobi Viv, kiedy po przebudzeniu znajdzie list na podłodze przy drzwiach.

Mógłby jeszcze zawrócić, mógłby wpaść na górę i zniszczyć go, zanim ona go zobaczy - ale nie robi tego, za bardzo był szczęśliwy przez te kilkanaście godzin, żeby teraz udawać, że nic się nie stało, żeczarny lincoln z ambasady, czekający na Viv za kościołem, nie ma żadnego znaczenia,

- Jestem głodny!

- mówi z pretensją do Irfana.

-Dokądżeta niewiasta nas wiezie?

-Mówi, że wtej okolicy jest jakaś nadzwyczajna gastinnica.

Chybaznawłaściciela, PanceMitić się nazywa.

- Wszystko mi jedno, jak się nazywa.

Interesuje mnie tylko, czy ma coś dobrego do jedzenia.

I picia- dodaje po chwili.

Bo zamierza się dziś upić, upić tak, jak dawno mu się to nie zdarzyło.

Nie obowiązują go żadne przyrzeczenia i wreszcie może robić wszystko, na co ma ochotę.

- I do picia mówi Irfan z uśmiechem napewno tam się coś znajdzie.

Gastinnica Pance Miticia nie różni się wiele od tych, które mijalipo drodze, jest może nawet trochę mniej i nie tak zasobna z wyglądu.

Mama Bujanić, wysiadłszy z samochodu, podąża doniej z wypiekami na twarzy i ze wzmożonym szelestem swojej czarnej sukni.

- Pance!

- woła donośnie.

-Pance!

Mężczyzna, który ukazuj się na progu, nie jest młody, ale jeszcze teraz Jest w jego sylwetce tężliwość, która nosiła go pogórach, nadstrumieniami, w pogoni za zwierzyną. Jednym ruchem ręki zrywa siebie biały fartuch, którym był przewiązany, przeczesuje palcami wiewające włosy.

- Dara!

- mówi cicho.

-To ty?

Tyle lat!

- Ja - szepcze mama Bujanić mimo tuszy staje się młodą dziewczyną, i przywrócony między tym dwojgiem zdaje się czas, który ich kiedyś łączył.

Jest to tak oczywiste dla tych, którzy na to patrzą, że nie trzeba tu żadnych wyjaśnień: oto dlaczego właśnie tutaj przywiozła ich mama Bujanić, na ten jeden dzień wyzwolona spod władzy męża,

- Ciesz się' - mówi Ken i szuka wzrokiem Irfana.

- Powiedz im, że się cieszę.

Mama Bujanić niewie, co najpierw wyjaśnić dumionemu człowiekowi, którego nie widziała prawie trzydzieści lat, czy to - dlaczego wyszła za męża za Bujanicia, a nie za niego, czy też skąd się tu wzięła i kim jest ten cudzoziemiec, który ją tu przywiózł.

Wybierało

ostatnie, bo Ken, który znów słucha tylko melodii tej rozmowy, wyławia z niej znajome słowa - przede wszystkim nazwisko bohatera, którego grał filmie.

- Zaraz wypijemy jego zdrowie!

- woła i zwraca się do Irfana: - Powiedz gospodarzowi, żeby dawał na stół wszystko, z czego jest dumny i w spiżarni, i w piwnicy.

Gospodarz znikaw kuchni, podnosi się w niej od razu gwar wielugłosów, najej progu pojawiają się - kolejno - domownicy, ze zlekrywanym zaciekawieniem przyglądający się gościom.

Najpierw młodą chudą kobietą, pewnie żoną gospodarza (chyba nie kochaną, myśli Ken, rozpoznając po oczach kobiet brak miłości w życiu, jakby Jakaś wadę wzroku albo chroniczną chorobę), potem dwierosłecórki lub synowe, jakieś dzieci.

Te są najszczersze - nie ukrywają zaciekawienia ludźmi, którzy przybyli tak wcześnie, że stoły są jeszcze nie uprzątnięte po wczorajszym dniu i trzeba teraz bardzo się spieszyć, żeby zniknęły z nich brudne talerze, szklanki, puste butelki, przepelnione popielniczki i żeby przynajmniej jeden znalazł się pod świeżym, szeleszczącym obrusem - przyszli restauratorzy od dziecka muszą wiedzieć, że czysty obrus wprawia gości w lepsze samopoczucie, podnosi smak potraw i gatunek win.

Siadają wszyscy wokół tej wykrochmalonej bieli - Ken, mama Bujanić, Irfan i Duško, a kiedy rośnie dziewczęta, w których nietrudno dopatrzeć się urody ich ojca, zniosły już na stół jadło i picie, a z kuchni napływa woń smażonych baranich kotletów - mama Bujanić prosi, żeby i Pance Mitić mógł zasiać do stołu,

Ken, któremu Irfan przetłumaczył tę prośbę, zrywa się od razu ze swego miejsca, sadza gospodarza naprzeciwko Dary Bujanić.

- Bardzo go kochałam - mówi kobieta.

Ken nalewa jej wina, nalewa wszystkim po kolei, teraz on stał się gospodarzem, skoro gospodarz stał się gościem.

Mama Bujanić jednym tchem wychyla swoją szklankę, opiera łokcie o stół.

- Bardzo go kochałam - powtarza.

- Miałam dziewiętnaście lat i niezależało mi na niczym, tylko na nim.

W drzwiach od kuchni stoi żona gospodarza.

Oparła się chudym biodrem o futrynę, słucha.

- Ale w domu było nas pięcioro i byłam najstarsza, ojciec chciał mnie jak najprędzej wydać za męża, a Pance nie mógł się żenić, jego dwie starsze siostry musiały najpierw znaleźć mężów.

Tak było, Pance?

- Tak - potwierdza ochryple mężczyzna.

Wypijają także swoje wino, stawia szklankę głośno na stole.

- A Bujanić mógł się zenić zaraz i nie miał żadnego rodzeństwa, sam jeden gospodarzył z matką w takiej pięknej gospodzie.

Niech pan sam powie - mama Bujanić zwraca się do Kena, a Irfan tłumaczy każde jej słowo - niech pan sam powie, czy nasza gospoda nie jest najpiękniejsza w całej okolicy?

- Najpiękniejsza!

- skwapliwie potwierdza aktor.

- Nawet pani Clivley powiedziała wczoraj, że bardzo jestu naspięknie.

Pani Viv Clivley!

Możesz to sobie wyobrazić, Fance?

Siedzisz tu w górach, ale chyba wiesz, kim jest pani Viv Clivley?

Fance Mitić milczy, porusza tylko głową, jakby chciał coś sobie przypomnieć.

- Najpiękniejsza aktorka świata!

Najsławniejsza aktorka świata!

I właśnie przyjechała do swego męża, naszego pana Kena Salta, który mieszka w naszej gospodzie i gra w filmie Towarzysza Starego.

Więc wczoraj jak tylko przyjechała, powiedziała.

- Mama Bujanić milknie, przerażają myśl, że źle zrobiła wspominając Viv Clivley, skoro jej mąż, do którego przyjechała, siedzi tutaj, skoro zostawił ją siedząc tutaj, i dolewa wciąż wino wszystkim i sobie.

Mama Bujanić wzdycha i pośpiesznie zmienia temat: - No więc.

Bujanić gospodarzył sam z matką tylko i od razu mi się spodobał.

Bardzo mu się spodobał, a ojciec powiedział, że to jest mój los, najlepszy na świecie, a ugania się po górach za chłopakiem, który ma dwi starsze siostry na wydaniu, nie przystoi porządnej dziewczynie.

Więc tak to było.

- Dara Bujanić wyciąga przez stół swe tłuste, ciężkie ramię i dotyka ciemnej dłoni tego, za którym uganiała się po górach.

- Przeżyły czas - mówi - przez te wszystkie lata chciałam ci to powiedzieć.

Żebyś nie myślał, Fance, że przestałam cię kochać.

Chuda kobieta, o której Ken myśli, żenie zaznała miłości, stoi wciąż w drzwiach i słucha.

Jej się tak należało to wyjaśnienie.

Wiele teraz rozumie, właściwie rozumie wszystko, całe swoje życie, po kolei dzień za dniem, noc za nocą.

- Nic się teraz nikomu złego nie stanie - mówi Dara - przez to, żeto wiesz.

Mogłam ci to już powiedzieć.

Fance Mitić milczy.

Dłoń Dary dotyka jego pociemniałych odsłonek i palców, leżą na stole jak martwe.

Pragnie zawrzeć je natamtych palcach, nie dotykanych od lat, ale oczy kobiety, z którą płodził dzieci i spędził życie, patrzą na niego nieruchomo, on natomiast, kiedy tamta odjedzie. Kiedy jednak po skończonym śniadaniu Ken płaci rachunek i wszyscy podnoszą się od stołu, jest tak, że tym dwojgu trudno się

86

rozstać, i Ken wykonuje zapraszający gest ręką, wskazując samochód przed domem; Fance rozumie, coto oznacza, idzie do kuchni, wymija żonę w drzwiach i, mijając ponownie żonę w drzwiach, wraca w czarnej marynarce i czarnym kapeluszu na głowie, gotowy do podróży.

Żona i córki wychodzą za nim, ale zatrzymują się w połowie drogi do samochodu i w milczeniu patrzą, jak Fance idzie, ani razu nie odwróciwszy ku nim głowy, jak wsiada,

zajmując miejsce z tyłu za Anglikiem, obok tej kobiety, która po niego przyjechała i zabiera gościa, może tylko na jeden dzień.

lecz to znaczy akurat tyle, jakby zabierała go na zawsze.

Może któraś z nich powinna krzyknąć, zawołać go, powstrzymać, ale żadna się na tonie odważy.

Milczenie, myśli Ken, ile można wyrazić milczeniem.

W Dubrowniku zostawiają samochód przed murami i idą dokładnie w starym porcie, którą poleca im Irfan.

Z jej tarasu widać całe baseny portowy, kamienną obrotową, którą nałożono tutaj morzu, żeby trzymać je u samych wrót miasta.

Jest już południe, małe stateczki zwożą zewsząd turystów, angielski i niemiecki słyszy się tu częściej niż mowę gospodarzy.

Potem chodzą po murach otaczających miasto, a Fance trzyma już w półmamię Bujanic, kapelusze zsunęli się natychmiast z głowy, oczy są rozżarzone jak w gorączce i jak w gorączce spieczona warga.

Za Kenem snuje się jakaś studentka angielska, odłączyła się od grupy i manadzieję zwrócić na siebie jej uwagę, ale Ken Salt nie jest ciekaw kobiet tego dnia,

- Całkiem dobra - mówi Irfan dla tego tylko, że głupio mu wciąż milczeć że czuje się coraz podłej, choć wycieczka jest ze wszechmiar udana.

Przynajmniej można by ją za taką uznać, gdyby nieświadomość, co ją spowodowało ico po niej nastąpi.

- I nie wyglądana taką, która wszędzie i zawsze szuka przygód.

- Jakaż nie zawsze i nie wszędzie szukam przygód - odpowiada Ken.

Wypił mnóstwo alkoholu pod różnymi postaciami, ale jest wciąż trzeźwy - Mieszał wino z piwem i z whisky, ale jest wciąż trzeźwy, precyzyjnie i dociekliwie trzeźwy, mógłby rozwiązywać zadania z całkami i różniczkami, gdyby kiedykolwiek posiadał tę wiedzę.

Irfan proponuje zakończyć dzień na półwyspie Lapad, gdzie jest sześciogwiazdkowy hotel ("Dubrovnik Prasideant", Irfan chciałby zobaczyć; kiedy będzie miał okazję wejść do takiego hotelu, jeśli nieteraz z Kenem Saltem?

), lecz Ken wybiera inne miejsce - restaurację pod gołym niebem z hałaśliwą orkiestrą i tłumem roztańczonej.

młodzieży, wśród której podskakują też na zreumatyzowanych nogach stare Angielki i Amerykanki.

Ken wyszukuje stolik zwidokiemna Adriatyk i skaliste wysepki na nim, podpalone, jak płomieniem, zachodzącym słońcem, Stateczki, kursujące między starym a nowym portem, mają olśniewającą biel na tle granatowego morza.

Gałęziowych sosn poruszają się miękko na łagodnym wietrze.

- Fance!

- mówi mama Bujanić.

-Kochałam cię i ty mnie kochałeś, nigdy nie tańczyliśmy razem.

Wstają od stolika i odchodzą daleko, żeby dopiero pośród roztańczonego tłumy objąć się mocno, za wszystkie lata rozłąki, za wszystkie marzenia o takiej chwili.

Od razu zwracają na siebie uwagę -kobieta w czarnej szeleszczącej sukni i mężczyzna w czarnej niemodnej marynarce, w kapeluszu na głowie.

Tańczący przystają, żeby móc lepiej ich obserwować, ale oni nie widzą tego; trzymając się wciąż mocno w objęciu, kołyszą się w jednym miejscu w takt melodii, której nie potrafią zatańczyć.

- To mi wiele wynagradza mówi cicho Ken.

-Co?- Irfan nie rozumie.

- Tych dwoje.

W gruncie rzeczy ten dzień byłby okropny bez nich.

- Mnie wydają się, jakby byli zmyśleni.

-Wszyscy jesteśmy zmyśleni - orzeka Ken.

Angielska studentka rozsiadła się przy stoliku obok i nie odrywa od Kena zafascynowanego spojrzenia.

- Zatańczę z nią - mówi Ken -i wytłumaczę jej, że nie jestem tym, za kogo mnie bierze.

Dziewczyna jest wysoka i dobrze trzyma się ją w ramionach, Ken nie musi się przy niej garbić, Jak na przykład przy Viv, która w obliczu częstych ataków fotoreporterów stara się być jeszcze mniejsza niż jest mała kobieta dzierżąca w garści dużego mężczyznę.

- Lubię wysokie dziewczyny - mówi Ken.

-Znakomicie - oznajmia studentka.

- Ja podzastańca lubię patrzeć partnerowi w oczy.

Czy mówił już ktoś panu, że jest pan podobny do Kena Salta?

- Owszem- On tu podobno kręci gdzieś film.

-Tak?

- dziwi się Ken.

- Czytałam w prasie.

Pan nie?

-Nie.

Nie czytuję gazet.

- Jatak.

Więc kiedy zobaczyłam pana tutaj, pomyślałam sobie od razu.

- Co pomyślała sobie pani od razu?

-...że jest pan Kenem Saltem.

Czekałam tylko, czy odezwie się pan po angielsku.

- Wielu mężczyzn mówiących po angielsku jest podobnych do Kena Salta.

W końcu nie wyróżnia się on niczym szczególnym.

- Niczym szczególnym?

- powtarza dziewczyna z uczuciem wyraźnej przykrości.

- No.

może lepiej od innych młówi Szekspira.

Ale to wszystko.

Bo pozatym to egoista i nudny introwertyk, nie znajdujący kontakt z otoczeniem.

A w dodatku gbur i cham dla własnej żony.

- Słyszałam coś o tym - szepcze dziewczyna wciąż z tym samym uczuciem przykrości.

- O! Słyszała pani?

- Tak.

Pan wie, jak ludzie krzywdząco plotkują o aktorach.

- Dlaczego krzywdząco?

A może to wszystko prawda, co się o nich mówi?

- Nie wydaje mi się - powiedziała.

Wyglądało na to, że wielbi Kena Salta i bolają wszystkie inwektywy pod jego adresem.

- Bo niewierzę, żeby Ken mógł.

..

- Wszystko jest możliwe, kochanie - mówi miękko i ciasnie obejmuje plecy dziewczyny.

- Może jest gbur i chamem, choć wcale tego nie chce, choć chciałby być zawsze tak miły i czuł jak podczas pewnych świąt, w których wzięły udział wszystkie dzieci jego i Viv, wszystkie zwierzęta jego i Viv, nawet papuga Peggy.

- Skąd pan o tym wie?

- Czytałem w prasie.

- O, a mówił pan, że nie czyta pan prasy.

- Od czasu do czasu zdarza mi się.

- I widzi pan, że niekiedy można w niej przeczytać i coś miłego o aktorach.

- Bo niekiedy są mili.

- Myślę, że częściej, niż się o tym pisze.

- Dziękuję pani.

- Za co?

- Za to, że pani lubi Kena Salta.

- Więc jednak cieszy pana, że jest pan do niego podobny?

- Trochę.

Raz cieszy mnie, raz sprawia prawdziwą przykrość.

- Nawet z siebie samych nie jesteśmy zawsze zadowoleni.

- Przeżywa pani czasem coś takiego?

- Często.

- I za to dziękuję pani.

Ken odprowadza zdumioną dziewczynę na miejsce, postanawia teraz odebrać mamę Bujanić jej tancerzowi, a potem dać hasło do powrotu, żeby jak najprędzej móc zadzwonić do Moskwy.

Manadzieję, że Viv już tam jest, zdrowa i bezpieczna pod opieką Pat i doktora, jakto
Jednak dobrze, że odbywała tę podróż z nimi.

Pance Mitić oddaje swoją tancerkę z żalem, ale i w pełni rozumienia zaszczytu, jakim jest dla niej taniec z angielskim aktorem grającym w filmie Towarzysza Starego podczas historycznej przeprawy przez Sutjeskę.

Zdejmuje swój czarny kapelusz, kłania się nisko, lecz nikt już na niego nie patrzy, wszyscy patrzą na Kena Salta, tańczącego z kobietą w czarnej szeleszczącej sukni.

Krąsiej zacieśnia; wszyscy chcą go zobaczyć z bliska, przekonać się, czy to naprawdę on, trzeba stąd uciekać, myśli Ken, zanim zaczną się prośby o autografy, ale przedtem chciałby wyrazić mamie Bujanić wdzięczność za ten dzień, który uratowała swoją dawną miłością do chłopaka z gór.

- Tylko dzięki wam - mówi, choć on nie może go zrozumieć - nie cierpiałem tak, jak powinienem.

Jak mi się to należało.

- Tylko dzięki panu - mogłaby odpowiedzieć - zobaczyłam tego, kogo nie miałam nadziei zobaczyć dokońca życia.

- Przepraszam tatę Bujanić, że panią porwałem.

Chyba zrozumie, ile to dla mnie znaczyło.

- On nic nie rozumie - mogłaby odpowiedzieć nic, co nie jest sprawą gospody i kuchni. Ale to dobrze, że przeżyłam życie, że przeżyję je do końca z takim człowiekiem.

Że tak łatwo mi go nie kochać.

Ken przygarnia do siebie całą obfitość mamy Bujanić - Tak - mówi - najgorzej jest, kiedy musimy.

- Kiedy musimy co?

- zapytałaby na pewno.

- Kiedy musimy kogoś kochać.

W drodze powrotnej zajeżdżają znów, z boczywszy z drogi, przed gospodę wśród gór. Trzy kobiety stoją przed nią tak, jak je tu zostawili.

Zapewne wybiegły z domu na odgłos samochodu, ale wyglądało tak, jakby stały tu w niezmiennych pozach przez cały dzień, jakby przez cały dzień czekały na męża i ojca.

Pance Mitić wysiada z samochodu - kłania się w milczeniu wszystkim, tym, których zgna, i tym, których wita; chyba zapamiętam go tym gestem, myśli Ken, podczas gdy trzy czarno ubrane

kobiety odprowadzają ku domowi swoją zdobycz, a czwarta siedzi nieruchomo w samochodzie, wbiwszy palce obu rąk między zęby.

Przed gospodą panuje cisza, niedociera tu gwar salki, pełnej już o tej wieczornej porze, nawet ptaki w drzewach umilkły przed nocą, a Ken po raz drugi tego dnia myśli, ile można wyrazić milczeniem.

Tata Bujanić nie jest do niego zdolny.

Daje Irfanowi od razu tak obfity materiał do tłumaczenia, że chłopak, zdolawszy przekazać kilka zdań dezorganizowanej kuchni, podczas gdy tyle ludzi, tyle ważnych ludzi trzeba nakarmić, milknie i bezradnie patrzy na Kena, który zresztą nie przejmuje się tymi wymówkami.

Boi się o mamę Bujanić, ale ona, nie zatrzymawszy się ani na chwilę, wymija męża i udaje się do mieszkania na zapleczu restauracji.

Tata Bujanić milkiem i patrzy za nią zdumiony, nie wie, że nauczyła się tego właśnie, wymija ludzi, których się nie kocha.

Kenowi zmieszany Pasojević wręcza list od Viv.

- Jak pan mógł?

- nie może poskromić oburzenia.

- Ona płakała.

pani Clivley płakała przede mną.

- Płakała.

- Ken ma ochotę posiekać się na kawałki za każdą łzę Viv.

- Tu ma pan list.

Że też musiał pan zrobić coś takiego.

- Musiałem - mówi Ken tępo.

- Gdyby pan był aktorem z mojej ekipy.

- Błagam pana, niech mnie pan rąbnie w szczękę.

Pasojević odwraca się na pięcie i odchodzi, a Ken otwiera list Viv, starając się opanować drżenie ręki.

Kochany głupcze!

piszę - Przyjechałam do Ciebie sama, chociaż i mnie wydało się to mało

prawdopodobne, Palrycja i Brandfosler sami wymyślili sobie!

ę pogoń zamną, za co powinnam ich posłać do wszystkich diabłów, ale za bardzo mi są teraz potrzebni.

Wybaczam Ci wszystko, ponieważ to jednak wciąż jest miłość.

Zadzwoń do Ciebie zaraz po powrocie do Moskwy.

Viv

Ken siada na dole i czeka na telefon.

Wie, że nieruszysz stąd tego wieczoru i tej nocy, dopóki czarne pudełko na ścianie nie przemówi głosem Viv - Czy mogę się przysiąc?

- pyta pokornie Irfan.

- Siadaj!

- Chciałem pana przeprosić.

- Za co?

- zdumiewa się Ken.

- Za to wszystko.

Gdybymnie pokazał panu tego cholernego samochodu z ambasady.

- Prawda przypomina sobie Ken.

Od samochodu się zaczęło.

- Teraz nie zechce pan pewnie, żebym był przy panu.

-Dlaczego?

- Ken kładzie swoją ciężką dłoń na głowie chłopca i mierzwi mu włosy.

-Wszystko, conami wstrząsa, czyni nas ludźmi.

- To chyba jest jakaś sztuka, w której Ken grał kiedyś, bo nawet zastanawia się chwilę nad tytułem.

Ale przychodzi mu do głowy inne zdanie, przymyka na chwilę oczy.

Cierpienie czyni nas ludźmi.

I chwala, chwala i wybaczenie tym, którzy nam jeżdżą.

Salka gospody powoli pustoszeje, wszyscy w końcu idą spać, nawet Irfan w poczuciu winy nie odstępujący Kena, tylko mama Bujanić krząta się wciąż za ladą bufetu, jakby chciała odrobić nieobecność za dnia.

Tata Bujanić trzy razy już przychodził po nią, ale zawsze miała jeszcze coś pilnego doroboty. Ken uśmiecha się, wie, co oznaczy, wie, że mama Bujanić nie da się dziś zapędzić do łóżka, nie położy się obok tłustego boku męża, nie odda mu się uległej, małżeńskiej miłości.

Podejrzewa jednak, że istnieje jeszcze jeden powód, dla którego mama Bujanić zwleka z odejściem.

Pragnie dotrzymać mu towarzystwa, pragnie na swój sposób podziękować mu za dzisiejszy dzień, Ken nie spuszcza z niej oczu, a kiedy widzi, że ją tokrępuje, przenosi wzrok na półki poza nią, na cynowe i miedziane misy, skupiające na sobie blask lamp, na poczerńiałe od dymu ściany, na niewymyślne sprzęty, do których tak się już przyzwyczaił.

Kiedy odzywa się wreszcie dzwonek telefonu, wcale nie reaguje na ten dźwięk, jakby nie onna niego czekał.

Mama Bujanić podnosi słuchawkę i woła donośnym głosem:

- Telefon do pana z Moskwy!

Dopiero teraz jednym skokiem jest przy ścianie, przy zawieszonym na niej pudle.

- Słuchaj, Ken - odzywa się głos Viv, jakby nic się nie stało, jakby nie wydarzyło się nic między nimi - mam straszny katar!

-Z gorączką?

-woła przerażony.

Ma ochotę tłuc łbem o ścianę z rozpaczą, że to on ją na to naraził.

-Nie- Nie mam gorączki.

Doktor Brandfoster mówi, że to zwykły katar.

Ale leje mi się z nosa.

To przez te zmiany temperatury.

I przez ten katar - Pociłam się w nim, a kiedy go zdejmowałam, owiewałam mnie wiatr.

92

- Tak mi przykro.

-Nie myśl o tym.

Czy naprawdę mi wierzysz, że sama przyjechałam do ciebie?

- Ależ tak!

Zachowałam się jak bandyta.

Viv wycieranos, przez chwilę w słuchawce rozlega się kichanie i szelest chustki.

- Idź spać!
- mówi Ken.
- Nie ma tych kilometrów między nami.
- Tak.
- Viv dyszy w słuchawkę zakatarzonym nosem.
- Ani jednego.
- Wiesz, co chcę ci powiedzieć?
- Wiem.
- Ken odwiesza słuchawkę i odwraca się do mamy Bujanić i życzliwie o kontuar.
- Dobranoc!
- mówi i dodaje, choć wie, że kobieta go nie zrozumie.
- A jednak to był piękny dzień, skoro pięknie się skończył.

Prawdziwy, wielki płacz

Szli przegóry odrana do wieczora - dziadek Arzamet i jego najmłodszy wnuk, Dug. Dołem, pięknymi drogami wykutymi w skale, pędziły autobusy pełne turystów, ale dziadek nie lubił pięknych dróg, jego stopy przywykły do stąpania po skałach, a serce w piersi było wciąż wesołym ptakiem, nie czującym swego ciężaru.

Szli w odwiedzinach do ojca dziadka, pradziadka Fazlubieja, który kończył właśnie sto lat i chciał tego dnia mieć wszystkich swoich synów przy sobie.

Wieczorem zeszedł gór, żeby przenoć w gospodzie przy drodze do Suchumi, a także napić się wina w słynnej grocie, wykutej w skale, z której spływał strumień, zimny jak lód, i gdzie wino było tak samo zimne i pachnące całym bukietem wszystkich kwiatów Abchazji.

Tak myślał Dug, któremu dziadek pozwolił pociągnąć łyk z swojej szklanki.

Zwykle w takich okazjach upierał się, żeby dano mu więcej, ale dziś co innego miał w głowie, oddał szybko dziadkowi jego szklankę i wybiegł przed grotę, gdzie w jarzącym słońcu zachodu stała klatka z niedźwiedziem.

Był to brunatny ogromny anafisz gór Kaukazu, pojmany i uwięziony tu na urągowsko swojej sile i potęgą w ciasnym kwadracie zastarej siatki drucianej, którą mógł, ale której nie odważył się rozzerwać, ujarzmiony i pokonany przez człowieka.

Leżał teraz na brudnej podłodze swego ciasnego więzienia z dwoma popękkanymi oponami pod głową i patrzył obojętnym, zamglonym spojrzeniem w twarze oblegających klatkę turystów.

Dug przecisnął się między nimi i stanął tuż przy klatce.

Ktoś położył mu dłoń na ramieniu i odciągnął go do tyłu - zagięte pazury niedźwiedziej łapy wystawały poza klatkę.

Ale Dug się nie bał, choć nasłuchiwał się od dziadka wielu opowieści o niedźwiedziach kaukaskich i wiedział, jakie są groźne.

Nieczulstrachu, tylko ogromny jakiś żal i wstyd, który nie mógł być jego wstydem własnym, a brał na siebie cudze winy i cudzy grzech za pozbawienie wolności tego,

co powinno być wolne, żeby żyć swoim życiem, prawdziwym szerokim życiem, a nie jego skrawkiem, ciasnym jak podłoga między czterema ścianami klatki.

Niedźwiedź poruszył się i wyciągnął się teraz na wznak, a jego łapy znowu oparły się o siatkę.

Któryś z turystów wzięty leżący przed siatką patyk i poślaskował go w piętę.

Niedźwiedzia noga podkurczyła się natychmiast, a tłumek wokół klatki zakołysał się od śmiechu.

Dug pochylił się, żeby spojrzeć w oczy niedźwiedzia, ale był zamknięty.

- Śpi - powiedział ktoś obok niego, Dug jednak wiedział, że aniś nie śpi, że tylko nie chce widzieć nic wokół siebie, nic ani nikogo.

Przecisnął się przez tłum i wrócił do dziadka.

Nie siedział już przystolesam, w tym kraju nikt nie pijał sam wina, szklankę wznoszoną w górę musiała mieć drugą szklankę, o którą mogłaby zadzwonić cichym, ale rozchodzącym się daleko, srebrzystym śmiechem szkła.

Dziadek Arzamet, rozmawiając i popijając wino, nie mógł zrozumieć, o czym Dug mówi i dlaczego chce wiedzieć, gdzie właściciel winiarni chowa klucz od potężnej kłódki, którą zamyka drzwi klatki z niedźwiedziem; Dug powtarzał wciąż swoje pytanie, szarpiąc dziadka za rękaw, a kiedy nie otrzymał odpowiedzi, wcisnął się za kontuar, zawysoką i długą ladę, na której stały butelki, przykucnął w jej cieniu i wtedy zobaczył go - wisiał na gwoździu przy zlewie, ten, na pewno ten klucz, klucz od potężnej kłódki, odbierającej wolność aniśzowi. Gdyby nie ona, aniśz przekroczyłby próg klatki i poszedłby w góry, na zawsze poszedłby w góry.

Dziadek długo jeszcze rozmawiał i pił wino.
a Dug siedział naziemi w cieniu kontuaru i patrzył na klucz, który był w tej chwili jedyną rzeczą, jakiej pragnął.

W nocy, kiedy już spaliokryci jednym kocem, Dug długo czekał, aż wesoły ptak wpierśi dziadkazacznie równo uderzać skrzydłami w spokojnym locie snu, potem wstał i cicho wy dostał się na zewnątrz.

Noc była jasna, rozświetlona księżycem, w jego blasku, w pustcei ciszy- klatka z niedźwiedziem i wejście do groty wydawały się wyraźniejsze, niż za dnia, dokładniej widzialne. Dug zbliżył się do amfisa.

Oczy miał zamknięte, teraz może naprawdę spał, a może także, jak za dnia, nie chciał patrzeć na nic ani na nikogo.

Wejście do winiarni było otwarte, grota nie miała drzwi, tylko butelki z winem zniknęły, schowane przez właściciela.

Klucz wisiał na swoim miejscu i choć ściana groty pozostawała w cieniu, Dug wyciągnąwszy rękę znalazł go od razu i zamknął w swojej dłoni.

Na chwilę strzymał oddech i przywarł plecami do ściany, bo wydawało mu się, .

że ktoś kroczy przez grootę, że echo powtarza odgłos tych dudniących kroków - ale były to tylko uderzenia jego serca, tłukącego się gdzieś wysoko w samym gardle.

Ściskając klucz w zamkniętej pięści wyszedł przed grootę i zatrzymał się przy klatce. Drżał cały, kiedy wsuwał klucz w kłódkę, mógł!

nie pasować, mógł należeć do innego zamka i wtedy amfsz nie przekroczyłby nigdy progu klatki, nigdy nie poszedłby w góry.

Ale klucz wszedł w zamek gładko i kłódka otworzyła się natychmiast.

Niedźwiedź wciąż leżał nieruchomo z zamkniętymi oczyma, a teraz powinien już patrzeć, już powinien być widzieć, jak drzwi klatki otwierają się powoli, jak tuż za progiem klatki zaczyna się jego wolność.

Dug schylił się, podniósł patyk i dotknął nim kudłatego boku.

Amfsz powoli odwrócił głowę i otworzył oczy.

Dug był pewien, że od razu zobaczył.

Rzucił patyk i wspiął się na najbliższe drzewo.

Niedźwiedź leżał przez długi czas nieruchomo, ale nie odwracał oczu od otwartych drzwi klatki.

Czas mijał powoli i nie działo się nic, absolutnie nic, poza tym, że on patrzył w otwarte drzwi klatki, że on musiał widzieć otwarte drzwi klatki, a dalej całą szeroką, całą wolną drogę w góry.

Kiedy nogi zaczęły mu już omdlewać, Dug zsunął się na ziemię, wziął patyki znowu szturchnął w bok niedźwiedzia.

Tym razem amfsz zerwał się od razu i stanął w progu klatki, ledwie Dug zdołał na powrót wspiąć się na drzewo.

Ukryty w gałęziach patrzył, tłumiąc oddech.

Niedźwiedź podniósł głowę i węszył, jakby powietrze, które docierało teraz doniego przez otwarte drzwi klatki, było inne, niż to, jakim dotąd oddychał.

Wyciągnął łapę i ostrożnie dotknął nią ziemi, a potem pobiegł przed siebie wolnym truchtem, kołysząc się na boki.

Nagle.

gdzieś za zakrętem drogi trzasnęły drzwiczki od samochodu; śpiący w wozach turyści budzili się wcześniej.

Biegący amfsz stanął, podniósł przednie łapy, wyprostował się i rozejrzał dokoła, poczym znowu opadłszy na cztery łapy - powoli ruszył stronę klatki.

Podgarnął pod siebie dwie stare opony, ryknął gniewnie i ułożył się do przerwane go snu.

Dug długo jeszcze siedział na drzewie; kiedy zaczęło świtać, wrócił do dziadka i obudziwszy go, zapłakał u jego boku, a dziadek zrozumiał, że jest to jego prawdziwy, wielki płacz i że - nie można

pocieszyć.

1975

96

Tak równi, jak nigdy dotąd

Widzę oto moją ciotkę, kiedy mi to opowiada.

Miniony czas i miniony świat powstaje z jej słów; gruba i siwa, z czerwonymi rękami złożonymi na kolanach, jest wróżką, która judają się czary.

Bo nie istnieje już nic z tego, o czym mówi.

Tak, jest miasto, są ulice, są domy - ale tych ludzi tam już nie ma i nie narodzą się tacy saminaich miejsce.

Więc miasto bez nich jest teraz inne, zupełnie inne.

Ciotka powtarza, mówi znaciskiem i uporem już poraz trzeci, że ten świat nie istnieje, świat rudej Helki i Pinkasa, pary żydowskich kochanków z galicyjskiego miasteczka.

To opowiadanie bierze się stąd, że ciotka z tego miasteczka niedawno przyjechała. Inne ludzkie losy są nam znane, już się o nich opowiadało, już się po raz drugi przekreśliło zapomnieniem, tym- nie opowiedzianym dotąd- udaje się wyminąć czas i zagarnąć swoje żywe trwanie, a potem w swoją śmierć.

Bo najważniejsza jest ona - gdyby Helka i Pinkas, gdyby Moszele, ich syn, żyli, ciotkanie uważałaby za potrzebne o nich mówić.

To śmierć uczyniła z nich ludzi ważnych, jakimi nigdy nie byli za życia.

Helka przychodziła do ciotki co dnia po mleko.

To także było możliwe tylko w tamtych, bardziej odległych, niż kalendarz na to wskazuje, czasach - krowa w samym sercu powiatowego miasta, naprzeciwko starostwa, sto metrów od kościoła i dwieście od najokazalszego pensjonatu w uzdrowisku.

Ale kiedy wuj, długoletni sekretarz starostwa, przeszedł na emeryturę, ciotka postanowiła kupić krowę nie było na to rady.

Sam pan starosta, który podkochał się trochę w ciotce, gdy była młodsza, tak jak podkochał się przynajmniej w połowie mieszkanek swego miasta, przystawał nieraz przy płocie rozległego morelowego sadu, aby podziwiać pasącą się w nim, istotnie bardzo dorodną i wypielęgowaną krowę.

Chętnych namleko było wielu, więc sprzedaż nie była sprzedażą, była zaszczytem, czynionym przez ciotkę wyłącznie znajomymi sąsiadom.

Helka należała do sąsiadów, właściwie nie ona, ale stara Prinzowa z firmy Izaak Prinz i Synowie "Polski Kilim", która mieściła się wprawdzie przy drugiej, położonej bliżej plaży ulicy, ale z tyłu, przezogród, było to najbliższe sąsiedztwo.

Helka sprzedawała w sklepie, rozrzucała przed warszawskimi letniczkami huculskie kilimy, waliła łoniami w kosmate leżniki, przykładała do ściany kolorowe makaty;

podawała od razu wyższą cenę, aby potembijąc się w piersi i rozpaczając nad każdą opuszczoną złotówką, dojść do tej, która miała się wydać triumfem kupującego, a była ustaloną z góry ceną sprzedaży.

W południe wyskakiwała po mleko, żeby je zanieść pani Prinz, która była stara i nie wychodziła z domu, ale miała jeszcze dość siły, żeby gotować i prowadzić gospodarstwo swoim dwóm synom.

Starszy, Izaak po ojcu, kierował wytwórnią kilimów, młodszy, Pinkas, pilnował sklepu.

Pilnował sklepu i patrzył na Helkę, od rana do nocy patrzył na Helkę, choć - ruda i mała - nie byław jego guście.

Helka o tym wiedziała.

Wiedziała, że wieczorami obydwaj Prinzowie, Izaak i Pinkas, wystrojeni w jedwabne koszule, siadali przystoliku w kawiarni naprzy i patrzyli spacerujące deptakiem letniczki, Na parkiecie tańczono.

Znad Dniestru, od rumuńskiej strony, zawiewało wonią rozgrzanego, dojrzałego lata.

Wieczorny upał był tutaj zawsze zapachem, aromatem traw i ziół, gorzkawym odorem obmywanych wodą skał.

Obce kobiety, przybyłe skądś z daleka, gdzie śmielsze panowały obyczaje, chodziły po deptaku prawie nagie.

W szortach i opalaczach, w głęboko wyciętych bluzkach, w cienkich sukniach, pod które niewkładały bielizny.

Ciemne ich skóry lśniły nie zmytą jeszcze oliwą; gdy podnosiły w tańcu ramiona, we wgłębieniu pach błyszczały kropelki potu.

Obydwaj Prinzowie, Izaak i Pinkas, także pocili się z podniecenia.

Patrzyli, jak rumuńscy oficerowie, którzy co wieczór przyjeżdżali tu z zarzeczki nadansing, tańczyli z letniczkami.

Jak rozpiąwszy mundury, pod którymi nie zwykli byli w upalne wieczory nosić koszul, przyciskali jedno swoje nagie piersi.

Lato było upalne, lato było duszne, w dzień i w nocy, w każdą godzinę nie splukaną deszczem.

Prinzowie obliźywali suche usta, matka szukała im żon.

Ale nim znalazła, zaniemogła.

Położyła się do łóżka, z której goniała już nigdy niewstać, stara pani Prinz z firmy Izaak Prinzi Synowie "Polski Kilim".

Helkę odesłano ze sklepu do domu.

Tu, pod okiem leżącej, robiła wszystko jak ona, żeby cały dom, gotowanie

98

i pranie, zapachy w kuchni, nakrycie stołu, pościelenie łóżka i firanki w oknach były takie jak dawniej.

I po jej śmierci wszystko pozostało jak przedtem.

Kiedy ją zostawili na wzgórzu ponad plażą, pod jednym z tych kamiennych obelisków, które potem posłużyły Niemcom do budowy drogi - kiedy wrócili do domu Helka od razu poszła do kuchni, żeby wstawić kurędo garnka, od tej pierwszej chwili było wiadomo, że wszystko pozostanie jak dawniej.

Ten sam zapach przysmażanej cebulki, nie zciemnej i nie za jasnej, alew sam raz złotej i soczystej, ta sama gładkość prasowanej starannie bielizny, puszystość pościeli długo wybijanej dłonią, biel firanek w oknach, nakrycie na stoleze starym lichtarzem pośrodku, ten sam rodzinny, nie zmieniony od lat porządekpotraw w świąteczny wieczór.

Została więc Helka gospodynią u Prinzów, a czasu starczało jej także na sklep, ina dłuższe wysiadynani na ławce przy drzwiach prowadzącychdo kuchni,gdy przychodziła do ciotkipo mleko.

Śmielszasięteraz zrobiła, pobrzękiwała pieniędzmi w kieszeniach kretonowegofartucha i pragnienia miewała śmiała, choć jednak obwieszczane zewstydem, gdy prosiła ciotkęo kupienie u rzeźnika kawałka wieprzowej,niekoszowej kiełbasy.

Zjadała ją potemw najciemniejszym kącie kuchni, takjakby i tam mógł ją ktoś wysledzići zdradzić,zjadała wśródmlaskań i pomruków, które - gdy Helka już nie żyła - nierazprzypominały się ciotce w dzwoniącej ciszą pustce jej kuchni.

Ta nagleobjawiona śmiałość Helki wyrażała się nie tylko apetytem, dowolnością w dysponowaniu czasem, aleprzede wszystkim -i to ciotka, uważająca się zakobietę życiową, spostrzegła od razu stosunkiem do chlebobawców, a raczej stosunkiem do jednegoz nich. Bo o Izaaku mówiła jak dawniej:pan Prinzalbo: pan Izaak,a Pinkasbył już po prostu Pinkasem okraszonym uśmiechem, małym,zwycięskim uśmieszkiem czerwonych.

Jakby spuchniętychust Helki.

Ciotka, która poprzez codzienne wysiadynanie na ławce przywiązała się jakośdo Helki, zaczynała być spokojna o jej!

os. Widziała jąusadowioną na dobre, prawnie i oficjalnie na miejscu pani Prinzw domui w firmieIzaak Prinz iSynowie "Polski Kilim",widziała jąszanowaną i wywyższoną miłością Pinkasa, którybył Jedną zpierwszych partiiw mieście, po swoim starszym bracie Izaaku naturalnie.

Alez tą miłością Pinkasa niewszystko było jasne, Helka corazradziej miała na ustach swój zwycięski uśmieszek, zdarzały sięjejchwile ponurych zamyśleń,a zwierzała się nie używając słów, ciotkacztała w niej jak w księdze.

Zaloty Pinkasa były grube.

Nie zadawał sobie trudu, aby stały się inne.

Nie było w nich ani westchnień, ani moknięć szeleszczących jak jedwab, spojrzeń jak jedwab lśniących - było przyciśnięcie dolady w jakiś piątkowy wieczór, tuż po zamknięciu sklepu przed szabasem, przyciśnięcie do lady, poddarcie spódnicy i zdyszany oddech mężczyzny, któremu się bardzo śpieszy.

I tak już było zawsze, tak już pozostało, choć Helka miała, choć musiała mieć nadzieję na coś więcej - żadnych rozmów, żadnych pieszczot, żadnych obiecywań.

Któregoś dnia Helka przyszła po mleko zapuchnięta od płaczu.

Mleko miała już w dzbanku, pieniądze położyła na stole, ale nie odchodziła.

Smarknęła cicho w dłoń, zajęczała.

- Niedobrze, proszę pani.

- Z czym?

- zapytała moja ciotka.

Helka zakolysała się wokół własnej osi, zacisnęła powieki.

- Ze mną.

Ciotka nie darmo uważała się za kobietę życiową, nie pytała o nic więcej.

Wszystko było jasne, wiedziała, dlaczego płaczą dziewczyny.

Obiecywał ci, że się ożeni?

Helka smarknęła głośniej.

- To źle - powiedziała ciotka.

- To bardzo źle.

Powinien był coś powiedzieć, choć jedno słowo.

- Nic nie mówił.

- Jak tonic nie mówił?

Nigdy nic nie mówi?

- Przychodzi i mówi: daj' Ciotka pokiwała głową.

- Głupia ty Jesteś, He!

ka. I teraz masz za swoje.

Niech ci teraz dapieniądze.

I dowiedz się, do kogo z tym pójść.

Przez kilka miesięcy Helka zjawiała się nijaka, ani wesoła, ani smutna - mogłoby być mniej rozmowna niż dotąd, Któregoś dnia jednak znowu zaczęła wymawiać imię Pinkasa, najpierw ostrożnie, bez triumfu, potem coraz częściej.

A było już drugie lato i Izaakowi Prinnowi zaczęto swatać córkę właściciela parowego młyna z Nadwornej, Trembowli czy skądś tam.

Stary nazywał się Papierz - zawsze podkreślał, że "rz" na końcu - a córka miała na imię Salty, jak ze Słowackiego, i studiowała filozofię w Lwowie.

Oprócz zamiłowania do filozofii musiała jednak przejawiać i jakieś inne chęci, skoro zaczęto szukać dla niej męża.

Pospiech wszakże nie był aż tak gwałtowny, aby oznaczać miał rezygnację z wyobrażeń, jakie papa Papierz wywił o swoim przyszłym zięciu.

Nie sądził wprawdzie, żeby mógł dorównać Salce, która w towarzystwie potrafiła odezwać się i po francusku, i po niemiecku, która Zweiga czytała w oryginale, a w teatrze nie opuściła ani jednej premiery - nie, o tym papa Papierz nawet nie myślał, to było po prostu niemożliwe.

Ale przyszły zięć powinien był przynajmniej przy Salce nie razić, na taką nadzieję można było sobie pozwolić.

Gdy swaty zadzierzgnęły pierwszy kontakt, stary Papierz przyjechał, aby Izaaka osobiście obejrzeć.

Zastawszy w sklepie Pinkasa, zatrzymał się przy progu.

Pinkas nie był piękny, ale po co piękność mężczyźnie - tak zawsze mówiła jego dobra matka; to było jednak coś innego, nie brak urody, Pinkas po prostu nie pasował do Salki, jak połówka kartofla nie pasuje do połówki pomarańczy.

Stary Papierz ze smutkiem wyjął z kieszeni kamizelki swój ciężki złoty zegarek, żeby sprawdzić, czy zdąży na pierwszy powrotny pociąg.

Kiedy pomyłka się wyjaśniła, kiedy wreszcie zobaczył Izaaka, niecosię rozpogodził.

Nie całkiem -- nie, to także była rezygnacja, ale i nadzieja, że z Izaaka da się jednak coś zrobić.

Nie mówił mu o Salce, mówił o pieniądzech, które Salka dostanie, niewywlekał też tego, że umie się odezwać i po francusku, i po niemiecku, że w oryginale czytała Zweiga, tym już nie należało się chwalić, to trzeba było ukrywać, pieniądze, tylko pieniądze mogły sprawić, żeby Izaak zechciał się ostrzyć i ogolić, żeby go w tym galicyjskim miasteczku choć trochę przybliżyć do Europy -

To okazało się mniej trudne, niż papa Papierz przypuszczał.

Izaak przyjął konieczność tych zabiegów ze skwapliwą chęcią.

Prawdopodobnie nie chodziło mu o to, żeby wspiąć się na wyższy szczebel drabiny, skąd widok miał być rozleglejszy i dawał lepsze panowanie nad sytuacją - prawdopodobnie Izaakowi wcale o to nie chodziło.

Wciąż miał przed oczyma rumuńskich oficerów tulących do niego pod rozpiętymi mundurami rozswiergotane letniczki.

Patrzył na Salkę, blizując swoje suche wargi, liczył dni do wesela.

Dla Pinkasa zaczęły się bezsenne noce.

W pokoju nowożeńców wspierało drzewo ich małżeńskie łoża.

Przykrywał głowę poduszką, żeby tego nie słyszeć, dusił się - noce były upalne.

Przeniósł się nad drugą stronę domu, za sień, dokąd ten śpiew godowy na pewno nie mógł docierać, ale słyszał go, wciąż go słyszał, nawet wtedy, kiedy Izaak spał już zmęczony przy spoconym boku Salki.

Z tej bezsenności, dusznej i ciężkiej, wstawał duszny i ciężki poranek, który mógł się rozpocząć tylko opóźnionym otwarciem sklepu.

po owej dyskretnej czynności odbytej z Helką na miękkiej sterciehuculskich kilimów, przesiąkniętych jeszcze odorem owczej wełny.

Helka przychodziła po mleko rozśpiewana.

Rozśpiewana, z błyszczącymi oczyma, opuchniętymi wargami.

Ciotka mówiła jej każdego dnia:

- Uważaj, Helka!

- i: - Bój się Boga, Helka!

Ale Helka się nie bała.

Posmutniała tylko wtedy, kiedy Salka obwieściła triumfalnie o czekającym ją macierzyństwie, kiedy w domu zaczęto czynić przygotowania na przyjęcie małego Prinza. Gdy się urodził, Helka spochmumiała jeszcze bardziej.

Gotowała, jak dawniej, w domu Prinzów, ale już tylko dla Pinkasa; wychodziła w południe ze sklepu i przyrządzała mu obiad, taki, jaki przyrządziłaby mu na pewno jego matka, gdyby mogła wydostać się choć na pół godziny spod kamiennego nagrobka na wzgórku nadplazą.

Obierając zeskóry śledzie, smażyć cebulkę, mocząc gęsie wątróbki w mleku, patrzyła Helka przez otwarte okno kuchni na małego Jasia Prinza wygrzewającego się na słońcu w wiklinowym wózku albo na kolanach ukraińskiej niańki.

Kiedy Salki nie było w pobliżu, kiedy nie mogła tego widzieć, wychylała się z okna i dotykała palcami, najlżej jak tylko mogła, delikatnego czółka niemowlęcia.

- Ne treba, ne treba!

- powtarzała Nastka Ukrainka Pani zakazała.

- Jaki on tam Jasio!

- mówił potem Helka do ciotki.

- Jasio!

Jojne on jest!

Jojne powtarzała z mściwym uporem, z rozżaloną, zapiekłą wściekłością, której sens zrozumiała ciotka dopiero po latach i jeszcze po latach ogarniał ją strach na wspomnienie tych słów Helki.

Ona także nosiła polskie imię, ale nadane nie z pychy, tylko ze zwyczajności, nad którą nie zastanawiali się jej rodzice.

Pycha Salki wydawała się jej czymś godnym kary.

Nie wiedząc tym, że już wznosił ten tunel kamienny, w który mieli być zapędzeni wszyscy, sama się domagała, żeby nie znalazł się poza jego obrębem nikt, komu by się to mogło udać.

Kto inny wznosił go, kto inny miał ich weń zapędzić, ale ona, ona była przy tym także.

Może z przypadku, a może właśnie z tego patrzenia na małego Jasia Prinza, Helce przydarzyło się po raz drugi to, co już raz zmusiło ją do płaczu.

Ciotka wiedziała, dlaczego płaczą dziewczyny.

- Helka?

- zapytała, stawiając na ławce konewkę z mlekiem.

- Helka?

- Tak, proszę pani - smarknęła Helka z okrutną żalnością.

- Oj, ty głupia, głupia - powiedziała ciotka, ale bez gniewu czynianego.

Z litością.

- Co mam robić?

- jęknęła Helka.

- Przedtem trzeba było pytać - ciotka pokiwała głową, ale wciąż tylko z litością; Helka płakała coraz żalniej w zaciśniętą na twarzy kułak.

- Muszę mu powiedzieć, żeby mi dał pieniądze- westchnęła wśród płaczu.
- Nie - powiedziała moja mądra ciotka.
-Nie?
- Helka przestała płakać, wstrzymała oddech- Nie - powtórzyła ciotka.
- Teraz on będzie musiał się z tobą ożenić.
Helka zakotłowała się na ławce i obie pięści wgniotła w twarz.
- Oj, co pani mówi, co pani mówi, on tego nie zrobi, on tego nawet nie pomyśli.
- Pomyśli - powiedziała ciotka.
- Masz mu powiedzieć, że drugą raz tego nie zrobisz, że musisz się z tobą ożenić.
Kiedy Helka zjawiała się po mleko coraz bardziej zapuchnięta od płaczu, ciotka postanowiła sama rozmówić się z Pinkasem.
Wybrała moment południowej ciszy, był sam w sklepie i ucieszył się na jej widok.
Aie nie przyszła, żeby zaopatrzyć się w jeszcze jeden kilim, leżnik, czy w huculską makatę.
Usiadłana podsunęty przez Pinkasa krzesło i podniosła na niego swoje dobre, zawsze troszczące się o ludzi oczy.
- Pinkas!
- powiedziała, a znała go od dziecka.
- Ożeń ty się z nią, Pinkas!
Twoja matka w grobie by się przewróciła, gdyby to widziała.
Pinkas się zaczerwienił.
- Moja matka w grobie by się przewróciła, gdyby się ożenił z taką Helką.
- Z jaką?
- zapytała ciotka.
- Z taką- odpowiedział Pinkas, daremnie szukając innego określenia,
Ciotkę ogarnął gniew; wstała i podeszła do Pinkasa.
- A dotego, żeby za nią chodzić i mówić: Helka daj!
- to ona była dobra?
Pinkas opuścił swoje ciężkie powieki.
- Do tego ona była dobra.
- No to może być dobra i na całe życie!
- powiedziała moja ciotka.
Ślub Helki i Pinkasa odbył się cicho, a nawet - rzecz można - wstydliwie, był jednak wydarzeniem w mieście; mówiono o nim we wszystkich sklepach i przy wszystkich straganach na rynku, a była to opowieść snuta wśród cmokań i pełnych zadziwienia potrzasań głowami, żydowska bajka o kopcuszkę i księżcu.

Moszele urodzi) się duży, zdrowy i żarłoczny; jak wszystkie dziecinie bardzo "chciane", zachwycony życiem i każdym jego przejawem.

Ssał wezbraną mlekiem i czułością pierś matki chciwym i gwałtownym pośpiechem, jakby zaspokajał głód nienakilka godzin, ale nacałe życie.

Nietrzeba było go namawiać do jedzenia, jak Jasia Prinza, którego cała rodzina, nawet dziadzio Papierz, coraz częściej dla wnuka opuszczający swój młyn, musiała zabawiać, wysilając się na pomysły, aby zechciał przełknąć łyżeczkę owocowego soku czy przetartą przez włosiane sitko pierś kurczęcia.

Moszele odnosił się do świata z ufnością i z aprobatą, wszystkim nadawało się do jedzenia i cmokania, pakował w usta każdy przedmiot, który dostał mu się w ręce, uśmiechał się do ludzi, gdy tylko napotkał ich wzrok, Helka z dumą obnosiła go po mieście, przynosiła go także do ciotki, gdy przychodziła po mleko - Jedzie, jedzie pan, na koniku sam.

- śpiewała moja ciotka, podrzucając go na kolanach.

Nieraz przychodziło jejna myśl, że jest bardziej jego matką niż Helka.

Helka go tylko urodziła, ona sprawiła, że żył.

Moszele to może jakoś czuł, może wiedział, że ta duża pani w szerokiej spódnicy oznaczała dla niego coś dobrego, coś miłego, wyciągał do niej ręce i krzyczał, gdy matka zabierała go do domu.

Rudy jak Helka, wyglądał jak mały rydzyk ubrany w białą koszulkę.

Podobny do rodziców, w przedziwny sposób nie odziedziczył ich brzydoty, był promiennym, czarnoookim malcem o czerwonej głowie - nikt nie przeczuwał jeszcze wtedy, Jaka toklęska.

Na dwa lata przed wojną, kiedy mądrzejsi niż Helka nie zdawali sobie sprawy z tego, kuczemu idzie świat, cała uwaga obydwu pań Prinza i Synowie "Polski Kilim" skierowana była na konieczność wzajemnego unikania się.

Narzuciła ją Salka, wciąż wspominająca swoją filozofię we Lwowie i zagraniczne lektury, i premiery w teatrze, których nigdy nie opuszczała.

Podczas lata odwiedzały ją koleżanki z tego innego świata - a wszystkie znały obce języki i czytały Zweiga w oryginale - wtedy istnienie Helki nabierało potęgowanej, nateżonej niewłaściwości, tym trudniejszej do ukrycia, że dom był wspólny, a syld wyraźnie głosił istnienie dwóch braci Prinza, a więc i dwóch bratowych.

Na dobitkę Helka nie tylko nie znała żadnego obcego języka, nie mówiła też dobrze ani pożydowsku, ani popolsku - w każdym zdaniu plątało się jakieś słowo ukraińskie, którym wspierała swoją znajomość świata.

Oddziecka pomagała rodzicom przy straganie, oferując różnojęzycznej klienteli cebule i czosnek w ciągu zimy i wiosny, ogromne, opuchnięte od słodkiego soku morele podczas lata, ciężkie kiście winogron jesienią.

Kiedyumarli - jednogodnia, na czerwone, która w ciągu kilku tygodni dziesiątkowała dzielnicę żydowską - znalazła pracę i schronienie u dobrej pani Prinza.

Do szkoły chodziła w swoim życiu krótko i nieczęsto - nie, na pewno nie pasowała do Salki Papierzówny i jej koleżanek; ale także nie ponosiła za to żadnej winy.

Sytuację pogarszał fakt, że Jasio Prinza jeszcze z tego wszystkiego nie rozumiał, i kiedy Moszele pojawiał się przed domem, wyrwał się do niego z rąk swojej ukraińskiej piastunki i żadna zabawa nie była w stanie go zatrzymać.

Podzielono więc ogródek na dwie części, a płot obsadzono krzewami, które jednak nierosły tak prędko, jak Salka by sobie tego życzyła.

Dwóch małych Prinza stało więc po obydwu stronach sztachet i wyciągnąwszy języczki cmokał do siebie przez szparę ogrodzenia.

- Ne treba!

Niemozna!

Pani zakazała!

- krzyczała Nastka, a Helkarzucalanczyniami w kuchni, aż przechodnie zatrzymywali się naulicy.

Kiedy wybuchła wojna, nad Dniestrem wygrzewali się na leżakachostatni plażowicze. Słońce przypiekało ostro, dojrzaławoń lata biłaz ziemi, jak z otwartego na oścież składu ziół i owoców, zbóż i siana,koszonego właśnie na niskichłąkach po rumuńskiej stronie.

Wieści o wojnie były najpierw dysonansem, jakimś rażącymnietaktem wobec spokoju i harmonii, wobec leniwego spoczynku, jakinaależy się światu po zebraniu urodzaju. Już od kilku dni megafonywywoływały z plaż tych, których aż tu dosięgły wezwaniado wojskowych jednostek.

Alenikt nie brałtego poważnie, na opuszczonych leżakach kładlisiä nowi goście, a wieczorami tańczono nadDniestrem, nie zwracając narazie uwagi na wzrastającą przewagerumuńskich oficerów wśród mężczyzn.

Teraz, kiedyto było już pewne, kiedy gdzieś tamna Zachodziepadły już pierwsze bomby i pierwsze słupy graniczne - popłochogarnął miasto, letnicyprosto z plaż biegli na dworzec, aszosą prowadzącą do mostu jechały już pierwsze samochodyz Warszawy.

Przez następnedni, w dzień i wnoc, obleganoszose jakby podczas nie kończącej się, gigantycznejdefilady.

Małokto - z tych ludzi,którzy tu się cisnęli - rozumiał już wtedy, co się stało.

Mało kto zdawał sobie sprawę z tragicznej doniosłości wydarzeń.

Stali przy brzegu

szosy z koszykami owoców, kubłami herbaty, ogromnymi bochnami chleba; nawet nie pytali o nic, a kupujący czy przyjmujący te dary nie byli skorzy do mówienia.

Możegdyby przypuszczali, że mają przedsobą ludzi na zawsze żegnających ich z ojczyzną, zostawiliby im jakieś słowo, jakiś gest trwający przez lata.

Albo by otakie słowoczy o gest poprosili.

Ale to nie przychodziło im nawet na myśl.

Helka także stała na brzegu szosy, przy samym moście, gdzieś cisk był największy, gdzie odbywał się maty, zakrojony na miarę jednego kraju koniec świata.

Gdyby wtedy zdołała pojąć już coś z tego, co się działo, co się dokonywało na jej oczach, łatwiej - przyzwyczajona niejak do tej nieuchronności - przyjęłaby swój los, w tej właśnie otoczwili zakreślony linią, której jeszcze przed sobą nie widziała.

Dwa lata dzieliły ją od nieuniknionego dnia istała tu, nie przeczuwając niczego, z konewką śliwkowego kompotu, z drożdżowym plackiem w koszyku, bardziej z ciekawością niż przejęta, zupełnie nierozumiejąca, dlaczego jakaś pani, wychylona z kurzem pokrytego samochodu, usiłowała za szklankę kompotu wcisnąć jej na palec złoty pierścionek. Nie przyjęła - był za mały, po co był jej za mały pierścionek; złota niepotrzebowała, nie przechodziła jej jeszcze przez myśl, że będzie go potrzebowała; puszysta głowa Moszele mieniła się najprawdziwszym złotem, żadne inne złoto nie miało dla Helki znaczenia.

Kiedy weszli Rosjanie, Salka Prinz została sekretarką komendantamiasta.

Okazało się, że i rosyjski znała także, zamiast o Zweigu, mówiła teraz o Tołstoju, że cudny, że cała światowa literatura zaczyna się od Tołstoja, komendant zachodził wieczorami do Prinzów, jakby mu było za mało dnia napatrzenie w czarne oczy Salki; ale to jednak nie ona, tylko Helka, mała, ruda i piegowata, zabezpieczała w tych dniach istnienie domu i firmy Izaak Prinz i Synowie "Polski Kilim".

Wychowana przy straganach na rynku, mówiąca trzema językami równocześnie, a z tych trzech języków najtrafniej dobierając słowa oddane w pacht wojnie - od razu, od pierwszej chwili wiedziała, co chcą sprzedać, a co kupić Polacy, Ukraińcy i Żydzi, z kim powinni porozmawiać, z kim nawiązać kontakt, dokogo pójść do domu.

Była chodzącym kantorem wymiany i obydwaj bracia Prmzowie i Salka zeswoją filozofiamiścili się w jej Jednym zaciśniętym kułaku.

Moszele nie cierpiał więc jeszcze wtedy głodu, a i Jasiowidostawała się jakiś kąsek, kiedy niewidziała tego jego matka.

Dlaczego nieporozumiały się ze sobą, dlaczego nie zrównały się w tych czasach manifestacyjnej nieomal równości, tego moja ciotka nigdy nie zdołała zrozumieć.

Helka wzruszała ramionami, kiedy pytała ją o to, usta miała zaciśnięte.

Przychodziła, jak zawsze, co dnia po mleko - tyle że była to teraz wymiana, za mąkę i cukier, czasem za kwaterek wódki.

Popijały rażem - i coraz częściej - przegryzając chlebem zsolą, czasem zimnymi pierogami, które ciotce zostawały z obiadu.

Ta chętką, to pragnienie przyszło nagle, wzięło się z wystawiania, z krążenia Hetki po rynku, z ciotczyego strachu, który nie przestawał w niej wzbierać od chwili, kiedy zobaczyła polskie samochody stłoczone na rumuńskiej drodze.

Piły samogon i coś się rozjaśniało, coś stawało się łatwiejsze, obniżał się mur zakrywający widnokrąg, zdawało się, że okna otworzą się na inny świat.

- Ona teraz większa pani się zrobiła niż przedtem - mówiła Helka do Salce.

Bez złości, a!

także i bez podziwu.

- U samego komendantapisać,

Ciotka kiwała głową.

Komendant był postacią wszechmocną w mieście, sama ilekroć miała coś do załatwienia, udawała się do Salki po protekcję.

A Helka krążyła po rynku.

Znowu więc byli między nimi przepaść, przepaść niedo pokonania.

Zwłaszcza że żadniemieli ochoty jej pokonać.

Komendant był nie tylko postacią wszechmocną w mieście, był także kimś, kto mógł ich uratować.

Może nie wszystkich, może tylko Salkę, ale mieli jakąś szansę, żeby zabrać się razem z nią, żeby się jej trzymać.

Nie doszło do tego, sami wszystko zepsuli.

Niewiedzieli, nie mogli wiedzieć.

Nieomyślnie oczy papy Papierza odkryły prawdę podczas jakiejś krótkiej wizyty u córki.

A Izaak już się wtedy nie golił, już nie chciał być Europejczykiem, na którego go teść z trudem awansował.

Łaził podomuzarosięty i ponury, w przydeptanych pantoflach i opuszczonych szelkach.

Czy wiedział, że na nowej granicy Niemcy gromadzą wojska?

Wiedział.

Wszyscy mówili o tym w mieście, i o tym, że Rosjanie przygotowują się do ucieczki.

- Salka!

- powiedział Papierzdo swojej pięknej córki: Pobiegł doniej do biura, zdyszany usiadł przy biurku.

- Ty mi tego nie zrobisz, Salka!

On ma w Rosji żonę, ja ci głowę daję, że ona w Rosji żonę i dzieci.

Taki chłop uchowałby się bez żony!

Zastanów się, Salka!

Mażonę gdzieś na Kaukazie, może nawet dwie, wszystko możliwe, twój ojciec ci to mówi.

Salka milczała, zza zamkniętych drzwi dochodziły kroki krążącego po pokojach mężczyzny.

- Ty mi tego nie zrobisz!
- powtórzył Papierz.
- Sprzedam wszystko i wyjedziemy.
Do Szwajcarii, do Ameryki, gdzie zechcesz.

- Kiedy?
- zapytała wolno Salka.
Papierz zatrzepotał dłońmi.
- Jak najprędzej.
Kiedy tylko się da.
- Zrób to - powiedziała Salka.

- Zrób to.
Kiedy przez granicę ruszyły niemieckie czołgi, w nocy przed domem Prinzów zatrzymał się ciężarowy samochód.
Wysiadł z niego wysoki mężczyzna, w rękę trzymając kołdrę zapukał do drzwi.
Nikt mu nie otwierał, pukał, walił pięścią, nikt mu nie otwierał.
Trwał ot długo, siedzący przy kierownicy szofer zaczął kląć, z początku cicho, potem głośniej, na całą ulicę.
Tamten stał przy progu, pod pachą trzymając kołdrę - dla niej?
może dla dziecka, gdyby nie chciała go zostawić - stał i pukał, prosił:
- Salka!

Proszu ciebie!
Nie mogę tieriat' wremieni!
Utrom onizdieś budut!
Podumaj, Salka!
Potom zditajesz, czto chcesz.
Jatiebia woźmu, woźmuotsiuda!
Uże utrom oni budut!
Nie wyszła.

Kiedy już szarzało, a kierowca w samochodzie klął nacał ulicę, stanął w drzwiach Izaak, zarośnięty, w koszuli opuszczonej na spodnie.
I patrzyli na siebie, on i ten człowiek z kołdrą pod pachą, aż tamten odwrócił się i odszedł, kierowca w samochodzie przestał kląć, zapuścił motor i wszystko się skończyło, skończyła się ostatnia szansa.

Przez pierwszą tygodnie za Niemca - jak określano potem ten czas w miasteczku - Helkachodziła jeszcze na rynek.
Ale nie brała już z sobą Moszele, który przedtem łąził zwykle za nią, osmarkany szczęśliwy.
Teraz zostawiała go w domu, a Pinkas, który sam niewychodził na ulicę, pilnował, żeby i on nie pokazywał się na niej.

Kobiety we wszystkich złych czasach okazywały więcej śmiałości i zawsze miały nadzieję osłonić nią swoich mężczyzn.
Tak więc Helka wzięła na siebie cały trud kontaktów ze złym, wrogim światem, światem obcych mundurów, obcej mowy, niebezpieczeństw i tym okrutniejszego, że nie tłumaczyło się żadną przyczyną, żadnym usadnieniem zawsze i wszędzie grożącej śmierci.

Oczywiście z początku niezdawali sobie tego sprawy.
Coś tam ludzie mówili obozach, o zamkniętych gettach, o przesiedleniach, ale trudno było w to uwierzyć, jakże można wierzyć w rzecz tak nieprawdopodobną, jak konieczność opuszczenia własnego domu, pozostawienia sprzętów i rzeczy, zarośniętych z człowiekiem tak samo jak

jegoręka lub noga, jak jego czucie i myślenie; jakże można było wierzyć w odgródzenie murem świata, w mały kawałek ziemi pod nogami, zdeptany aż do bólu stąpieniem wciąż w tym samym miejscu, starty na pył zamkniętą, ciasną rozpaczą - jakże można było uwierzyć, że człowiek skazany jest na śmierć swoją twarzą, jej rysami, jej kolorem, spojrzeniem oczu.

Nie tylko oni nie mogli w to uwierzyć; ludzie w spokojnych, szczęśliwych krajach nigdy w to nie uwierzyli, choć czytali książki, a w nich te liczby, dokładnie obliczone z pozostałych na składach butów, z list, które się gdzieś przechowały, żeby oddać świadectwo prawdzie.

Ciotka, kiedy to opowiada, niemając nadziei, żeby można to było opowiedzieć, już wie, że rzeczy niemożliwe są możliwe, że tamci szczęśliwi ludzie w spokojnych, bezpiecznych krajach nigdy w to nie uwierzyli, a ci, którzy musieli uwierzyć, bo to przeżyli, potrafili o tym zapomnieć.

Za pieniądze, za jakąś inną cenę, która nabrała mocy zmywania cierpienia.

Ciotka już o tym wie, kołysz się głową nad nieprawdopodobnym i niegodnym - nad nieprzewidywanym, które burzy tęostatnią nadzieję, jaką zawiera pamięć.

Nie minęło wiele tygodni, a spisano ich wszystkich, dokładnie codo jednego.

Papa Papierz nie dotarł z pieniędzmi, dolarami czy złotem - pieniądze nie miały już wtedy żadnego znaczenia - nie dotarł Nadwornej czyz Trembowli, czy skądś tam.

Salka nie dowiedziała się nigdy, co się z nim stało - A i tak nie mogliby już nigdzie wyjechać; spisano ich, każdy otrzymał gwiazdę Dawida i stanowisko pracy.

Prinzowie dalej robili kilimy i huculskie leżniki - zawsze miały powodzenie u przybyszów, więc ich zachwycili się nimi także.

Wytwórniami kierował jednak ukraiński treuhander, pilnie przyuczając się do nowego zawodu. Ale znowu nikt jeszcze o tym nie myślał.

Chwilowe uspokojenie madła ludzi, którzy się boją dalekiej perspektywy.

Pracowali więc wszyscy w wytwórni, a Satka, która znowu mogła przypomnieć sobie Zweiga, była tłumaczką i od czasu do czasu przynosiła białą bułkę dla Jasia, albo kawałek masła, albo odrobinę cukru.

Helka po dawnemu przychodziła dociotki po mleko, tyle że już płacić nie miała czym, odłożono to do innych, lepszych czasów - już przez to samo, że istniał ten dług, musiały nadejść.

Siadywała, jak zawsze, na ławce, a Moszele bawił się żółtym dniestrzanym żwirem, którym wysypane było podwórze.

Już wtedy szukała dla niego miejsca.

Jakkotka, która spodziewa się, że ktoś może zniszczyć jej gnia.

zdo, rozglądała się za bezpieczną kryjówką, obrzucała ukradkowymi spojrzeciami zabudowania gospodarcze, skład na drewno, wejście do ogromnej, ciągnącej się pod całym domem piwnicy.

- Tam nie powiedziała moja ciotka - tam za zimno.

Znajdziesz coś lepszego.

Patrzyły na siebie i Helka pierwsza opuściła oczy.

Swoim zwyczajem ukryła twarz w zaciśniętych kułakach, sapła w nie ciężko, powstrzymując płacz.

- Znajdzie się coś lepszego - powtórzyła ciotka.

Zaprowadziła ją do stajni, gdzie stała krowa, pełna dostojnego spokoju, jakby rozumiała opatrnościowe znaczenie swego istnienia w tych ciężkich czasach.

Tylną ścianę stajni zajmował wysoki aż po sufit sążsiek na siano.

Dobrze zaopatrzony, zakrywał klapę w suficie, wiodącą nastrych.

- I ciepło tam będzie - powiedziała ciotka.

- Nad stajnią zawsze ciepło.

Helka płakała, tym razem nie w zaciśnięte kułaki, ale z odkrytą, szczęśliwą twarzą, pełną ufności i nadziei.

- Niemogę paninarażać - szepnęła, wiedząc, co ciotka odpowie.

Starsza pani machnęła tylko ręką.

Nie bała się nigdy nikogo i niczego.

Kolejne śmierci w rodzinie nauczyły ją filozofii, w którą ubogie są książki.

Bardzo pobożna i zawsze wypowiedana skrupulatnie, meldowała się Panu Bogu co dnia, jak żołnierz zniechęcony wyczyszczonym karabinem.

To i tak kiedyś przyjdzie, moje dziecko - powiedziała.

- Nie będę żyła sto lat.

A Moszele.

przecież już raz uratowałam mu życie.

Tam więc, w woni siana i krowiego oddechu, czekała na Hetkę jej kryjówką.

Narazie nie była jeszcze potrzebna, pracowali, co dnia stawiali się w warsztacie, nicim jeszcze nie groziło, mieli gwiazdy na plecach i piersiach, swój numer na liście - taka dokładność mogła nawet budzić nadzieję, nie spisuje się przecież ludzi, którzy mają okazać się zbędni.

Zbędni nie byli jeszcze przez długi czas.

Ale któregoś dnia ciotka, która rankiem wyszła do sadu, żeby pozbiierać opadłe w nocy jabłka, zastała całą rodzinę Prinzów nad drzewami, Helkę z Moszele i Pinkasakurczowo trzymającego się pnia włoskiego orzecha.

W nocy Niemcy rozpoczęli wywózkę Żydów z miasteczka, ktoś ich ostrzegł - Salka wystarała się o jakieś papiery dla siebie i swoich, ale oni musieli uciekać.

Ciotka, narzuciwszy chustkę, poszła do domu Prinzów.

Alarm okazał się przedczesny - u nich nie byli, nie byli jeszcze tej nocy.

Wrócili więc do warsztatu i znowu upłynęło kilka miesięcy, zanim ciotka znalazła ich na drzewach w swoim ogrodzie.

Było już lato, drugie lato pod nimi, i tej nocy ubyło trochę Żydów pozostałych z poprzedniej wywózki.

Więc uciekli i choć mieli przygotowaną kryjówkę nad stajnią, nie chcieli jej demaskować, niemając szans zatarcia za sobą śladów, odstawienia drabiny, nałożenia siana pod sam sufit. Dobijanie się zaś do ciotki w ciągu nocy mogło budzić sąsiadów Ukraińców, którzy i tak mieli na nią oko.

Znowu siedzieli więc na drzewach, ukryci w bujnym listowiu wczesnego lata, ogromne, przestraszone ptaki o zjeżonych piórach.

Ciotka oparła czoło o pień włoskiego orzecha.
Helkana najgrubszej gałęzi z Moszele owiniętym w jakieś szmaty wyglądała jak Matka Boska uchodząca z Dzieciątkiem do Egiptu.

Teraz - kiedy to opowiada - przymyka na chwilę oczy i wiem, o czym myśli, Ja myślę o tym samym.

Czy gdyby Helka żyła, gdyby udało jej się zakopać głęboko pod ziemię lub wejść na najwyższe drzewo, na sam niebosiężny szczyt czy teraz zdołałaby o tym pamiętać, odrzucić swój los jak starą suknię, jak szal, którego już się nienosi.

Wiem, że ciotka o tym myśli, że kołysze siwą głową nad tym nieprawdopodobnym i niemożliwym, a jednak dokonanym, że nie może się z tym pogodzić, że boli ją to prawie tak samo jak okrucieństwo tamtego czasu, który oni przeżyła, a nie przeżyli oni.

Alarm, kiedy ciotka to sprawdziła, znowu okazał się przedwczesny - u nich jeszcze nie byli.

Już wtedy mogli wejść do swojej kryjówki, ale jeszcze mieli nadzieję, jeszcze nie chcieli zamknąć się w ciemności tajnego strychu, skoro mieli nadzieję, skrawek, ułamek nadziei i powietrze i słońce, na wiatr na twarzy, na zapach, który wieczorem bił z nagrzanej ziemi. Jeszcze mieli nadzieję - odeszli, a Ukraińiec - Volksdeutsch zaczął coraz lepiej orientować się w swoim nowym tkackim fachu.

Przyszli do nich nie w nocy, jak się spodziewali, ale za dnia, w samopołudnie, w upał, kiedy pszczoły opadły całym rojem na krzaki dzikich róż, z których ciotka obrywała płatki i ucierała je w glinianym garnku na jedyną w świecie, niepowtarzalną konfiturę.

Ludzie biegli w stronę domu Prinzów.

Odstawiła sito z różnymi płatkami i pobiegła także.

Stali już na podwórzu wszyscy, Izaak Prinz z rodziną i Janusz Prinz z rodziną, obydwaj bracia z firmy Izaak Prinz i Synowie "Polski Kilim".

W rękach trzymali małe tobołki, a przed nimi stało dwóch szesmanów z automatami na brzuchach.

Wyczyszczony metal lśnił w słońcu jak cacko, jak ogromna zabawka - i wtedy stała się ta rzecz najgorsza, ta rzecz ostateczna: Moszele się roześmiał i wciąż zapatrzony w migotliwy metal na brzuchuesesmana ruszył ku niemu z wyciągniętymi rączkami, ufny i radosny, tak jak zawsze szedł do ludzi.

Jeszcze Helka nie zdołała krzyknąć, jeszcze Salka nie zdążyła pojąć, co się dzieje, a już Jasio oderwał się od matki i pobiegł zanim, tak samouczony nadarżającą się zabawą. Małe podwórze domu Prinzów stało się nagle ogromne, biegli przez nie długo, przez niekończące się czasoczekiwania, przez niekończący się strach. Nastąpiło to, co miało nastąpić; dwie serie, jedna po drugiej, i cisza po nich.

Upadli i leżeli pośrodku podwórza, póki nie pokryły ich ciała matki, mali, absurdalnie za mali na śmierć, skurczeni i zwinięci, wreszcie na tę krótką chwilę nazawsze sobie równi, tak równi, jak nie byli nigdy za życia.

Ciotka wydołała się z ciżby ludzkiej, nie czekała, co stanie się jeszcze; skoro nie mogła nic zmienić, nie chciała wiedzieć; wołała unieść w sobie swój znak zapytania.

1968

Sam pod niebem,
czyli bolesna Fikcja literacka

- Niewyglupiaj się - powiedział.

- Dopiero co wróciłem z lotu.

- Ale musisz lecieć znowu - upierał się głos w siucha - vce.

- Bardzo ważna sprawa!

- Nie ma ważnych spraw, kiedy mi się chce spać.

- Nie żartuj, chodzi o życie człowieka.

Nie odpowiadał przez długą chwilę, więc tamten w słuchawce krzyczał dalej:

- Jesteś już na lotnisku.

Zanim się ściągnąłbym kogokolwiek z miasta.

Rozumiesz, każda minuta ma znaczenie.

- O co chodzi?

- zapytał.

- Powiedz wreszcie po kłódzku, o co chodzi?

- Trzeba dostarczyć lekarstwo do szpitala w Polsce.

- Gdzie?

- W Polsce.

Zawiadomiono nas przed chwilą, że przywiozą na lotnisko lekarstwo.

Szukano go przez radio.

- Psiakrew!

I musieli znaleźć akurat tutaj, żeby ja nie.

emógł położyć się spać.

Nie może lecieć jakiś cywil?

- Nasze samoloty są szybsze.

I nie wierzę w to wszystko, co mówisz.

Ten człowiek umrze, jeśli.

- Nie lubię takiego gadania.

Wiesz, że cholernie nie lubię takiego gadania.

Że też chciało mu się umierać, zanim skończyłem służbę.

Teraz po tamtej stronie w słuchawce zaległa na chwilę cisza.

A potem powoli:

No, więc postaram się ściągnąć kogoś z miasta.

- Nie!

-krzyknął.

-Niech to wszyscy diabli!

Polecę!

- Wiedziałem, że to zrobisz.

-Wypchaj się z tym swoim "wiedziałem"!

- Za chwilę dostaniesz lekarstwo i trasę.

Trzymaj się, st ary!

- Trzymam się- ijeszcze raz: niechciej wszyscy diabli!

Była czarna noc, kiedy samolot oderwał się od oświetlonej reflektorami płyty lotniska w. wszystko jednogdzie, tu czy tam, natej czy innej półkuli, w tym czy innym kraju, nieważne - ważny jest człowiek, sam pod niebem, i ten drugi, o którym rozmawiają teraz, licząc minuty, lekarze.

Tych dwóch ludzi, w ogromnym obszarze świata, złączonych nagłą zależnością.

Człowiek pod niebem był zdolny do myślenia.

Tamten - tylko czekał.

Nawet munie powiedziano, że może przyjść ratunek.

Nieprzyjmował żadnych wieści, był już na krawędzi, na krawędzi istnienia, z której można go było jeszcze zawrócić.

- Więc tylko człowiek pod niebem był zdolny do myślenia.

Ale nie myślał, albo myślał tylko tyle, ile musiał, aby panować nad motorem.

Pokonał już senność i zmęczenie; przyjemną pewność siebie dawał mu mocny uchwyt własnych dłoni na sterach.

Zawsze kiedy leciał, niezachwiana sprawność ciała, precyzja umysłu i mięśni, budziła w nim krzepiące uczucie i naganie spełnianego obowiązku.

Warunki lotu zaczęły się pogarszać.

Po trzystu kilometrach wpadł w mgłę, a potem w zamieć śnieżną - tamten na dole nie miał zbyt wiele szczęścia.

Temu pod niebem też go brakowało, ale jemu nie było tak spieszno.

Mimoto robił, co mógł - lubił mieć uczucie precyzyjnie wykonanego obowiązku.

Kiedy po dwóch godzinach lotu wylądował na małym lotnisku prowincjonalnego miasta, w prowincjonalnym - jak myślał - kraju, nie wyglądał na człowieka, który zdolny byłby do uśmiechu nawet, gdyby wybiegła mu naprzeciw sama Liz Taylor.

- A wybiegła koścista pielęgniarka, która pochwywszy lekarstwo, odjechała natychmiast czekającą na nią karetką pogotowia.

Wszedł do małego budynku, do którego go wprowadzono, wypił z ulgą dużą, gorącą kawę, zapalił papierosa - i zasnął w fotelu.

Obudził się, kiedy już szarzało.

Nie mógł sobie uzmysłwić, gdzie jest - bolał go kark od niewygodnej pozycji, oczy spoczywały na nieznanym sprzętach.

Zzadrzwidochodził szmer przyciszonej rozmowy.

Dopiero ta rozmowa - ze względu na niego prowadzona szeptem - przywróciła gorzkość.

Przez chwilę przysłuchiwał się niezrozumiałym słowom.

Podszedł do okna - zimowy poranek sypał gęstym śniegiem.

Jeszcze z godzinę trwały pertraktacje na temat niesprzyjających warunków atmosferycznych.

Kiedy w końcu zdecydowano się wypuścić go z lotniska, już na płycie dogoniła go dziewczyna z obsługi.

Nie zapytał pan nawet, czy on żyje?

Odwrócił ku niej powoli głowę.

- A on żyje!

- krzyknęła.

- Rozmawialiśmy przed chwilą ze szpitalem.

Są dobrej myśli.

- Dziękuję - powiedział, już z nogą na pierwszym stopniu schodków.

Twarz dziewczyny została pod skrzydłem, patrzył na pas startowy, choć wiedział, że powinien był jeszcze raz na nią spojrzeć, jeszcze raz, dobrze i raz na zawsze ją zobaczyć.

Dopiero sam pod niebem zaczął o tym myśleć.
O tym, o czym niemyślał, lecąc w tamtą stronę, o co bał się zapytać ludzi na dole.
Człowiek, który czekał na niego tej nocy - żył.
Mógł jeszcze inaczej sformułować tę myśl, ale uczynił to ostrożnie: człowiek, kukułemućciał przez mgłę i burzę śnieżną, aby go ratować- był uratowany.
Zarazpo wylądowaniu na swoim lotnisku poszedł do telefonu.
Nocna zmiana została już zastąpiona przez dzienną i musiał prosić połączenie z miastem.
- Halo!
Chciałem ci powiedzieć, że wróciłem.
- I po to mnie zrywasz z łóżka?
- Nie tylko poto, ma się rozumieć.
Obawiam się, że będziesz musiał powiedzieć staremu, żeby odesłał mnie do domu.
Jestem do niczego.
- Co się stało?
- Nic wielkiego.
Ale to ma jakieś znaczenie.
Przynajmniej dla mnie.
Uratowałem człowieka.
- Dostaniesz na pewno jakieś odznaczenie.
Idź spać!
- Poczekaj.
Czy możesz sobie wyobrazić, co czuje człowiek, sam pod niebem, który ma świadomość, że uratował życie drugiego człowieka- mimo że wszystko, cała jego sprawność i wiedza przygotowane są na to, żeby umiał zabijać, kiedy zajdzie potrzeba.
- Oszalałeś!
O czym ty mówisz?
- Wiem, o czym mówię.
Ty także dobrze wiesz, o czym mówię.
Niepotrzebujemy sobie strzepić gęby na ten temat.
Po co wyznaczyłeś mnie na ten lot?
To zobowiązuje.
Wiozłem małe pudełko, w którym było życie.
Nie potrafię już lecieć mając na pokładzie.
- Milcz!
Milcz, do diabła!
Taka rozmowa przez telefon.
- Będę prowadził takie rozmowy przez telefon i bez telefonu, kiedy i gdzie zechcę.
A ty powiedz staremu, że oszalałem.
- O, powiem mu to na pewno!
- I śpij!
Śpij, śpij!
Jak wszyscy!
1969.

Oskarżona

Po obydwu stronach ulicy co parę kroków stali policjanci. Ich obecność była raczej dekoracją miasta na powitanie rządowego gościa niż prawdziwą potrzebą zabezpieczenia jezdni przed manifestującym radośnie tłumem. Dzień był upalny ludzie woleli owiewanemu morskim wiatrem plażę od rozgrzanych asfaltów śródmieścia.

Policjanci stali więc beczynnie, pocąc się niemiłosiernie w swoich dopasowanych uniformach.

Trochę ciekawych przystanęło na brzegu chodników.

Ich liczba powiększyła się nieco, gdy u wylotu ulicy ukazały się czarne limuzyny.

i wtedy stała się ta rzecz niesłychana, nie notowana w dziejach miasta - od stojących na chodniku oderwała się jakaś niepozorna postać i wyminawszy policjanta rzuciła przed maskę pierwszego samochodu mały, groźny przedmiot.

Bomba nie wybuchła.

Była okrągłą piłką uszytą ze starych szmat.

Matka Kranz, zamieszkała przy Seestrasse 73, została jednak aresztowana.

Nie wiadomo było wszakże, o co ją oskarżyć.

Bomba, którą rzuciła, nie była bombą.

Zamiar przestępczy?

Czy można mieć zamiar przestępczy posługując się "bombą" ze starych szmat?

Staruszka odmawiała jakichkolwiek zeznań.

Milczała patrząc nieruchomo przed siebie.

Nie było pewności, czy słyszy stawiane jej pytania.

Wypuszczono ją więc potygodniu z zaleceniem dyskretnej obserwacji.

W życiu staruszki nie było jednak nic ciekawego - Wstawała rano i sama odbierała od mleczarza butelkę z mlekiem, zanim zdążył postawić ją przed jej drzwiami.

Potem obserwujący jej mieszkanie mógł ujrzeć ją w dwóch oknach, jak podlewa troskliwie kwiaty.

Były to same pelargonie, czerwone i różowe - uśmiech matki K-ranz towarzyszący tej rannej czynności świadczy!

, że jest dumna ze swoich kwiatów.

Później można ją było zobaczyć z małym koszykiem, jak przechodziła przez jezdnię, udając się do piekarza i rzeźnika;

w drodze powrotnej wstępowała do sklepu spożywczego na rogu.

Tak było co dnia - matka Kranz nie stanowiła atrakcji dla wywiadowców.

Popołudniu niedostarczała im też żadnej rozrywki: niezmiennie o tej samej godzinie szła nanieść spory do pobliskiego kościoła.

Rychło więc zaprzestano się nią interesować.

Akurat wtedy - a była to już zima - ^ mieście spodziewano się przyjazdu wysokiego dygnitarza NATO.

Tym razem wzdłuż trasy przejazdu ludzi było sporo.

Może byliną naprawdę ciekawym cudzoziemcem, który nie tak dawno był ich wrogiem, a może jeszcze inne jakieś uczucia powodowały ich obecność na ulicach.

Policjanci stali gęsto.

Mimo to matka Kranz zdołała zmylić ich czujność i jej druga bomba została zrzucona wprost pod samochód wysokiego gościa.

Oczywiście nie wybuchła - była również uszyta ze starych szmat.

Ale zamieszania dokonała wiele.

Przed wszystkim wysoki gość nie mógł wiedzieć, nawet pewno nie wiedział, że jest uszytą starych szmat, i kiedy tak leciała zatoczywszy piękny łuk przed maską samochodu. krótkomówiąc, jest wiele wybitnych osobistości, które nie lubią, gdy się obrzuca nawet kwiatami.

Matkę Kranz zamknięto tym razem w zakładzie dla psychicznie chorych.

Tu również nie odpowiadała na żadne pytania.

Dwukrotnie tylko sama zaczęła coś mówić, to nie dotyczyło jednak tej sprawy. Mówiła o pelargoniiach.

Ale szybko pogodziła się z myślą, że pelargonie umrą.

Sama niejako w imię czegoś, co było dla niej ważniejsze, skazała je na śmierć.

Przyjąwszy tę konieczność - uśmiechnęła się nawet.

Badający ją lekarz usiłował zgłębić treść tego uśmiechu.

Matka Kranz jednak znowu milczała.

I stąd zwolniono ją po niedługim czasie.

Nie wykazywała żadnej choroby umysłowej, nie było oczywistych powodów, żeby trzymać ją w zakładzie.

Teraz jednak przed każdą oficjalną uroczystością w mieście zjawiała się u niej dwóch nieskazitelnie ubranych panów w samochodach orównie nieskazitelnej elegancji przewoziło ją do gmachu policji.

Przebywała tam do wieczora, po czym równą parą odwożono ją do domu, Matka Kranz wciąż milczała?

W samochodzie zachowywała się z wyniosłą godnością.

Siedziała wyprostowana i patrzyła uważnie mijane ulice rodzinnego miasta - Dwóch aniołów stróżów w białych karkach nie mogło nic wyczytać z Jej spojrzenia.

To trwało rok albo więcej.

Ilekcio w gazetce ukazywała się zapowiedź przyjazdu kogoś ze stolicy, matka Kranz ubierała się w odświętny żakiet, przypinała pod brodą koronkowy żabot i czekała naczarny mercedes z policji.

Aż zdarzyło się, że samochód nie przyjechał.

Gazety zamieściły fotografie znaku tego gościa, wieczorem miał być bankiet w ratuszu, po ulicach od samego rana krążyły patrole - a czarny mercedes nie zjawił się przed domem przy Seestrasse 73.

Być może zapomniano o tym obowiązku lub po prostu uważano, że nie należy już dłużej nękać staruszki.

Matka Kranz odczekała lojalnie akademicki kwadrans po godzinie, o której zwykle zjawiali się dwóch aniołów stróżów.

Wyjrzała nawet przez okno, żeby się upewnić, czy niejadą.

Ale na cichej uliczce nie było widać żadnego wozu.

Matka Kranz podeszła do koszyka, w którym przechowywała pończochy przeznaczone do cerowania, i wyjęła z niej swoją trzecią bombę.

Nikt jej nie zauważył w tłumie.

Wyglądała jak inne stare kobiety, które wyszły na ulicę znudzone monotonią swego życia. Stała na brzegu chodnika i uśmiechała się przed siebie - właściwie tak: przed siebie, nie patrząc na nikogo.

Miła staruszka!

- pomyślał stojący obok policjant i odsunął się nieco, aby miała lepsze miejsce.

Kiedy nadjechała kolumna rządowych limuzyn, wszystko odbyło się tak samo jak poprzednio.

Matka Kranz wychyliwszy się z tłumy, rzuciła bombę przed maskę pierwszego samochodu - i zanim wszczęło się zamieszanie, zanim zdumiony i przerażony policjant zdążył ją zatrzymać, sama zwróciła się do niego:

- Proszę odprowadzić mnie na policję.

Do pana podkomisarza Semmera.

Podkomisarz Semmer był młodym Jeszcze człowiekiem.

Miotał się teraz po swoim gabinecie w odświętnej mundurze, ponieważ prosto z gmachu policji miał iść z matką na raut do ratusza, Matka dzwoniła już dwa razy, że czeka i oto teraz wyskoczyła mu ta głupia historia.

Dwóch aniołów stróżów stało przy drzwiach ze skruszonymi minami.

Matka Kranz poruszyła się na krześle.

To już koniec - powiedziała.

- Teraz już naprawdę koniec!

Może mnie pan więcej nie zamykać.

- Koniec?

- wrzasnął Semmer przystając przed staruszką.

- Ktoby pani wierzył?

Matka Kranz zamrugnęła powiekami zdumiona, że ktoś może podawać w wątpliwość jej słowa.

- Naprawdę koniec - powtórzyła cicho i dodała, szukając drżącą ręką chusteczki w torebce: - Boja ich miałam trzech.

I wszyscy trzej zginęli.

Wszyscy trzej zginęli, a ja dopiero wtedy zrozumiałam, że nie zrobiłam nic, żeby ich ratować.

Semmer patrzył na nią bez słowa.

Jeden z aniołów stróżów podniósł głowę i zerknął ku drugiemu.

- Więc postanowiłam.

postanowiłam przynajmniej ich pomścić Pierwsza bomba była za Rudolfa - padł pod Rommlem w Afryce Druga za Heinza - poległ w Rosji podczas odwrotu - Atrzecia.

- Dostyc' - krzyknął Semmer, wracając do swego biurka.

- Dosvć!

- Trzecią rzuciłamza Gerharda.

Zestrzelili go nad Londynem wczterdziestymczwartym,i to jużkoniec!

Miałam trzech synów - topanu każdy potwierdzi, na całejSeestrasse wszyscy wiedzą,
ilusynów miała matkaKranz.

Na biurku zadzwiećzał telefon.

Semmer pośpiesznie podniósł słuchawkę.

- Już idę!

- zawołał.

-Już idę!

Przepraszam - wie mama, znowumiałem historię ztą starą wariatką.

1962.

Wszystko jedno gdzie

Nie dla wszystkich Paryż jest taki sam.

Jego ulice i place, domy, pomniki, skwery i parki, nadbrzeżne bulwary, Sekwana między nimi, i to, co pozornie nieuchwytnie - nastrój, zapach, światło nazywające pory dnia porankiem, południem, czy zmierzchem, to całe widzenie Paryża, przejście się nim uzależnione jest od tego, skąd się do niego przybywa.

Dla niej - Marek mocniej przytulił śpiącą przy nim Gaby - było to nieduże miasto, ozdobione starościami historią, których tak brakowało Nowemu Jorkowi.

Dla niego po ubóstwie miejsc, w których przebywał, zanim tu przyjechał, po ich spalonej słońcem pustej, jałowej przestrzeni i po tym, co oglądał, w czym żył przedtem i co bardzo kochał nie pozwalając sobie na żadne oceny i porównania - ta stolica świata, jak mniemał od najwcześniejszej młodości, miała urok spełnionego marzenia, niezwykłość wyobrażanego od lat przeżycia.

Dla Gaby Petersen było to urbanistyczna ciekawostka turystyczna - jedna z pierwszych oczywiście - jaką należało zaliczyć rozglądając się po świecie.

On "schował" sobie Paryż głęboko w pamięci, żeby go zawsze mieć i nie sprzeniewierzyć się mu nawet, gdyby miał kiedyś doznać równie silnych wrażeń.

Dwa tygodnie, na które ciężko musiał pracować na owej spalonej słońcem, pustej, jałowej przestrzeni, były prawdziwym świętem w jego życiu i sławny amerykański pisarz musiał tak nazwać książkę o swoim pobycie w Paryżu - prosto nie było innego określenia. Dwa tygodnie cudownych przebudzeń ze świadomością, że za oknem jest miasto, które tak bardzo chciało się zobaczyć, dwa tygodnie nie kończących się po nim wędrówek, olśnień, radości i bez troski, dwa tygodnie - które właśnie się skończyły.

Jutro o godzinie dziesiątej rano jego samolot latał tam, skąd tu przybył, i nie można było wyzobrazić odłosa nawet pięciu minut dla tego miasta i dla Gaby.

Dla Gaby także.

Już jej powiedział, że się rozstają, ale chyba w to nie uwierzyła, bo jednak spała zamiast płakać albo wyrzucić go z łóżka, skoro okazał się przygodnym znajomym, który kompromituje dziewczynę przednią samą, nie pozostawiając nawet wspomnień.

Spała, a on miał wstać i pójść stąd i udawać - mocny Boże!

Udawać przez całe życie - że nic się nie stało, prosto rozstał się z dziewczyną, którą poznał w Paryżu, a która była nie dla niego, tak jak on był nie dla niej; i Paryż, i ona to było święto, a święta prędko się kończą, o wiele prędzej, niż wszystkie inne dni, wiedział o tym od początku, i ona od początku powinna była o tym wiedzieć, ale nie wiedziała, nie chciała wiedzieć, nie chciała się z tym pogodzić, och, jakie to było piękne, że nie chciała.

Spotkał ją od razu drugiego dnia po przyjeździe, stała na rogu jakiejś ulicy i nie wiedziała, w którą stronę udać się, więc przeprosił ją i zapytał, którądy powinna pójść, żeby znaleźć się na Place St.

-Michel.

Ponieważ on także tego nie wiedział, roześmiali się i zostali już ze sobą, żeby razem zwiedzać Paryż, żeby razem w nim być. Była prawdopodobnie zwykłą amerykańską dziewczyną, może nieco ładniejszą, no i chyba zamożniejszą niż inne, ale jemu, kiedy po raz pierwszy na nią spojrzał, wydała się doskonałością od spiętrzonych na głowie brązowych lśniących włosów po równie błyszczące świeżym lakierem paznokcie u stóp w białych sandałach.

Miała na sobie żółtą letnią sukienkę bez rękawów, a jej skóra musiała dobrze znosić słońce i nie po raz pierwszą stykała się z nim tego lata.

Z dużej czerwonej torby wyjęła tę książkę Hemingwaya, nazywającą Paryż już w swoim tytule "Ruchomym świętem" i od razu pokazała mustrony, gdzie były wymienione ulice, przy których pisarz mieszkał, kawiarnie, w których lubił pracować, popijając rum St. James lub tylko café crème.

Musiała wszędzie tam pójść, żeby po powrocie do Stanów opowiedzieć o tych miejscach dziadkowi, który w sierpniu czterdziestego czwartego roku wraz z Hemingwayem i wojskami alianckimi oczywiście - wkroczył do wolnego Paryża, i bardzo był zadowolony, interesując się od tej pory wszystkim, co dotyczyło wielkiego pisarza.

Najpierw więc zwiedzali Paryż tą książką w rękę, a kiedy byli wszędzie tam, gdzie był, przyszła pora, żeby kupić porządnego przewodnika po tym mieście, ale już wtedy dzielili czas między miasto i siebie, siebie tylko ze sobą, we dwoje, bez nikogo obok, bez cudzych oczu i uszu.

Nie powiedział jej, że ją kocha, i ona mu chyba tego także nie powiedziała, ale oboje wiedzieli, że dzieje się między nimi coś ważnego, co, być może, nie powtórzy się z nikim innym, już nigdy nie powtórzy się z nikim innym, i kiedy to się wie, wszystko wokół nabierając innej jakości, radość z istnienia drugiego człowieka staje się bezustannym olśnieniem, każda godzina ma sześćdziesiąt cudownych minut i nie ma żadnych przerw w tym, co można by nazwać po raz pierwszy w życiu doświadczanym szczęściem, gdyby miało się odwagę wypowiedzenie tego słowa.

I po tym wszystkim powiedział jej, że ma bilet na jutrzejszy samolot i że się nie zobaczą nigdy więcej.

Nie uwierzyła.

Zaczęła się śmiać całować go gwałtownie, a potem przyłgnęła do jego boku i zamruczała, żeby nie żartował, kiedy jej się chce spać i jestna wpełni przytomna.

Więc próbował także zasnąć, dwie, trzy godziny mógł tu jeszcze zostać, w jej pokoju, w jej hotelu, akurat dziesięć razy droższym od pensjonatu, w którym on się zatrzymał- ale nie mógł zmrużyć oka, oszalałe zwierzętłukłosięw jego piersi, amyśli kłębiły się pod czaszką pogmatwane, sprzeczneze sobą, poszarpanei po raz pierwszy w życiu tak bardzo smutne.

Trzeba było z tym skończyć, skończyć jak najprędzej, uniósł się nałokciu, pochylił się nad Gaby i pocałował to śliczne miejsce na jej czole, w którym zarysowane mocnym łukiem brwi zraszały się prawieze sobą ciemnym aksamitnym puszkim.

Obudziła się od razu i patrzyli sobie w oczy z bliska, aż w jej spojrzeniu zaczęło budzić się zrozumienie tej całej prawdy, w którą przedtemnie wierzyła, którą uważała za żart jego strony.

- Nie - powiedziała cicho z rodzącą się rozpaczą.

- Nie!

Pocałował jeszcze raz to śliczne miejsce między jej brwiami, a rozszalałe zwierzę w jego piersi szarpało ją teraz nakawałki.

- Kochanie!

- powiedział najczulej, jak mógł, łagodnie i przepraszająco, a także z tą samą rozpaczą, która była w jej głosie.

-Obróć się dościany i staraj się zasnąć.

-Nie!

-krzyknęła.

- Bardzo cię proszę.

A kiedy się obudzisz, mnie tu już nie będziei wszystko wyda ci się takie samo, jak przed dwoma tygodniami Zerwała się gwałtownie i usiadła na brzegu łóżka,

-Nie!

powtórzyła jeszcze raz.

Usiadł także, objął ją i zakotłosał, jakby była małym dzieckiem, które można byle czym uspokoić

-Niczego sobie nie obiecywaliśmy.

122

było,

Bo nie wiedzieliśmy.

nie mogliśmy wiedzieć, że będzie tak, jak

- Ale ja jednak muszę wracać.

muszę wracać tam, skąd przyjechałem.

Spuściła głowę, włosy zasłaniały jej twarz.

- Pojadęz tobą- powiedziała cicho.

^Przestał kotłosać nią, opuścił ramię.

Poczuł się zupełnie bezradny.

- Kochanie, bardzo cię proszę.

- Chcę być z tobą wszystko jedno gdzie.

- Niewiesz, co mówisz.

Wszystko jedno gdzie.

Są ludzie, którzy pasują do siebie tylko na bardzo krótko.

I my do nich należymy.

- Niewiem, o czym mówisz.

^- Wiesz.

Doszła byś do tego wniosku bardzo prędko.

^- Gaby uniosła kolana, objęła je ramionami i ukryła na nich twarz.

^- O, Boże!

Że też musiałam akurat ciebie zapytać o drogę na St^Michel!

Dlaczego nie zaczęłam jakiejś baby, albo pierwszego lep?

szego staruszka?

Tylko akurat ciebie.

akurat ciebie!

"-Nie płacz!

- A możesz wymyślić dla mnie coś lepszego?

^- Poprosiszw recepcji hotelu, żeby ci załatwili bilet na samolot, wrócisz do domu i wszystko nabierze od razu właściwych proporcji.

A- Czy te.

właściwe proporcje tam, dokąd jedziesz, także oznaczają ratunek?

i,- Myślę, mam nadzieję, że się nim okaza.

Podniosła głowę, rozejrzała się po pokoju.

Jej twarz była mokra

zaczzerwieniona od płaczu, ale już spokojna.

-Podaj mi bluzkę.

- Zostań w hotelu!

- Podaj mi bluzkę!

Odprowadzę cię do twego pensjonatu.

O której

imasz jutro samolot?

--O dziesiątej.

„Zamyśliła się patrząc gdzieś daleko przed siebie.

,- Dobrze.

^- Co to znaczy?

-No.

mam jednak trochę czasu.

'- Co chcesz zrobić?

I-Nic.

absolutnie nic.

Niczego nie zapomniałaś?

- zapytała, kiedy

oboje byli już ubrani i gotowi do wyjścia.

- Chyba nie -odparł machinalnie, nie sprawdzwszy nawet, czy ma zegarek na ręce i dokumenty wkieszeni.

123.

Gaby przełożyła klucz na zewnętrzną stronę drzwi.

- Pośpiesz się- zawołała - mamy windę!

W ciasnym jej kwadracie stali przy sobie blisko, ale nie objęli się, jak to zwykli robić, gdy byli gdzieś sami.

On tylko zapytał z niezwalczoną nutą popłochu w głosie:

- Amoże.

wolisz wstąpić do baru na dole na małego drinka?

- Nie, dziękuję.

Nie wolę wstąpić do baru na małego drinka.

O tej późnej porze w hallu hotelu było zupełnie pusto.

Tylko senny recepcjonista kiwał się nad swoim stołkiem za ladą.

Na widok Gaby

oddając klucz - oprzytomniał.

- Czy sprowadzi taksówkę?

- Proszę się nie trudzić.

Nocą w Paryżu powinno się spacerować.

- Tak jest, madame - uśmiechnął się.

Urok miast odwiedzanych przez turystów był najlepszym współnikiem hotelarzy.

Letnia noc nie zapędzała ludzi do domów.

Pośród zajętych sobą przechodniów, zakochanych par objętych ramionami, widzów opuszczających kina po ostatnich seansach i nie śpieszących się nigdzie starszych panów, którzy właśnie wypili ostatnią szklaneczkę wina w swoim bistro - szli przez długi czas w milczeniu.

Przerwał ją Gaby:

- Dlaczego nic nie mówisz?

Przystanął, spróbował jeszcze raz perswazji:

- Kochanie!

Obiecałaś, że będziesz rozsądna.

- A nie jestem?

Dowszystkich piorunów!

Nie jestem?

- Nie.

Utrudniasz mi to, co i tak nie jest łatwe.

- Nie?

- zapytała cichnąci łagodniejąc.

- Nie jest łatwe?

- Wiesz dobrze, że nie.

Objęła go gwałtownie.

Stał pośrodku fali nocnych przechodniów, ale nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Przytul mnie, przygarnij - trzymaj mocno i powtórz to Jeszczeraz!

- Wiesz dobrze, że nie.

- Tak jakis obcy chłopak.

- zaszeptala, nie odrywając ust od jego piersi - w dzinsach i niezbyt świeżej koszuli.

Chłopak, który napewno nie wyszedł od Ritza ani od Hiltona.

z podniszczoną torbą nie za dobrze strzyżony.

taki chłopak mówi: na Place St.

- Michel trzeba by skręcić na prawo - i nagle wszystko się kończy i wszystko się zaczyna, już nie chce się widzieć kawiarni, w której Hemingway pijał kawę i rum, a najpewniej rum bez kawy, nie chce się widzieć nic, co się miało zobaczyć i o czym miało się opowie

dzieć dziadkowi: ten chłopak jest nagg ^mejszy od tamtych spraw, ten chłopak jest w ogóle najważniejszy

- Gaby!

i to ma być ten rozsądek.

- Do diabła z nim!

Mam za sobą całą historię życia piekielnie rozsądnego i wreszcie zamierzam z tym skończyć i trzymaj mocno.

To niemożliwe, żebyśmy byli, iud^"którzy pasują do siebie tylko na krótko.

- Ale tak jest, kochanie, tak jest naprawdę

- Przestań wciąż mówić "kochanie" to słowo w naszym języku w ogóle nic nie znaczy.

- Ozdabiam je wszystkimi znaczeniami wszystkich cudownymi znaczeniami mojego języka.

i właśnie teraz, kiedy musimy się rozstać.

i teraz także.

Może teraz zwłaszcza.

Uwolniła go z uścisku i znowu

w milczeniu, aż na jakiejś bocznej uliczce zatrzymali się przed nienoz: ^1'1^1'1 budynkiem.

- Kochanie - jeszcze raz cię tak na/wę " to ^est ^^" "rój Pasjonat.

- No, tak.

- szepnęła Gaby.

To jest bardzo przyzwoity -

hotelik, w którym można także całkiem dobrze zjeść, bo gotuje ^^ właściciela.

Zresztą podczas tego pobytu najważniejszy był głównie Paryż.

A poza tym.

poza tym nie mam zbyt wielkich wymagań.

- I naprawdę musisz jutrojechać?

- Muszę - odpowiedział głucho.

Powinna już była pójść, nie było nic więcej do powiedzenia i niegodne dziewczyny takiej, jak ona, powinno

W sie to przedłużanie rozstania i tak już dostatecznie. Za długiego jednak zapytała. Jeszcze:

- Napiszesz do mnie?

Obiecałeś!

Parniżt coś!

- Napiszę, i pewnie dopiero z listu dowiesz się.

- trzymał napiersiach jej obie ręce i dławił się żalem "obsadzającym każde słowo.

- Nigdy nie umiałem mówić, zwłaszcza gdy -- Zwłaszcza, gdy co?

- zapytała z nadzieją. Puścił jej ręce, cofnął się krok, tak ji-iż nie był możliwy żaden uścisk, ani pocałunek.

- Napiszę.

I nie myśl o mnie źle.

- Idź już!

- powiedziała twardo.

\\^^"- "ie myśl o mnie źle.

Przestraszył się.

- Ja o tobie?

- Może będziesz miał jakiś powód.

Idź!

\ mocno zatrząsnij drzwiami, choćbyś miał pobudzić wszystkich gości w tej budzie.

Bliskie światło latarni oświetlało ją całą i jeszcze widział ją odczupka potarganych włosów po stopy w płtykach sandałów, Jeszcetu byłajeszcze można było.

- Do widzenia, Gaby!

- powiedział.

Odwróciła się już i szła, ale przystanęła jednak na chwilę i przechyliła ku niemu głowę. W jej oczachbyi jakiś biask, ale chyba byłoto tylkozłudzenie.

- Tak, powiedzmy sobie jednak - do widzenia.

Wpadł do małego kantorku, który przy pobłażliwym przerościewyobraźni mógłbyćuważany za hotelową recepcję.

Stary człowiek, grający sam ze sobą karty, odłożył je i uniósł się na jego widok.

- Siódmkę proszę!

- powiedział pośpiesznie, bojąc się, że zechce zatrzymać go rozmową.

,

Obawa była uzasadniona.

Starszy pan się uśmiechnął.

- Ależ pamiętam, panie doktorze.

I naprawdę opuszcza nas pan jutro?

Marek chwycił klucz, postawił nogę na pierwszym stopniu schodów.

- Cóż zrobić?

Może także i w przyszłym roku uda mi się przyjechać tu na urlop.

- Zapraszamy!

- starszy pan pochylił głowę w ukłonie.

- I niech pan dobrze śpi przed podróżą- Dziękuję.

Dobranoc.

Rozmowny zwykle lokator wydał się dziś recepcjoniście jakiś dziwny.

Odprowadził go zdumionym wzrokiem aż do podestu schodów i gdyby miał na to czas, prawdopodobnie zastanowiłby się nad tą przemianą.

Ale dzwoneczek u drzwi zakolysał się znówu i do kantorka weszła - dziewczyna.

Te, które tu czasem przychodziły o tak późnej porze, mylnie łącząc wyglądem pensjonatu brak zasad u jego właścicieli - wyglądały inaczej.

Tawydalałmu się nagle świeżość powietrza w tym zatęchłym wnętrzu i mimo woli odetchnął głęboko.

- Madame.

Dziewczyna podeszła bliżej i oparła się o ladę.

Jakby jednak była bardzo zmęczona.

- Ten pan, który tu wszedł przed chwilą.

zaczęła cicho.

- Tak?

- Czy.

przepraszam, niechmnie pan źle nie zrozumie.

Ten pan jutro wyjeżdża.

- Tak, pokój będzie wolny.

- Właśnie - ożywiła się i spojrzała na starego recepcjonistę z wyraźną wdzięcznością.

- Mówiłmi.

- Chce go pani wynająć?

- Taak.

- powiedziała najpierw niepewnie, a potem z rodzącym się, choć dumiewającym ją samą postanowieniem.

- Tak! Bardzo mi na tym zależy.

Proszę - wyszarpnę z torebki zwitek pieniędzy - płacę za tydzień.

Nawet gdybym jutro.

gdybym jutro nie zajęła, zależy mi, żeby - nikt w nim nie mieszkał.

- Nie rozumiem.

- Boten pan.

może wróci.

- Doktor?

prawie roześmiał się staruszek.

- Lecido Lome w Togo.

Pojutrzemusi być w swoim szpitalu.

Taka posada z ramienia UNESCO czy UNICEF nie jest chyba najgorzej płatna i zależy mu, żeby go nie wylali.

- No..

to Jednak Afryka.

Afryka!

Nie wiem, czy prędko znaleźliby kogoś najdogodniejszego.

- Zamilkła na chwilę, a potem szepnęła prawie z przerażeniem.

- Więc to Lomé.

Lomé w Togo.

- A samolot tylko do Akry w Ghanie.

- A...

dalej?

- Potem samochodem.

Ma po doktora przyjechać jakiś ksiądz, jakiś misjonarz jeepem.

- Jeepem.

- Może pani sobie wyobrazić jak i tam są drogi.

- Wyobrażam sobie.

- Więc od jutra ma pani pokój.

- ...

ale gdybym sienie zgłosiła - niech czeka pusty.

- Nam wszystko jedno, madame.

Będzie go pani mogła zająć każdej chwili.

- Dobranoc!

- podeszła do drzwi i nim je otworzyła, odwróciła się i starszy pan zobaczył jak ślicznie potrafi się uśmiechać.

- Dziękuję panu!

- Ależ za co?

- zawołał.

- Był pan taki miły.

I...

bardzo mi pan pomógł.

W czym?

zastanowił się staruszek, kiedy wyszła.

Boże drogi!

pomyślał.

Jakie dziwne dziewczyny chodzą teraz po świecie.

Kiedy ktoś się urodził w Nowym Jorku, żaden ścisk, gwar i ruch w każdym innym miejscu świata nie wydaje mu się oszałamiający.

Gaby, poprzedzana przez bagażowego, którego zdobył dla niej taksówkarz, dostawszy się wraz z jej walizkami spod drzwi hotelu na lotnisko w Orły - starała się tylko wyłowić z panującego tu zgiełku interesującą informację.

Megafony nie milkły nawet na chwilę, kobiece głosy przenikały nie tylko główny hali, ale i wszystkie pomieszczenia lotniska, były słyszalne nawet na zewnątrz wśród tłumu przy wszystkich wejściach.

- Odłot samolotu do Londynu, rejs numer 1283, wyjście siódme - Wylądował samolot z Nowego Jorku, numer rejsu 34952.

- Pasażerowie odlatujący do Damaszku proszeni są do odprawy celnej.

- Wylądował samolot z Moskwy, numer rejsu 14812.

- Pan Peter Clydeforth!

Pan Peter Clydeforth proszony jest o odbiór zgubionych dokumentów w okienku dziesięćdziesiątym czwartym.

- Samolot do Rio de Janeiro, numer rejsu 17332.

Prosimy pasażerów, żeby szybciej zgłaszali się do odprawy celnej.

- Wylądował samolot z Rzymu, numer rejsu 27914.

- Pani Denise Legeot, udając się z dziećmi i pseudonimem Colombo, proszona jest o zgłoszenie się w stacji sanitarnej.

- Samolot do Akry, numer rejsu 9618.

Pasażerowie proszeni są do odprawy paszportowej w okienku dwudziestym dziewiątym.

Po tym ostatnim komunikacie Gaby dotknęła pleców bagażowego.

- Prędej!

Okienko dwadzieścia dziewięć!

Samolot do Akry!

Stali tu już w kolejce przeważnie ciemnoskórzy pasażerowie.

Ale byli i tacy, którzy nie lecieli "do domu", tylko na spalonej słońcem ziemi Afrykanów mieli jakieś swoje białe interesy - i on był wśród nich, choć nie wyglądał na biznesmena i nie mógł na niego wyglądać nawet za kilkadziesiąt lat.

Przebiegła się wzdłuż kolejki i z tyłu chwyciła go za ramię.

- Dzień dobry!

Odwrócił się gwałtownie, zmartwił.

- Gaby!

- Ja! - uśmiechnęła się pogodnie.

- We własnej osobie.

Powiedzieliśmy sobie przecież do widzenia.

- Ale to niedorzeczne.

Po co to zrobiłaś?

- Co mianowicie?

- Jechać tu taki kawał drogi - przecież pożegnaliśmy się wczoraj.

- No i dziś się witamy.

Lecę z tobą do Akry!

- Gaby!

- Proszę pana!

Pana paszport!

- oficer straży granicznej wychylił się okienka; zdumionym wzrokiem obrzucił pasażera, który znalazłszy się przed nim, nie przedstawił od razu dokumentu.

128

- Przepraszam - Marek przytomniał z trudem, drżącą ręką wsunął swoją książeczkę paszportową w wykrój szklanego okienka.

Francuz wziął w dwa palce, otworzył, przyjrzał się nieufnie obco brzmiącemu nazwisku.

- Pan.

Marek Laskowski.
z Polski.

- Tak - potwierdził.

Oficer przyjrzał się teraz jego twarzy, porównując ją z paszportowym zdjęciem.

-Ma pan wizę.

-Togijską.

Lecę do Akry, ale stamtąd.

- W porządku -Francuz oddał paszport i zwrócił się do Gaby.

-Pani.

Gaby trzymała w ręku swój paszport i odrazu była gotowa gookazać.

- Proszę.

Mam także wizętogijską.

Dzisiejszej daty!

- Dzisiejszej daty?

- uśmiechnął się oficer niedowierzająco, zerknął na zegarek, a potem przyjrzał się dacie podpieczętą.

-Rzeczywiście!

- No, widzi pan!

- uśmiechnęła się także Gaby.

-Nie ma rzeczy niemożliwych.

-Oszalałaś!

- szeptał Marek za jej plecami.

-Zupełnieoszalałaś!

- W porządku, dziękuję - Francuz zwrócił jej dokument, patrzył już na następną osobę w kolejce.

- Proszę się przesunąć!

- Gaby!

- Marek wciąż nie wierzył swoim oczom.

-To naprawdę szaleństwo!

- Dlaczego?

- uśmiechnęła się pogodnie, choć usta jej drżały.

-W Afryce jeszcze nie byłam,

-Nie zdajesz sobie sprawy.

- Znakomicie zdaję sobie sprawę ze wszystkiego, co robię.

Staram się udowodnić, że chcę być z tobą wszędzie jedno miejsce tylko w Paryżu, ale i w Afryce, w jakimś tam Lome w Togo, panie doktorze Laskowski, leczący Murzyniaka z ramienia UNICEF.

- Dla ścisłości - te Murzyniaki lecę w miejscowości Bassar.

Czterysta pięćdziesiąt kilometrów na północ od stolicy kraju Lome.

- Czterysta pięćdziesiąt kilometrów.

- Gaby przełknęła ślinę.

I ciszej zapytała:- Czym?

-Jeepem oczywiście.

- To już razem.

- Gaby zaczęła wyraźnie tracić pogodny nastrój-to już razem sześćset pięćdziesiąt.

- Tak-jeśli dodać dwieście z Akry do Lome.

Dobrze jesteś poinformowana.

- A ty zbyt łatwo zwierżający się recepcjonistom.

- Mogłem siętego domyślić.

- Pasażerowie odlatujący do Akry - odezwał się nakazujący pośpiech głos w megafonie - numer rejsu 7618, proszeni są o zgłoszenie się do odprawy celnej.

Gaby skinęła na swego bagażowego.

- Jeszcze terazmożesz się rozmyślić- Marek zastąpił jej drogę.

Potrząsnęła głową, usta przestały Jej drżeć, znów sprawiała wrażenie, że świetnie siębawi.

- Nie rozmyślę się.

Dziadek będzie zachwycony, jeśli mu napiszę, że śladami Hemingwaya zawędrowałam aż do Afryki.

- Wciąż uważasz, że to zabawa.

Nie poddałaś się ochronnym szczepieniom.

Wspięła się na palce i szybko pocałowała go w policzek.

-Ale zato podjąkajestem opieką, panie doktorze Laskowski!

Megafony w dalszym ciągu podawały różnojęzyczne informacje:

- Wylądował samolot z Oslo, numer rejsu 9763.

-Pan Peter Clydeforth!

Pan Peter Clydeforth proszony jest o odbiór zgubionych dokumentów w okienku dziewięćdziesiątym czwartym.

- Pasażerowie odlatujący do Teheranu rejs numer 6320- przygotowują się do odprawy celnej.

-Odlot samolotu do Belgradu.

Rejs numer 72012, wyjście ósme.

- Pani Denise Legeot, udająca się z dziećmi i psem do Colombo.

Czekając na odprawę celną słuchali obydwojetych komunikatów nieświadomi tego, że w tej samej chwili dokonywał się zapis losów nie istniejącej księdze, niewidocznymi, ale trwałymi literami.

Pokój w hotelu w Akrze miał klimatyzację, ale podróż z lotniska była męcząca.

Upała bliskość spoconych czarnych ciał w przepelnionym autobusie podziałała na Gabę deprymująco, choć bardzo się starała nie okazać tego przed swoim towarzyszem.

Ojca Cyryla, owego misjonarza, który ze swoim jeepem miał czekać na doktora

Laskowskiego, żeby go zawieźć do Bassar -jeszcze nie było, mieli więc trochę czasu na odpoczynek.

Marek zostawił dla niego wiadomość w recepcji i zabrawszy z restauracji kilka butelek wody mineralnej, wrócił do pokoju.

Gaby zdążyła już wziąć prysznic i owinięta ręcznikiem kąpielowym siedziała na brzegu łóżka, niezbyt pewna, czy można się na nim położyć, choć wyglądało świeżo i czysto. Rozpromieniła się na widok butelek.

130

- Och, jak dobrze, że przyniosłeś wodę!

Umieram z pragnienia!

Marek otworzył butelkę, nalał wody do szklanki.

Jęgotwarz miała

wciąż ten sam surowy wyraz, którego nie straciła nawet na chwilę od spotkania na lotnisku w Orly.

- Pamiętaj, że nigdzie nie wolno ci pić nie przegotowanej wody.

-Pamiętam - przyrzekła pokornie.

- I niechcinnie przychodzi do głowy kupowanie czegośkolwiek do jedzenia na ulicznych straganach.

-Możesz być spokojny.

- Gabypociągnęła nosem.

-Co to za

odór?

- Ten smród, chciałaś powiedzieć.

To właśnie jest Afryka.

Miejska Afryka.

Bo w sawannie czy w buszu, zdarzają się, że pachnie.

O ilew pobliżu nie rozkłada się padlina nie dojedzona przez hieny, albo.

- Chcesz mnie przestraszyć.

-Czy można czymkolwiek przestraszyć osobę tak odważną i samodzielną?

Gabynastroszyła się także.

- Owszem - takim tonem.

Czy niemożesz być znowu chłopakiem,którynie najlepszą angielszczyzną powiedział:Na Place St.

-Micheltrzeba chyba skrócić na prawo?

- Wybierając się doTogo poprawiałem wyłącznie mój francuski.

To tutaj język urzędowy.

- Zdążyłam zauważyć.

Czy masz jeszcze coś ciekawego do dorzuceniaio republice togijskiej?

-W Bassar.

- Gdzie?

-W Bassar, tam pracuję.

- Od Akry sześćset pięćdziesiątkilometrów jeepem - westchnęłaGaby.

-Dokładnie.

Otóż w Bassar damci coś do poczytania o Togo.

- Cośniecoś dowiedziałamsięjuż sama.

-Kiedy?

- Dziś rano, kiedy starałam się o wizętogijską.

Marek nie mógł sięnie uśmiechnąć.

-Brawo!

- Widzisz.

Mam nadzieję, że z biegiem czasu przekonasz się, że głąd wiedzy nie jest jedyną moją zaletą.

Otóż w informatorze, któryprzerzuciłam czekając na wizę, podano następujące dane o Togo: powierzchnia wyżynno-górzysta, klimat gorący, sawanny; słabo rozwinięty kraj rolniczy, uprawa kawy, kakaowca, prosa, sorga, manioku, ku131.

kurydzy, orzeszków ziemnych - wydobycie fosforytów.

Od początków XIX wieku penetracja europejska; od 1884 protektorat niemiecki, po 1918 terytoria mandatowe - po 1945 powiernicze - francuskie i brytyjskie;

część brytyjska po 1957 w składzie Ghany, część francuska od 1956 autonomiczna republika w ramach Unii Francuskiej, od 1960 niepodległa republika Togo; członek ONZ od 1960.

-Brawo"

- Nareszcie się rozchmurzyłeś.

Wiadomości niechybnie poszerzę i pogłębię przez autopsję.

Poza tym, jeśli chcesz wiedzieć, w co!

egę umiałam najlepszy stopień z geografii, moja rodzina przejawiała zawsze zamiłowanie do zwiedzania świata.

- Gaby zamilkła raptownie.

-No, tak.

Szkoda tylko, że nie wszystkie podróże kończyły się dobrze i niewszystkie miały charakterystyczny.

Rodzice, jak wiesz, zginęli w katastrofie lotniczej, a brat- Gaby znów urwała, po czym gwałtownie zmieniła temat.

- Ojca Cyryla jakoś nie widać.

- Na pewno przyjedzie.

Umówiliśmy się, że dziś przylecę i będę czekał w tym hotelu.

Może ma coś do załatwienia w tuższej stacji misyjnej.

- Co to za zakonnik?

-Werbista.

Zgromadzenie Słowa Bożego.

- O ile zdołałam zauważyć - zaczęła Gaby ostrożnie - to ty.

-Dobrze zdołałaś zauważyć.

Ludzie z różnych źródeł czerpią swoje nakazy moralne, ale to wcale nie znaczy, że one muszą różnić się od siebie.

- A poza tym wszystkim - przyjaźń?

-Tuna ogół biali zawsze przyjaźnią się ze sobą.

Gaby nie potrafiła poskromić nieco ironicznego uśmiechu.

- To już pierwsze uchybienie w szczytnym posłannictwie pełnionym w Czarnej Afryce.

-Uchybienie?

Nie przychodzi nam to do głowy.

- Boty urodziłeś się w Polsce, ojciec Cyryl.

-W Belgii.

- ...

aja, mój drogi, w Stanach Zjednoczonych.

Co zrobimy, jeśli nie przyjedzie?

- Gaby znów pośpiesznie zmieniła temat.

-Kto?

- Ten twój ojciec Cyryl z zakonu werbistów.

-Powiedziałem ci, że to niemożliwe.

-Ale jednak,

- Gdyby nie przyjechał, co absolutnie nie jest możliwe, wzięlibyśmy busz-taxi.

-Co takiego?

- Busz-taxi.

Przybysze z Mali i Nigerii, Murzyni-muzułmanie, najlepsi, ale bezlitośni jako kupcy, dorabiają się tu pieniędzy nawszystkim - między innymi na używanych tu w charakterze małych autobusów japońskich toyotach.

- No to nie czekajmy na ojca Cyryla, tylko weźmy tę toyotę- Chyba lepsza od jeeпа?
- Alei tak musielibyśmy czekać, aż zbierzesię pełny skład do Lome.
- Do diabła!

Można przecież zapłacić za ten pełny skład i nie cisnąć się z Murzynami w jednej budzie. Przepraszam.

- Prędzej czy później zdarzy się sytuacja, gdzieś buszualbonapustyni, gdzie na nic zdadzą się twoje dolary.

Afryka uczy pokory.

Nie radzę ciodrzuć jej pierwszej lekcji.

- Powiedziałam: przepraszam!

" Gaby podniosła głos, ale zaraz tego pożałowała.

- Czy to ktoś pukał?

Marek podszedł spiesznie do drzwi.

- To, zdaje się, w samą porę ojciec Cyryl.

Jestem!

Jestem tu, ojczu!

- zawołał do zakonnika, stojącego w progu.

Zapraszając go do środka, dodał z zakłopotaniem.

- I to - niesam.

Ojciec Cyryl był wysokim, kościstym mężczyzną o rudawym zaroście; długabroda, której mógłby mu pozazdrościć sam Pan Bóg nawszystkich kościelnych obrazach, miała jednak kolor o wiele ciemniejszy od buńczucznie sterczących na głowie włosów wyraźnie wbarwie marchewki.

Wyściskawszy doktora, zwrócił ku Gaby rozpromienioną twarz, wcale nie speszonej jej strojem.

- Witam panią!

Wszystkie stacje misyjne od dawna na panią czekają.

- Pani nie jest dziennikarką z "Le Monde" - wyjaśnił wciąż zmieszany Marek.

- Pani.

- ...

Gaby Petersen z Nowego Jorku - przedstawiła się sama.

- ,jeśli by to ojcu miało sprawić satysfakcję, mogę napisać korespondencję na przykład do "Newsweeka".

- Och - zakonnik znakomicie zapanował nad rozczarowaniem, jakie go spotkało - dla naszej pracy nie ma to istotnego znaczenia, ale młodzi ludzie, którzy nie zastanawiali się dotąd nad poświęceniem swego życia misjom.

- To miłe z ojca strony - uśmiechnęła się Gaby, przytrzymując pod samą brodą ręcznik kąpielowy - posadzać mnie o taką siłę inspiracji!

- Człowiek niewiele wie o swojej sile, madame, i dobrze -jeśliktoś drugi ją obudzi.

-Dziękuję - szepnęła, niezadając sobie sprawy, zaco właściwie dziękuje.

- Na razie trzeba obudzić w Gaby innąsile.

- Marek przerwałterozmowę -jeepojca przerażająod chwili, w którejo nim usłyszała.

- Mój jeep?

- zdumiał się zakonnik.

-Jest znakomity!

Gaby chwyciła swoje rzeczy i skierowała się ku łazience.

- Mam nadzieję, że nie będęinnego zdania -powiedziała uprzejmie.

Wróciła po chwili w sukience, z uporządkowanymi włosami, i stanęła przedzakonnikiem, Jakby miała zamiar jeszcze raz mu sięprzedstawić.

A w ogóleojcu należy się całaprawda: oto któregośdnia wParyżu, a był to bardzo piękny dzień, panna Gaby Petersenz nie najgorszej amerykańskiej rodziny - zaczęła na ulicy doktoraMarka Laskowskiego pytając go, w jakim kierunku powinna się udać,żeby trafić na Place St.

-Michel.

On także nie wiedział, ale resztę Jegourlopu spędzili już razem, a teraz.

teraz taniedorzeczna Amerykanka pragnie dowieść bardzo sceptycznemu Polakowi, że wszystkojedno gdzie.

- Gaby- doktor spojrział na nią z wyrzutem- to naprawdę ojciec obchodzi.

-Myślę, że wprost przeciwnie.

Chciałby pewnie wiedzieć.

Zakonnik wziął jej obie ręce, ścisnął mocno.

- Och, madame!

Podczas mojej pracy nauczyłem się traktowaćwszystkich spotykanych ludzi jako darboży.

Nie pytam drzewaw sawannie, skąd się tu wzięło.

Wystarczymi, że użycza komuś cienia.

- Dziękuję - po raz drugi bezwiednie szepnęła Gaby.

Marek zgromadził bagaże przy drzwiach.

- Czyojciec nocował tu na misji?

-Tak.

Przyjechałem wczoraj.

Jestem wyspany i wypoczęty i, jeśli chodzi o mnie - moglibyśmy jechać.

O ile, oczywiście, nie jesteściezmęczeni lotem z Paryża?

- Gaby?

- spytał doktor.

- Już wypoczęłam tu w hotelu - powiedziała bardzo dzielnie.

-Więc możemy jechać?

- Choćby zaraz!

Nie, nie - odsunęła jego rękę- swoją walizkęwezmę sama.

Przekonasz się, że nie przysporzę ci kłopotów.

- Nie tego się bałem -Marek odebrał jej walizkę i podał jej za ojcem Cyrylem, który zabrał już dojeepa część bagaży i upychał je wewszystkich możliwych kątach wozu.

-Ma pani kask?

- zwrócił się do Gaby.

-Nie.

- Na szczęściewozę ze sobą zawsze zapasowy na wypadek, gdybym musiał zabraćkogoś do samochodu.

Proszę.

Nie będzie za duży?

- Jest w sam raz - zdecydowała, choć kask spadał jej głęboko naczóło.

- Proszę ojca - spytała nagle - czy nie znalazłaby się dla mnie jakaś praca?

Odpowiedział nie od razu.

Usadowił ich najpierw na tylnym siedzeniu, sam zasiadł za kierownicą, zapuścił motor.

Dopiero wtedy powiedział:

- Zaraz po przyjeździe do Bassar porozmawiam z siostrą Beatrycze.

- Na misji są kobiety?

- zdumiała się Gaby.

- Siostra Beatrycze prowadzi szkołę.

Gaby szarpnęła za ramię milczącego doktora.

- Nicmi nie mówiłeś, że na misji są siostry.

- O ile sobie przypominam, w ogóle nic ci nie mówiłem, kochanie - odrzekł miękko.

Może pozwolił sobie jednak na chwilę wzruszonej radości, właściwie oceniając fakt, że ta niezwykła dziewczyna jechała o to z nim bez lęku w jakieś afrykańskie wertepy, niebojąc się choćby tego, że zepsuje się im samochód i będą musieli nocować gdzieś w buszu, z dala od ludzkich osiedli, pośród skradających się dzikich zwierząt.

Gaby musiała jakoś to wyczuć, przytuliła policzek do jego ramienia.

- Marc!

Znowu używał słowa, które w naszym języku nic nieznaczy.

Pochylił ku niej głowę.

- Ale i tym razem daję mu wszystkie znaczenia mego języka.

- Naprawdę?

- spytała cicho.

- Bardzo się boję chwili, w której zobaczę po raz pierwszy, że żałujesz.

- Ta chwila nigdy nie nastąpi - zaszeptała gorąco.

Bądź zawsze zmną ita chwila nigdy nie nastąpi.

- Oprzyj się na mnie, tak będzie ci wygodniej.

A może wolisz siedzieć z przodu przy ojcu Cyrylu?

- Jest wspaniały, ale wolę siedzieć przy tobie.

- Więc oprzyj się dobrze, ojciec Cyryl jedzie ostro, a tutejsze drogi - Sza!

Wszystko jest takie, jak sobie wyobrażałam, ani odrobinę gorsze.

Trzymaj mnie mocno i będę myśleć tylko o tym, że jesteśmy tu razem, a "Razem" jest najpiękniejszym krajem świata, wiem to od niedawna, nie wiedziałam w ogóle, że istnieje taki cudowny kraj.

Skromny kościółek, jeszcze skromniejsza szkoła i chyba najskromniejszy ze wszystkich szpitalików świata - mieściły się w Bassar tuż obok siebie.

Tu było to miejsce, gdzie zadbane o dusze, umysły i ciała mieszkańców tego murzyńskiego miasta, gdzie obok murowanych budynków "śródmieścia" zaczynały się sklecone zbyte czego chaty, ciągnące się wzdłuż pylistych uliczek daleko wsawane.

Ku miłemu zdumieniu Gaby polski doktor zajmował jeden z okazalszych budynków, miał nawet "służbę", w każdym razie kucharkę, dziewczynę do sprzątanania i ogrodnika, opiekującego się otaczającym dom ogrodem.

Zezrozumiałych względów nie mogła jednak tam zamieszkać przyjęła z radością zaproszenie ojca Cyryla, który udzielił jej gościny w budynku misji, w wybielonym śnieżnie pokoju z krzyżem na ścianie, żelaznym łóżkiem, kulawym stołem i równie upośledzonym krzesłem oraz blaszaną miednicą na stołku.

- Będzie tu pani dobrze - powiedział.

- Na pewno.

- Oczywiście wiedziała pani, że w Afryce trudno jest o komfort.

- Obiecał mi ojciec - przerwała ten temat - pracę w szkole.

- Ależ tak.

Siostra Beatrycze ucieszyła się z pomocy.

Pójdziemy tam jeszcze w tym tygodniu.

Wbrew przewidywaniom gromada czarnoskórych dzieciaków wzdostała ją nawet wzruszyć.

Coś jednak wzbudziło jej niepokój.

- Dlaczego ojciec nie powiedział mi, że siostra Beatrycze jest Murzynką?

- zapytała od razu, gdy opuścili szkołę.

- Afrykanką!

- sprostował zakonnik z przykrością, której nie udało mu się ukryć.

- Nie sądziłem, że to ma jakieś znaczenie.

- Właściwie nie.

- zaczęła wycofywać się Gaby.

- Ale wolałabym wiedzieć przed tym.

- Przed czym?

- Mam przecież uczyć w tej szkole.

- Siostra Beatrycze skończyła specjalny kurs w naszej stacji misyjnej, zna tutejsze narzecze Bassar.

- O, to jest argument - zauważyła dość cierpko.

- Pozatym.

- zawahał się ojciec Cyryl.

- No, śmiało - prosię ojca!

Śmiało!

- Poza tym ona tu będzie - zawsze.

- Zawsze?

- To chyba rozumiała.

- Tak.

to rozumiała - Gaby zamilkła, wysunawszy dolną wargę.

- Czy ojciec sądzi - zapytała po długiej chwili - czy ojciec uważa, że zemną są kłopoty.

Ojciec Cyryl gwałtownie potrząsnął głową.

- Tegonie powiedziałem.

Gaby chwyciła go za ramię i szła tuż przy nim, starając się dotrzymać mu kroku.

Słońce prażyło, najłżejszy powiew nie łagodził jego ostrości.

- To nie ma związku z naszą poprzednią rozmową.

Po prostu chcę wiedzieć.

Bo jeśli ojciec to odczuł, to i doktor.

- Nie rozmawiałem z nim na ten temat.

I nie przypuszczam.

- Czego ojciec nie przypuszcza?

- Żeby.

ze chciał mi się zwierzać.

- Religia jest zaprzeczeniem dyplomacji.

- Nie rozumiem.

- Wiara wymaga prawdy.

Zawszei wszędzie.

Podczas gdy dyplomacja nakazuje powstrzymywanie się od niej w okolicznościach, w których byłaby zbyt.

niezręczna.

- Nie powstrzymuję się od prawdy, jak to pani określiła.

Uważam, że radzi sobie pani - całkiem dobrze.

- Całkiem dobrze.

- Jak napierwsze dni w Afryce oczywiście.

- Najtrudniej przyzwyczać mi się do Jedzenia - poskarżyła się na Gaby.

Wiedziała, że może to zrobić tylko przed ojcem Cyrylem.

- Ta koszmarna papka z sorgaz sosami, które wykrzywiają twarz!

Albo miazga z yamów.

Ojciec Cyryl wreszcie się uśmiechnął.

- Dla nas smaczne to nie jest.

Ale można się przyzwyczać.

Ja przyzwyczałem się bardzo szybko.

- A...

doktor?

- Nie wiem, nie zwierzał mi się.

Ale sądzę, że po dwóch latach w Wietnamie.

Gaby zatrzymała się gwałtownie.

- Był w Wietnamie?

Kiedy?

- Przed przyjazdem tutaj.

Kiedy po zakończeniu działań wojennych zaczęto organizować tam leczenie.

Gaby ruszyła znów naprzód, nie puszczając ramienia ojca Cyryla, jakby to wsparcie na nim mogło dodać jej siły i wzmocnić poczucie bezpieczeństwa.

- Niemi nie mówił.

- szepnęła.

- W ogóle mówi mało.

Mnie powiedział tylko, że "zaliczył" dwa lata Wietnamu.

Trzy lata ma być tutaj.

Jeśli nie zechce sobie tej pracy przedłużyć.

- Umowa z UNICEF?

- Nie tylko.

Myślę, że to także umowa z samym sobą.

- Czy.

ojciec nie usiłował dociec.

- Nie.

- Przepraszam.

- Mamy tu tyle ważnych i pilnych spraw do przeprowadzenia, że mimo woli sami dla siebie schodzimy na plan drugi.

Żeby osadzić katolicyzm w miejscowej kulturze - katolicyzmnie europejski, lecz uniwersalny - trzeba niejako przełożyć wszystkie nasze pojęcia na wyobrażenia tych ludzi, dla których jedynie idea jednego Boga jest w pełni jasna.

To zadanie dla mnie, a doktor.

- A doktor.

- podchwyciła skwapliwie Gaby.

- Jego sytuacja jest jeszcze trudniejsza.

Ja ulegam niekiedy złudzeniom, one mnie pocieszają i dodają odwagi.

W jego dziedzinie ma złudzeń.

Prawda jest dotkliwie wyraźna.

Właściwie nie ma żadnej opieki zdrowotnej.

Ten szpital, w którym chorych pielęgnują ich krewni, koczujący w nocy wokół budynku i - co tu dużo mówić - zanieczyszczający cały teren, urąga wszelkim zasadom.

- W dodatku palą ogniska.

- Noce są chłodne.

- Wiem.

Ale ten bezustanny szmer szeptówczy modłów, który stamtąd dochodzi.

Bardzo źle tutaj śpiam.

- I do tego się pani przyzwyczai.

- Do tego bezustannego szumu owadów i ludzkich głosów?

I do smrodu, przepraszam ojca, który przesładował mnie nawet wtedy, kiedy zrywam owoce albo wacham kwiaty?

- Jesteśmy tu właśnie po to, żeby oduczyć ich załatwiania swoich potrzeb na ulicy, żeby przyzwyczaić ich do podstawowych zasad higieny.

Doktor objeżdża murzyńskie wioski i przy pomocy siostry Beatrycze wygłasza odpowiednie pogadanki.

- Przy pomocy siostry Beatrycze.

- Mówiłem już, że zna narzecze bassar.

- Rozumiem.

- A poza tym doktor ma nadzieję, że wkrótce będzie mogła wygłaszać te pogadanki sama.

- Rozumiem - wolno powtórzyła Gaby.

138

Drogę, którą szli, przeskoczył czarnoskóry chłopak mknąc ku zaroślom ocieniającym nieduże okienko wody.

- Czy to nie Abe?

- spytał ojciec Cyryl.

" -Nie wiem.

Dla mnie oni wszyscy są tak podobni.

, -To ten chłopak, który kręci się wciążkoło doktora.

Abe!

- za=.

wołał.

- Byłeś zdoktorem w szpitaliku?

Chłopak przystanął, jakby przez chwilę się wahał, ale zrezygno; wawszy z pokusy, którejsię wyrzekał, zbliżył się dysząc- Miał krótko^ przyciętekędzierzawe włosy, oczy błyszczącejak świeżo wyłuskanetkasztany i olśniewające murzyńskie zęby, nieco za duże w jego dzieli cinnej Jeszcze twarzy:

- Byłem.

- zmarszczył brwi,żeby sobie coś przypomnieć.

-

{Doktor powiedzieć, żebym powiedzieć ojciec Cyryl.

: - "Doktor powiedział, żebym powiedział ojcu Cyryłowi" - poprawił

^zakonnik.

- A już nie robiłeś takich błędów.

Doktor był na urlopie, ale

X zostawił ci przecież książkę i przyrzekłeś, że przez cały czas będzieszchodził do szkoły.

Chyba, żewolałeś siedzieć nadwodą.

I- Możenajpierw się dowiemy, co doktor kazał ojcu powiedzieć?

-

nie kryjąc lekkiegozniecierpliwienia wtrąciła Gabi

-Że dziśdobry obiad' - wyrzucił z siebie Abe skwapliwie.

- i żeby zaraz przyjsć, bo Kowu mieć dziś siedem krewnych w kuchni.

^ - Co toznaczy?

- spytała ubawiona.

Ojciec Cyryl także się

uśmiechnął.

^ - Zaraz pani wytłumaczę.

Jeśli doktor powiedział "zaraz" to dla(" czego biegłeś nienamisję, tylko.

Abe spuścił głowę.

Tarł na przemian bosymistopami chude łydki.

, - Bo chciałem najpierw zobaczyć.

, - Mówiłem ci tyle razy, że w bajorach, które pozostają po porzes deszczowej, nigdy nie będzie ryb.

-Ale ojciec powiedzieć.

ojciec Cyrylpowiedzieć, żeśacuda.

' - Hm.

-zająknął się zakonnik,odwracając twarz od uśmiech nietęgo spojrzenia Amerykanki.

- Dość rzadkosię zdarzają.

; - AleJak mocno pragnąć.

Abe bardzo mocno pragnąć łapać ryby.

^ -No to idź już-ojciec Cyry!

machnąłręką-a na drugiraz, kiedyf doktor coś ci poleci, najpierw maszto zrobić, a dopiero potem mor;' żeśz się zająć swoimi sprawami.

, Abe wciąż przestępował z nogi nanogę.

";' - Ja tylko zobaczyć.

- Dobrze, już dobrze - ojciec Cyryl z ulgą zakończył tę rozmowę, przez chwilę patrzył w milczeniu, jak chłopak mknie przez wyschnięte.

trawy, a potem wciąż jeszcze nieco zmieszany zwrócił się do Gaby.

-Niezwykle trudno wyrobić w nich jakąś systematyczność.

Alew ogóletu bardzo zdolny chłopak.

Wiedziemy o niego spór z doktorem.

Bo ja bym chciał mieć w nim przyszłego katechetę, a doktor widzi go jako pomoc w szpitalu.

- Może jednak pójdziemy już na obiad, skoro ma być coś specjalnego, a w kuchni siedzi siedmiu krewnych kucharki.

-To właśnie miałem pani wyjaśnić.

Tak już z nimi jest, to typowy przejaw solidarności afrykańskiej, rozległe więzy rodzinne i gościnność, która białych czasem niecierpliwi.

O ile pamiętam, kiedy doktor przyjmował Kowu na kucharkę, była zupełną sierotą.

- Wobec tego sytuacja jest naprawdę groźna - roześmiała się Gaby - i musimy się spieszyć.

W jadalni "doktorówki" nie odczuwało się Afryki.

Pokój, usytuowany od północnej i zacienionej drzewami strony, był względnie chłodny, a obiad mógł być podany w paryskiej restauracji, zważywszy, że główne danie stanowiły pieczone perliczki.

Marek, w roli gospodarza, zaprezentował nie znane dotąd Gaby zalety, podsuwał swoim gościom półmiski, dolewał wina.

- Słusznie chyba sądziłem, że pieczone perliczki są najwłaściwszą okazją, żeby móc znowu gościć ojca przy stole.

-Znakomite!

Znakomite' - mruczał zakonnik, zręcznie oddzielając od kości apetycznie przyrumienione mięso.

Do ascezy, na którą się składał, nie włączał najwidoczniej uciech kulinarnych.

- Są naprawdę świetne dodała Gaby.

Doktor zwrócił ku niej, może to sprawiły dwa kieliszki wina, ale nigdy jeszcze nie widziała go tak rozluźnionego.

- Cieszę się, że ci coś smakuje, kochanie.

Wiedziała, że to dla niej ten obiad, a zaproszenie ojca Cyryla pozwalało tylko gospodarzowi ukryć to przed samym sobą.

Uśmiechnęła się do obydwu mężczyzn.

- Czy jestem aż tak niezdolna przy stole?

Doktor pochylił się ku niej, może to sprawiły dwa kieliszki wina, ale nigdy jeszcze nie widziała go tak rozluźnionego.

- Dopiero teraz ci się przyznam, że ze mną było jeszcze gorzej.

- Trzeba było od razu to powiedzieć - Czy zgodzisz się pan, doktorze - ojciec Cyryl podniósł głowę nad talerz, z trudem tłumiał rozbawienie - że dorzucę coś do tych rzadkich zwierzeń, żeby do reszty uwolnić panią z kompleksów?

- Ależ proszę!

- Otóż kochany, dzielny doktor, bądźco bądź chłop nie ułomekpo przyjeździe tutaj leżał przez dziesięć dni na naszej stacji misyjnej' powalony na obie łopatki chorobą, którą nazywam zetknięciem się z Afryką, boi mnie się coś podobnego przydarzyło.

Gdyby nie siostra Beatrycze, która mnie wtedy pielęgnowała.

- Niechże już ojciec nie ukrywa całej prawdy - roześmiał się Marek - gdyby nie czarownik, którego doo jczas prowadziła!

Ale daję ci słowo, Gaby, że w moim wypadku obyło się bez czarownika.

- Doktor miał lekarstwa z sobą, no i w końcu wiedział co mu jest.

- Szok.

Zwyczajny szok.

Jednak nie tak to sobie wyobrażałamchoć byłem już przed dwa lata w Wietnamie.

- Dwa lata w Wietnamie podczas pokoju-zeszczególnym naciskiem sprecyzowała Gaby.

Doktor niezwrócił na to uwagi.

- Na szczęście podczas pokoju.

Chociaż wciążmyślałem tym comusieli tam przeżyć ludzie podczas wojny.

Gaby odsunęła swój talerz

- Niechcę o tym mówić - powiedziała cicho.

Obydwaj mężczyźnizwrócili ku mej pytające spojrzenie.

Ale w tej samej chwili nadpływający z oddali warkot motoru ogłuszającym hałasem zbliżył się podokno.

- Tonapewno siostra Beatrycze podprowadziła mego jeepa - powiedział ojciec Cyryl.

- Jedziemydzisiaj do kilku osad.

- Siostro!

-zawołał Marek.

- Siostro Beatrycze!

- Nie wiem.

Czy wejdzie - mruknął zakonnik.

- Od kilku dni jakoś dziwnie się zachowuje.

- Może by co zjadła- Siostro!

- doktorwychylił się przez oknoProszę do nas!

Wprawdzie kończymy obiad, ale jeszczeiść coś znajdzie.

O ile nieprzybyło kilku nowych krewnych Kowu - dodał ciszejz pobłażliwym naciskiem.

Siostra Beatrycze weszła do pokoju cichutko, jejbose stopy miękko stapały po podłodze.

Przed południem - w szkole - widziała jąGaby w zakonnym habicie, którego biel ostro odbijała od jej ciemnej skóry.

Teraz- na wyprawę dookolicznych wiosek- owinęła sięzwyczajem tutejszych dziewcząt kawałkiem kolorowego perkaluzawiązanego powyżej piersi na wcale dekoracyjny węzeł.

Kiedy szła,lekki materiał rozchyłał się nieco, ukazując strzeliste murzyńskie nogi, które w Paryżu i Nowym Jorku były zawsze największym atutemciemnoskórych modelek.

- Dziękuję - powiedziała powściągliwie.

Już jadłam.

Niejestem głodna.

Podprowadziłam wóz, proszę ojca.

Możemy jechać.

- Widzę, że umiejętności siostry są niezwykle różnorodne - odezwała się Gaby.

Czarna dziewczyna zwróciła ku niej powoli swoją małą głowę, niezwykle pięknie osadzoną na długiej, smukłej szyi.

- Jeśli pozostanie tu panidłużej.

- mówiła cicho bardzo staranną francuszczyzną - jeśli pozostanie tu pani dłużej, przekona się pani, że każda umiejętność jest tu bardzo cenna.

Ip przydaje się ludziom,

- W to niewątpię.

I...

szczerze siostrę podziwiam.

- Dziękuję - powiedziała bez cienia uśmiechu.

- Niech siostra usiądzie doktor podsunął jej krzesło.

Potrząsnęła głową i przez chwilę patrzyła z jakąś bolesną kobiecą uwagą na jasną twarz mężczyzny, który niespodziewanie zjawił się tu któregoś dnia.

- Myślę, że musimy jechać - powiedziała stanowczo.

- I jeśli ojciec jest gotów.

- Jestem już gotów - zakonnik ociężale dźwignął się z krzesła.

- Chociaż przyznaję, że po tym cudownym obiedzie - trochę senny.

- Ja poprowadzę jeepa.

- W siostrze jedyna moja nadzieja.

- Szczęśliwej drogi!

- powiedziała Gaby.

Czarna dziewczyna jeszcze raz - już od progu - zwróciła ku niej głowę.

- Dziękuję.

Gdy umilkł odgłos oddalającego się jeepa, Gaby długo patrzyła za obłokiem kurzu, który wzniecała na drodze.

- Ładna tawaszka siostra Beatrycze - powiedziała po chwili.

- Jakna Murzynkę oczywiście.

- Tu na północy Togo na ogół wszyscy są przystojni.

- Zauważyłam.

Jak ona owija ten kawałek perkalu wokół siebie, że trzyma jej się to na piersiach.

Będę musiała spróbować.

- Spróbuj, kochanie - uśmiechnął się doktor.

- Jeśli cię to bawi.

- Czy.

mimo że ojciec Cyryl wyjechał, będę mogła jeszcze trochę tu zostać?

- "Nie bądź złośliwa!

- Nie jestem.

Tak usilnie się starasz, żeby się nie domyślił, co jest między nami.

- Żeby nie musiał okazać, że się domyśla.

Bądź co bądź, duchowny.

- Bądź co bądź, chcę, żebyś mnie pocałował - szepnęła.

Przysunął jej krzesło do swego, ale zerknął niespokojnie na drzwi, lada moment mogła wejść kucharka, żeby sprzątnąć naczynia ze stołu.

- Czy uważasz, że trzeba do tego zachęty?

- Bo może nie tylko oko duchownego, ale nawet myśl o nim, oddalają od ciebie wszelką pokusę.

- Nie oddalają.

nie oddalają.

- zamruczał z twarzą w jej włosach długich i splątanych na karku.

- Czy jesteś pewny, że nikomu tu nie wejdzie?

- Niestety, tego nie jestem pewny.

- A..

nie możemy po prostu.

zamknąć drzwi?

- Myślę, że.

nie powinniśmy.

Co by pomyśleli, gdyby jednak zechcieli tu wejść?

Naprzykład Kowu.

- Do diabła!

Co mnie obchodzi.

?

- Ale nie zamknęłabyś drzwi przed domownikami w swoim nowojorskim mieszkaniu, gdybym przyszedł do ciebie i gdybyśmy chcieli być sami.

- Nie jesteśmy w moim nowojorskim mieszkaniu.

- Jednak tu itam są ludzie.

Odsunęła się.

- Czy nie zauważyłaś, że wciąż mnie strofujesz?

Od kiedy przyjechałam tutaj.

od kiedy przyjechałam tu z tobą.

Doktor przyciągnął ją powrotem do siebie, objął mocno, ale tęścisk wyrażał bardziej niż pragnienie, potrzebę zaufania i przyjaźni.

- Bo jesteśmy tu przybyszami - zaczął cicho.

- Ja z większym stażem niż ty.

Idlatego chcę, żebyś zrozumiała szybciej ode mnie, że przybyszami w każdym kraju winno zjawiać się dobro.

Ponieważ w historii mego kraju jest wpisane towarzyszące zawsze przybyszom - zło.

I lekceważenie, i pogarda.

- Czy.

doszedłaś do tych refleksji w.

Wietnamie?

- Tam także.

- Nie mówmy już o tym, bardzo proszę.

- Toty zaczęłaś.

- Ja zaczęłam coś zupełnie innego.

- Kochanie - usiłował zażartować - pragnę tylko, żebyś była jeszcze bardziej godnością.

- To brzmi wykrętnie.

Jacy mili są amerykańscy chłopcy! Choćby nawet mieli kłamać, zawsze mówią dziewczynom to, co one chcą usłyszeć.

Zdaje się, że naprawdę ktoś puka.

- Rzeczywiście puka!

- proszę!
To ty, Abe?

- Ja!

- chłopak wsunął

głowę przez uchylone drzwi.

- Co się stało?

-Doktor mówić, że po południu będzie w szpitaliku.

- Dobrze - Marek jednak z trudem hamował irytację.

- Zarazidę.

Gaby parsknęła śmiechemi zerwała się pierwsza.

- Już idziemy, mój drogi.

I dziękuję ci, że przypomniałeś o tym doktorowi.

A ja chętnie obejrzę szpital, jeszcze w nim nie byłam.

Szpitalik był długim parterowym budynkiem o kilku salach, w których leżeli chorzy otoczeni przez krewnych, i niezbędnych pomieszczeniach takich, jak salka operacyjna, pokój przyjęć i łazienka, gdzie właśnie na ogromnym palenisku w blaszanych kotłach dwie dziewczyny przegotowywały wodę.

- Abe!

- zawołały od razu - przynieś drzewa!

- Przynieś drzewa!

- powtórzył doktor, bo chłopak nie ruszył się bez jego rozkazu.

- Dopiero co przyniosłem!

- Abe spoode łba patrzył na dziewczyny.

- Przynieś drzewa' - cierpliwie, ale i stanowczo powiedział jeszcze raz doktor.

Z dumą oprowadzał Gaby po swoim skromnym gospodarstwie.

-Nic tu nie było!

- powtarzał.

-Zupełnie nic!

Ludziemarli jak muchy.

Przy tutejszych warunkach sanitarnych groźne są nawet całkiem błaheska leczenia.

- Mają swoją medycynę ludową.

-Nie myślisz chyba poważnie.

- A jednak na całym świecie zaznacza się zwrot ku lecznictwu ziołami i praktykom, które z oficjalną medycyną nie mają nic wspólnego.

Bioprądy i akupunktura.

- Na szczęście do chirurgii i te praktyki nie mają dostępu - doktor otworzył przed Gaby kolejne drzwi.

Tu leżą chorzy po operacjach i lżejszych zabiegach.

Pomożesz mi zmienić opatrunki.

- Ja?

- Gaby zatrzymała się przy drzwiach.

-A..

kto robił to przedtem, zanim tu przyjechałam?

- Abe albo siostra Beatrycze.

- Doktor zatrzymał się przy pierwszym chorym z obandażowaną nogą.

Nakazawszy obiegającym krewnym, żeby się wynieśli, zamienił nimi kilkanaście rozumiały chłdla Gaby słów i przywołał ją do łóżka.

- Pytałaś w tej wiosce tuż za Lome, przez którą tu jechaliśmy, co robił człowiek siedzący przed chatą.

Pamiętasz?

-Pamiętam.
Manipulował patykiem przy nodze,
- Nawijał na patyk robaka, który wydostawał się na zewnątrz żyły.
To najczęstsza - poza ślepotą rzeczną z tutejszych przypadłości.
Robaki te atakują ludzi w wodzie, dostają się pod skórę i zaczynają swoją wegetację w organizmie człowieka.
Tu masz ten przypadek zoperowany.
Odwiń bandaż.
Co ci jest?
- Nie, nic.
- szepnęła, czubkami palców jak najostrożniej dotykając zakrwawionego bandaża.
-Żałuję, że nie studiowałam medycyny.
- Studia do zmiany opatrunków nie są potrzebne- mruknął, ale podniósłszy na chwilę głowę, przestraszył się bladości jej twarzy.
-Gaby!
Zostaw to - usiądź albo wyjdź na powietrze!
- To tylko chwila Gaby opanowała moment słabości, Nigdy.
nigdy nie mogłam znieść widoku ran.
W dodatku ta czarna skóra i czerwone mięso.
- Mięśnie!
- poprawił doktor.
-Mięśnie.
oczywiście, przepraszam.
I Jest tak gorąco
- Wyjdź stąd!
Tu naprawdę nie pachnie.
Abe!
- krzyknął do chłopaka, który pojawił się w drzwiach.
-Przytrzymaj ten bandaż.
Abe z wprawą i ochotą wykonał polecenie.
- Tak dobrze?
-Dobrze.
Podaj nożyczki, i butelkę z tym płynem.
- Proszę!
Nożyczki i butelka!
- Gaby uprzedziła chłopaka.
Uśmiechnęła się mężnie.
- Już naprawdęmi.
przechodzi.
Abe!
Nie jesteś już tu potrzebny.
Abe skierował na doktora swoje błyszczące spojrzenie.
- Doktor też tak mówić?
-Nie jesteś już tu potrzebny!
-powtórzyła ostrzej.
- Abe, powiedz rodzicom chorych dzieci - doktor odezwał się pojednawczo żeby się wynieśli przed szpital.
Nie mogę zbliżyć się do łóżek, kiedy leżą pokotemna podłozie.
- Abe powiedz im, ale oni nie posłuchają - ociągał się chłopak.
-Posłuchać, posłuchać!

- mimo woli przejmując jego gramatykę, zapewnił doktor.

- Po co się ich w ogóle tu wpuszcza?

- zapytała Gaby, gdy Abewreszcie wyszedł.

- Próbowałem z tym walczyć, ale się poddałem, i nie dlatego, żebym wątpił
wskuteczność wydawanych tu zakazów.

-A dlaczego?

- Może to nasza cywilizacja postępuje nieślusnie, oddalając matki od ich chorych
dzieci?

-Dlaczego nie powiesz po prostu, że one dają im jeść?

- To także.

Szpital niezabezpieczawyżywienia-Ale ten pierwszy powód - doktor zamyślił się przez chwilę

-jest naprawdę piękny.

-.

W głębi budynku zawrzały podniesione głosy.

To, zdaje się, Abepoczyna sobie bardzo energicznie.

-Kazałeś mu.

- Ale chyba zbyt gorliwie przejął się moim rozkazem.

Myszę, że

jest trochę do mnie przywiązany.

- Potrafiszto.

ocenić?

- zapytała cicho.

- Dlaczego miałbym tego nie ocenić?

Weź tacę z lekarstwami i chodźmy na salę dziecięcą.

Wrzawa przeniosła się teraz na zewnątrz.

Abe wypchnął na dwórostatnichopornych i zatrzasnął drzwi.

Gaby zatrzymała się na korytarzu przy oknie.

- Strasznie się awanturują te czarne baby przed szpitalem.

Bałabym się, gdybym miał z nimi zostać.

- Nie zwracajna nie uwagi.

W rzeczywistości nie są groźne--Cieszę się, że dziś załatwię naj koniecznie) sze sprawy w szpitalu.

Jutro z samego rana muszę jechać do bardzo odległych osad.

Poradyszczowasię skończyła, a jednak zaczęły się tam Jakieśepidemie

wśród dzieci.

- Epidemie wśród dzieci są również gdzie indziej.

Na przykładostatnio w Neapolu.

Dlaczego tam nie jedziesz?

- Bo tam są inni lekarze.

A do tych wiosok murzyńskich mogę dotrzeć tytko ja.

-Niejedztam! -poprosiła.

- Kochanie, muszę!

- Nie patrzył na nią, nie chciał widzieć strachu w jej oczach.

Był potwierdzeniem, że miał rację, miał rację, kiedy nie chciał jej tu zabrać, i wyrzutem, że nie powinien był ustąpić -Abe zostanie w szpitalu - dodał.

- Gdyby coś zaszło, zawoła cię.

-Mnie?

- Tak.

Sądziłem, że zechcesz się wciągnąć w sprawy szpitala.

- Czy.

jedziesz z siostrą Beatrycze?

- Nie - odpowiedział po chwili wahania.

- Z ojcem Cyrylem.

Podczas nieobecności doktora Gaby usiłowała sobie jakoś zapełnić wolny -przeraźliwie pusty -czas.

Rano dwie, trzy godzinyspędziław szkole, do szpitala nie wstąpiła, wołała zająć kuchnięiprzyuczać Kowu doprzyrządzania europejskich potraw, czemu zresztą czarna kucharka słusznie się opierała.

Do europejskich potraw trzeba byłomieć europejskie produkty, a tych nikt nigdy nie widziałw Bassar, ani nawet w Łonie.

Conajwyżej można było po europejskusmażyć, albo piec mięso, wyrzekając się afrykańskich przypraw, których biała madame nie znosiła, ale doktor się nawet o nie upominał.

Pogadanka z Kowu nie nawiele się więc przydawała, choć Gaby opowiadała jej, na jakie wyżyny gastronomicznego kunsztu potrafiły się wznieść murzyńskie kucharki w domu jej dziadka.

Wszystkie opowieści kończyły się nieodmiennym pytaniem, skąd wziąć to, czytając, aby potrawa była taka, jak w Stanach Zjednoczonych.

Zniechęcona Gaby zjadła więc zupełnie byle jaki pod nieobecność doktora obiad i wyniosła się do swego ascetycznego pokoiku w budynku misji.

Żałowała, że nie zabrała z Paryża żadnych książek, za szybko zdecydowała się na ten wyjazd, żeby o to zadbać.

Doktor miał same książki medyczne - może powinna była się z nimi zapoznać, skorzystał wciągnąć ją do pomocy w szpitalu, ale temu właśnie miał zamiar się oprzeć - ojciec Cyryl natomiast dysponował lekturnami wyłącznie religijnymi, a te także zbyt jej nie interesowały. Poszła jednak do jego pokoju i znalazła w skromnej bibliotece pozycję, która wydała jej się zajmująca; "Rodzina chrześcijańska", a w niej rozdział poświęcony jej.

regulowaniu poprzez przestrzeganie w pożyciu małżeńskim dozwolonego przez Kościół kalendarzyka.

Hm..

pomyślała nie bez złośliwości, to była zapewne dziedzina, w której nauk udzielała czarnym kobietom siostra Beatrycze.

Przypomniały jej się opowiadania ojca Cyryla o szczególnych obyczajach tubylców, którzy gościnnością wobec misjonarzy okazywali między innymi. udostępnianiem im swoich najlepszych żon.

Odmowa była obrazą wobec gospodarza.

Ojciec Cyryl pomijał milczeniem w swoich opowiadaniach, w jaki sposób te ją obrażony.

Siostra Beatrycze mogła mieć więc także różne przygody podczas swoich podróży, w dodatku była Murzynką i.

Gaby, ze względu naupał leżąca zupełnie nago na żelaznym łóżku, uniosła w górę nogi, żeby sprawdzić, czy są równie smukłe i strzeliste, jak nogi siostry.

Dodiabła!

pomyślała, wściekła na siebie.

Chyba nie jestem zazdrosna o tę czarną dziewczuchę?

Zerwała się i usiadła na łóżku upokorzona tą myślą, przerażona swoją obecnością w tym dzikim miejscu świata, skąd tak daleko było do jej dawnego życia, do wszystkiego, co dotąd czyniło ją szczęśliwą.

Zatęskniła przejmująco do domu, do dziadka i ciotki, do Nowego Jorku, który nieraz wydawał jej się tak męczący.

Cztery stąpieć dziesięć kilometrów do Lome, i dwieście do Akry, a potem samolot do Paryża, stamtąd do Nowego Jorku i - własny pokój, własne łóżko, łazienka, potrawy, które Jadała od dzieciństwa.

Świat, do którego przywykła, który jej się należał, tak.

Jak innym - O, Boże!

przecież nie z jej winy!

- należał się głód, brud i ubóstwo.

Strzepnęła z prześcieradła jakiegoś owada, który dostał się do pokoju mimo moskitiery, zawieszanej w oknie.

Wydało jej się, że wkąci pod podłogą coś zachrobotało, coś przesunęło się po dachu.

Cotu robiła?

Dlaczego tu siedziała na brzegu twardego, żelaznego łóżka?

Czy nie za wysoką cenę płaciła za to, że jakiś obcy-przeraźliwie obcy mężczyzna, wracając z objętych epidemią osad murzyńskich, właśnie w tym miejscu świata wracał także do niej?

Ale czy można było bez niego przeżyć szczęśliwie choćby jeden dzień?

Biedna Gaby!

rozczuliła się nad sobą.

Biedna, bardzo biedna Gaby!

Jakieś spieszne kroki zadudniły w korytarzu.

- Biała madame!

- wrzasnął Abe pod zamkniętymi drzwiami.

- Madame Gaby!

Szybko narzuciła na siebie szlafrok, otworzyła drzwi.

- Co się stało?

Chłopak dyszał z pośpiechui podniecenia.

- Białamadamie!

Czarownik!

Czarownik iść do szpitala!

Potrząsnęła goza ramiona.

- Co ty wygadujesz?

Znowu pewnie żułeś kole?

Ile razy doktor cimoził, że piwo z sorga i koła.

- Abe do pyska nie wziąć koła.

Czarownik naprawdę iść do szpitala!

Cała rodzina go sprowadzić.

Cała rodzina małej Buwu.

Doktor przywieźć małą Buwu, zabrać z wioski przywieźć do szpitala.

- Przestań tyle gadać!

Ta mała jest po operacji, Widziałam ją wczoraj.

Jeśli ruszają teraz.

Potrafisz porozumieć się z czarownikiem?

- Abe potrafić.

Czarownik także mówić bassar.

- Chodźmy!

- zdecydowała Gaby.

- Boże!

szepnęła.

- Dlaczego oś takiego się dzieje, kiedy doktora nie ma.

- Oni widzieć, że doktor jechać.

Sprzed domu misji widać było tłum kobiet, kłębiący się przed szpitalem.

- A czego chcą te kobiety?

- One chcą czarownika do swoich dzieci.

- One także?

- One wszystkie wołać: czarownik leczyć prędeż!

Czarownik leczyć zaraz!

Ojciec Cyryl mówić: cud.

I że cud byćbardzo rzadko.

Czarownikcud bardzoczęsto.

Czarownik cud - zawsze.

- Przestańgadać,bo cię uderzę!

- Gaby przyspieszyła kroku, alemusiła się zatrzymaćprzed zwartą ścianą tłumu, który nierozstałsię na jejwidok.

-Abe!

Przepychaj się przodem!

- zawołała.

-Prę

dzej!

Ja ci dam cud!

Cud iczarownika!

Warto tu dla was siedzieć.

Życie marnować wśród waszychrobaków i biegunek.

Rozpędź tebaby!

Musimy się przepchać do drzwi i zaryglować je przed nimi!

- One chceć zabrać dzieci!

Czarownik zaraz przyjąć i uleczyć.

- I okna musimy zaryglować' - gorączkowała sięGaby.

- Oknatakże!

Och, gdybym tylko miała coś do strzelania!

- Mamnadzieję, że - na postrach?

przed tłum wysunęła się siostra Beatrycze.

- A, siostra jest tutajże!

-Pomogę pani- powiedziała czarnazakonnica spokojnie.

- Dam sobie radę.

-Nie jestemtego pewna- Niech pani nie usiłuje walczyć z czarownikiem.

-Jeśli nie odejdzie stąd-wezwę policję.

- Togijskapolicja nie ruszy czarownika.

-Wasz burmistrz kształcił się na Sorbonie, a policja nie ruszy czarownika?

- Burmistrz także go nie ruszy.

O wiele rozsądniej wytłumaczyćczarownikowi,że siły doktora współdziałająjego siłami.

- Nie będę się wdawać w żadne pertraktacje z czarownikiem.

-I tak niezna pani języka.

Ja tozrobię.

- Zabraniam siostrze!

Jeśli doktor się dowie.

- Dla niego -Murzynka patrzyła na Gaby z wyższością, wiedziała,co myśli doktor, spędziła z nim o wiele więcej czasu niż biała dziewczyna, która zjawiała się tu nie wiadomokąd - dla niego ważne jestprzede wszystkim to, żeby dzieci pozostały w swoich łózkach.

MałaBuwu jest po operacji ślepejkiszki.

- Nie pozwolę jejtknąć- Ale może się to pani nie udać.

Ryzyko jest za duże- Jeśli wytłumaczy się czarownikowi, że siły doktorawspierająjego siły.

Gaby zbliżyła się do zakonnicy.

Siostra samaw towierzy!

- powiedziałaże zgrozą.

Beatrycze patrzyła gdzieś wysoko ponad jej głową.

- Czy byłoby w tym coś dziwnego?

-Och,Abe!

- krzyknęła Gaby.

-Rygluj drzwi!

Zamykajokna!

i przynajmniej ty.

przynajmniej ty bądźże mną!

Wśród wrzasków i przekleństw, których Gaby na szczęście nierozumiała, udało im się wypchnąć kobiety ze szpitala.

Siostra Beatrycz stała obok nieruchomo.

Abe zawahał się, nie wiedział, czy ma i przednią zamknąć drzwi.

- Tak - krzyknęła Gaby.

- Tak!

Chłopak patrzył na nianie nie rozumiejąc.

A potem zapytał cicho:

- Dlaczego białamadame.

dlaczego madame Gaby płacze?

- Ani słowa o tym!

- przyciągnęła go dosiebie.

-Ani słowa o tym-nikom!

Mimo trudnychwarunków jazdy, każda podróż z ojcem Cyrylembyla odpoczynkiem. Śpiewał - i to bynajmniej nie pieśni kościelne -gwizdał, opowiadał przeróżne dykteryjki, a przede wszystkim możnabyło z nim rozmawiać, co stanowiło dla Marka nie tak znów częstąw afrykańskich warunkach przyjemność.

Kiedy zjawiła się tu Gaby,sytuacja oczywiście się zmieniła, ale ojciec Cyrylnie przestałbyć miłymi zawsze pożądanym towarzyszem.

Był nim na swój sposób stary jeep, który zakonnik traktował jak żywe stworzenie.

- Miejmynadzieję, że mójdychawiczny konik - uśmiechnął się,gdy coś stuknęło w motorze - dowiezie nas na miejsce.

-Iz powrotem!

- Iz powrotem oczywiście.

Jutro będę musiał sprawdzić, co totakstuka.

Pomoże mi pan?

- Z chęcią.

Ale nie znam się na tym.

- Jasię znam.

Co byłby ze mnieza misjonarz, gdybym nie umiałnaprawić samochodu?

- Chrystus odbywał swoje wędrówki pieszo - zauważył doktorzartobliwie.

-Ale na jak małym poruszał się obszarze!

Obdarzył nas wiarą,a my musimy jąprzenieść na całyświat.

- Tak to jestz wszystkimi ideami.

-Z wszystkimi ideami?

-zerknął ku doktorowi zakonnik.

- Motywacje działania są tak złożone i z tak różnych rodzą się inspiracji.

-Ale jest chyba jakaśróżnicamiędzy wiarą.

programem?

- Oczywiście.

Programy sprawdzają się albo kompromitują dośćszybko.

- Nie chce chyba doktor,żebymgo wysadził gdzieś tutaj międzyścianami buszu?

-Nie boję się - roześmiał się Marek - bowiem, że ojciec pragnietak samo, jak ja, żebyśmy jak najprędzejdotarli do chorych.

Objazd osad, objętych epidemią, przeciągnął się do nocy.

Wracalipod gwiazdzistym niebembardzo zmęczeni,aleteż jakby prawieszczęśliwi, żebyli wszędzie tam, gdzie być powinni, co u belgijskiegoksiędza wynikało z jegoreligijnych obowiązków, a u Polaka

150

z prostego faktu, że dlajakichś tam względów, do których nierazwracał bolesnąmyślą, postanowił byćprawdziwymlekarzem,ponieważ, jak sądził, niebyło ich zbyt wielu na świecie.

Wzdłuż i wpoprzekdrogi przemykały jakieś zwierzęta, w zaroślach odzywały się znane i nie znane odgłosy - rzeźwiący chłód nocy ożywiał busz, przycichły inieruchomy za dnia.

Ojciec Cyryl, wyprostowany swoim zwyczajem za kierownicą, mężnie walczył sennością. Zbyt był obeznany z podróżami przez rozgadany swoim migłomami nocny busz, żeby otrzeźwiałgo strach czy wzmożona czujność.

Trzymał wprawdzie przy nodze gotowy do strzału sztucer, ale Marek nigdy nie był świadkiem sytuacji, w której zakonnik uznałby za słuszne go użyć.

Jedynym sposobem na odpędzenie senności był rozmowa, niezbyt ożywiona do momentu, dopóki ojciec Cyryl nie podjął ulubionego tematu - wciąż uważał, że powinien zaznajamiać doktora ze swoim doświadczeniami we współżyciu z miejscową ludnością, żył i pracował w Bassar od sześciu lat.

- Trudno im na przykład pojąć upływ czasu, nie rozumieją historii.

Uczestniczyłem w Lome w projekcji filmu o miejscach, w których żył i działał Chrystus. Nawet do studentów tonie docierało.

- Widzi więc ojciec, jakie znaczenie ma tu wszelka doraźność - mruknął doktor.

- Ale jest ona tylko środkiem.

- Dla mnie jest celem.

Nie liczę na nic, uwalniając ludzi od cierⁿⁱ pienia.

- Doktor myśli, że my robimy wszystko w nadziei na zapłatę w niebie?

^ - Nie ja to powiedziałem - zauważył Marek wesoło.

- Nie potrzebujemy w ogóle tej motywacji.

Dobroć w ogóle nie

I potrzebuje żadnej motywacji, może nawet przestaje przy niej być dobrocią.

" - Powtarzam: nie ja to powiedziałem.

- Ale doktor mnie prowokuje - ojca Cyryla zupełnie opuściła senność.

- Obowiązek wobec Boga dyktuje obowiązki wobec ludzi.

I tu

spotykam się z doktorem na ziemi, na spalonej słońcem afrykańskiej ziemi, gdzie miejsce na wszelką doraźność w uwalnianiu ludzi odgiera cierpień.

^ - Wobec tego - a propos!

- Marek także się ożywił.

- Nie ma ojca.

ciec jakiejś sprawy do Lome?

Kończą mi się lekarstwa.

Zwłaszcza tejlna ślepotę rzeczną.

Gdyby nie było ich w Lome, trzeba by się wybrać aż do Akry, Szpital nie może zostać bez tych lekarstw.

151.

- To chyba sprawa dostatecznie ważna.

-Dziękuję ojcu.

- Mogłaby pojechać z nami madame Gaby.

- Źle znosi jazdę jeepem.

- Ale pomoże jej w pokonaniu tych trudów nadzieja na zakupy w Lome.

Mówiła, że ma kilka sprawunków.

- Nic mi niewspominała.

Ojciec Cyryl chrząknął z zakłopotania, milczał przez chwilę udając, że prowadzenie wozu wymaga akurat wzmożonej uwagi.

- Może.

nie zwierz się panu tak, jak mnie?

- A ojcu się zwierza?

- Doktora ogarniało coraz większe zdumienie.

- Z kimś przecież musi szczerze porozmawiać.

Pan przeważnie zajęty, albo.

- Albo co.

...zbyt usilnie dba o to, żeby uświadomić jej wszelkie negatywy afrykańskiego życia.

- Chyba ojciec rozumie, dlaczego to robię?

Ojciec Cyryl znów zamilkł na długo.

- Rozumiem, mój chłopcze - powiedział wreszcie.

- Ale myślę, że twoje usiłowania nie na wiele się zdadzą.

Mimo późnej pory w dwóch oknach "doktorówki" świeciło się światło.

W kuchni kucharka Kowu przygrzewała wciąż kolację, w jadalni Gaby drzemała przy nakrytym stole, daremnie broniąc się przed sennością.

Kiedy usłyszała odgłos zbliżającego się jeepa, zerwała się, podbiegła do drzwi, ale zaraz zawróciła i znowu usiadła przy stole.

Wiedziała, że Marek, gdy wracał z murzyńskich osad, nie pozwalał jej zbliżyć się do siebie, zanim się nie wymył i nie przebrał.

Chciała mu opowiedzieć o tym, co działo się w szpitaliku podczas jego nieobecności, a raczej - do czego nie doszło, do czego nie dopuściła.

Żałowała, że ojciec Cyryl odjechał zaraz przed "doktorówką", on byna pewno ją pochwalił.

Jednak odgłosy dochodzące z głębi domu, pobrząkiwanie wiader, w których Kowu nosiła wodę do pokoju, nazywanego tu łazienką, strzępy rozmowy między doktorem a kucharką - wszystko to na powrót zaczęło ją usypiać i kiedy doktor wszedł wreszcie do pokoju, wydarzenia dnia wydały jej się tak odległe i tak błahy, że nie miała w ogóle ochoty ich już opowiedzieć.

- Gaby!

- zawołał Marek z wyrzutem.

- Dlaczego na mnie czekałaś?

- Nie wiem - powiedziała całkiem szczerze.

- I naprawdę strasznie chce mi się spać.

Będziesz musiał odprowadzić mnie do domu.

Doktor cierpliwie odczekał, aż Kowu, która przyniosła jej przestanie się krzątać przy stole i zamknie za sobą drzwi - wtedy powiedział cicho:

- Nigdzie już stąd nie pójdziesz.

Niech się dzieje, co chce. Cyryl i tak wszystkiego się domyśla.

I wie o nas o wiele więcej - niż my sami.

Ojciec Cyryl w ogóle bardzo wiele wiedział o ludziach. Wiążąc ich sakramentem małżeńskim Gaby Petersen z Nowego Jorku z doktorem Markiem Laskowskim z Warszawy -

uśmiechał się przez cały czas. W małym kościółku w Bassar pachniały jakieś kwiaty i zioła. Przyniesione przez Abego z sawanny.

Ich woń, tak obca dla Gaby, wносиła do kościoła coś nierzeczywistego.

Wbrew europejskim zwyczajom

w bieli wystąpił pan młody, ona miała na sobie żółtą sukienkę, w której po raz pierwszy Marek zobaczył ją w Paryżu.

Kowu i dziewczyny ze szpitala płakały głośno, dopiero później dowiedzieli się, że według afrykańskich zwyczajów płacz towarzyszył zawsze obrzędowi zaślubin.

Dźwiękom fisharmonii z magnetofonu do poya i bębni dzwonki sprzed kościoła - miejscowa jedność na swój sposób świętowała zaślubiny swego doktora.

- ...

ślubuję ci miłość, wierność i posłuszeństwo - itio za cym Cyrylem Marek.

- ...

ślubuję ci miłość, wierność i posłuszeństwo - wtórzyła także Gaby.

Abe wyskoczył przed kościół wrzaskiem, zagłuszającym dzwonki:

- Biała madame jest teraz madame doktor!

Madame doktor! Marek wyprowadził żonę w blask afrykańskiego słońca, pocałował ją, a cały tłum przed kościołem wydał radosny okrzyk.

- Gaby!

Bardzo pragnę.

z całej duszy pragnę, żebyś nigdy nie żałowała.

- Myśl tylko o tym - szepnęła - że jestem i będę zaiys bardzo szczęśliwa.

- Moi kochani!

- zawołał ojciec Cyryl, który także za chwilę wyszedł z kościoła.

- Życzę wam tego z całego serca - Kołtro Beatrycze!

Złóżcie życzenia nowożeńcom.

- Siostra Beatrycze iść do szkoły!

- poinformował Abe.

-Zarazprędko, bardzo prędko iść do szkoły?

- Przecież niema już żadnychzając -zdumiał się ojciec Cyryl.

- jest zaproszona na weselny obiad dodałdoktor.

-Abe!

Biegnij po siostrę Beatrycze.

Abe zawahałsię.

- Ale Kowu ma już wkuchni dziesięć krewnych!

-Dzisiaj możemyćnawet stu!

-Nie!

Janie chcę!

- Abe!

Wystarczy i dla ciebie.

Wśród śmiechu, gwaru, odgłosów bębnow i dzwonek cały orszak ruszył do odświętnie przybranej "doktorówki".

- Och!

-- szepnęła Gaby - dlaczego dziadek.

dziadek i ciociaGloria nie są tutaj z nami?

Dlaczego nie widzą mego afrykańskiego wesela.

- Właściwie.

- zmieszał się Marek - mogliśmy wysłać telegram.

Czy sądzisz, żechcieliby przyjechać?

- Dziadek napewno.

-A ciotka?

- No.

ostatnio raczej niechętnie rusza się zdomu.

A poza tym.

- Poza tym?

- spytał, bo Gaby umilkła.

- Poza tymchyba mam nadzieję, że tegoroku twój urlop spędzimy w Stanach.

- Wspięła się na palce, pocałowała go w policzek.

-Typodarowałaś mi Afrykę, a ja damci w prezencie Nowy Jork.

Taki sam tłum zebrał się przed "doktorówką" kilkamiesiący później.

Przed wejściem stałjeopjca Cyryla, a on sam wynosił z domui upychał w wozie liczne bagaże.

Abe kręcił sięwciąż koło samochodu,upatrującmomentu,w którymmogłby nacisnąć klakson.

- Abe!

Przestań trąbić!

- zdenerwował się wkońcumisjonarz.

-Przynieś lepiej z pokoju tę żółtą walizkę!

- Abe też jechać doLome!

- poprosił i zapytał zarazemchłopak.

Usłyszał todoktor, stanąwszy właśnie w progu.

-Nie zmieścisz się.

Widzisz, ile bagaży.

Abe spuścił głowę, swoim zwyczajem pocierał stopą chudą łydkę.

- Abe widzi.

Ale Abe całkiem mały.

- Nie taki znów mały - doktor potargał go za włosy.
- Pamiętajo wszystkim, co mówiłem - dodał serdeczniej.
-Bądź rozsądny, nieprzesiaduj nadrzeką.
Pomagaj siostrze Beatrycze.
Będzie miała dużopracy.
Czy.
zeszłego roku objął spojrzeniem gromadę Murzynek,
które płacząc ijęczącstały opodal- kiedy wyjeżdżałem na urlop, tekobiety.
też tak zawodziły?
- Nie powiedział Abe od razu.
-Dlaczego wiec teraz?
Abe podniósł głowę i patrzył swoimi błyszczącymi źrenicami prosto w oczy doktora.
- Abe mówić prawdę?
-Zawsze Abemówić prawdę.
Masz zawsze mówić prawdę!
- Zeszły rokdoktorjechać sami one wiedzieć, że wróci.
-Idźże wreszcie po tę żółtą walizkę!
- krzyknął ojciecCyryl.
-Mnie samego - zwrócił siędo doktora - te babska zaczynają denerwować.
Terazzawodzą, a z bylepowoduchciałyby od razu sprowadzać czarownika,
- Jakoś do tejporynie wchodziliśmy sobie w drogę - uśmiechnąsię doktor.
Misjonarz ten temat wolał pominąć milczeniem.
- Czy madame Gaby gotowa?
- zapytał.
-Dobrze by było wyjechać, zanim zacznie się upał.
- Gaby zaraz wyjdzie - zapewnił doktor.
- O, siostra Beatrycze!
-zawołał na widok spieszenie nadchodzącej zakonnicy - przecież pożegnaliśmy się już
wczoraj, po co siostra wstawiała tak wcześnie?
- Chciałam jszczedziś.
- szepnęła czarna dziewczyna w śnieżnobiałym habicie; od pewnego czasu nienosiła już
swoichafrykańskich strojów.
Patrzyła wtwarz doktora z rozpaczą, na którąsobie tenjeden jedyny raz pozwoliła.
- Chciałam Jeszcze panazobaczyć.
-Odwróciłagwałtownie głowę i dodałainnym tonem.
- Czy możnazresztą spać przytych jękach?
- Głowę daję - wtrącił się ojciecCyryl, nie zaprzestając upychaniabagaży we
wszystkiekąty niezbyt pojemnego jeepa -że skończą sięzaraz, gdy tylko odjedziemy.
Jest to jednaz form teatralnych.
- Niech ojciec da spokój - powiedział doktor z łagodnym żalem.
Wprogu ukazałasięGaby zupełnie gotowado drogi.
Ani ojciecCyryl, aniawet Marek nie widzieli jej jeszcze nigdy tak promiennej.
- Zdaje się, że wreszcie zabrałam wszystko - zawołała.
- Abe!
Nie ciągnij walizki po ziemi!
- Daj tutaj, w tył wozu - skinął na chłopakamisjonarz.
Gaby podeszła do siostry Beatrycze,wyciągnęła do niej rękę.
- Dowidzenia!
-Szczęśliwej drogi!
- powiedziała czarna dziewczyna, wyprostowała się, uniosła wysoko swojąmałą głowę.

- Do widzenia, sestro!
- Marek także uściskał jej rękę.
- Niech doktor wraca!
- powiedziały sobie.
- Niech doktor prędkawracapoprawiła się zaraz.
Kiedy oddalającego się jeepa zasłonił gęsty obłok kurzu, a Abezaczął płakać, objęła chłopaka i przycisnęła go do siebie.
- I pojechali!
- powiedziała.
Przed odlotem do Nowego Jorku było jeszcze pięć prawdziwieświątecznych dni wParyżu.
Marek chciałzamieszkaćw pensjonacie, w którym zatrzymał się przed rokiem, i Gaby - niespodziewanie sięna to zgodziła.
Stary recepcjonista poznał ją od razu.
- Och, pamiętam!
Wynajęła pani pokój na tydzień.
-Ale się nie zjawiłam -roześmiała się.
-To już nieważne.
Marek nic nie rozumiał.
- Przecież wiesz, że zawarłam z panem znajomość poza twoimiplecami.
Właściwiewięc pan nas wyswatał.
Teraz recepcjonista nie mógł nic zrozumieć.
- Ja?
Madame!
- Pan!
Pan!
- śmiała się.
-Wieczorem wypijemy razem szampana.
I rzeczywiście zjawiła sięwieczorem w recepcji z butelką szampana.
-Bo to pan mi przecieżpowiedział, że doktor lecido Togowa Afryce - wyjaśniła wciążzdumionemu recepcjoniście.
- Udałam się tam razem z nim i - niech pan sobie wyobrazi - wydałam się tamza niego,
Starszy pan popijał szampana, potrząsając głową;prawdopodobnie w dalszym ciągu nic nie rozumiał, a młoda Amerykanka i tym razem wydała mu się najdziwniejszą dziewczyną na świecie.
- Chciałam mu udowodnić - ciągnęła dalej Gaby już trochę podziałością szampana; dla starego recepcjonisty była jednak wciążświeżym powietrzem, które wtargnęło do zatęchłego kantorku -chciałam mu udowodnić, że będę go kochać nie tylko w Paryżu, alei wszystko jedno gdzie.
-Kochanie!
- przerwał te wynurzenia Marek.
-Lecimy zakilkadni do Nowego Jorku i, jak narazie, to twoje "wszystkojedno gdzie" przedstawia się całkiemnie najgorzej.
Na nowojorskim lotnisku czekał na nich dziadek Gaby wraz z siostrą jej nieżyjącego ojca, ciotką Glorią Steinbrook.
Powitaniami i uściskami było końca, cieszonosię tu z przyjazdu Gaby, jakby wracała skądś cudem uratowana, wyrwana z samej paszczy lwa.
Marek stał na uboczu i czekał cierpliwie, aż się panie wypłaczą ze wzruszenia.

- Moje drogie dziecko!
- powtarzała wciąż wcale jeszcze młoda i przystojna ciocia, nie przestając zerkać ku niemu z nieposkromioną ciekawością.
- Już prawie straciłam nadzieję, że zobaczę cię żywą!
- I zobaczyła ciocia!
- śmiała się Gaby.
- A to jest mój mąż, Marc.
Doktor Laskowski.

Ciotka Gloria chwyciła go także w objęcia, ale dziadek przyjrzałmu się najpierw zdaleka.

On jemu zresztą także.

Wysoki i silny przypominał amerykańskich starszych panów z reklam najlepszych gatunków whisky i cygar, którzy po to między innymi wzięli udział w drugiej wojnie światowej, żeby móc teraz pić i palić w spokoju.

W jakiś nieuchwytny sposób naprawdę z epoki Hemingwaya, bez ceremonialnie mu się najpierw przyjrząwszy - wyciągnął do niego rękę.

- Więc to jest ten twój polski chłopak!

Gaby rzuciła się go ścisnąć i całować.

- Sam dziadek widzi, że mogłam stracić głowę.

- Mogłaś.

mogłaś - mruzczał najstarszy i jedyny wrodzie pan Petersen, oddając pocałunki.

- Wiedziałam, że się wam tak spodoba!

- Ależ, kochanie - zaoponował wreszcie, zmieszany.

- I posłuchajcie tylko, jak on wymawia to słowo.

to wytarte amerykańskie słowo!

- zawołała Gaby.

Cóż to jest mieszając na to, żeby poznać Nowy Jork!

Żeby móc powiedzieć, że było się w Stanach!

Marek - po ubóstwie miejsc, w których przebywał, zanim tu przyjechał, po ich spalonym słońcem, pustej, jałowej przestrzeni, i po tym, co oglądał, w czym żył przedtemi co bardzo kochał, nie pozwalając sobie na żadne oceny i porównania - czuł się wciąż tak, jakby go ktoś pięścią uderzył w żołądek.

Niewiedział, dlaczego nie doznawał tego uczucia w Paryżu, dlaczego nie czuł się pokonany i upokorzony jego bogactwem i pięknnością, nie przyjmował ich jako wyzwania do bolesnych zamyśleń.

Tam, nad Sekwaną, jeśli czegoś pragnął, w pogodny sposób

wyobrażał sobie, że popracowałszy jeszcze w Afryce, będzie mógł to sobie kupić.

Tutaj, choć jako mąż Gaby Petersen, dysponującej po śmierci rodziców niemałym majątkiem, mógł sobie wyobrazić wiele realniej - nie czuł z tego tytułu radości.

I niczego nie pragnął, co było najbardziej zdumiewające.

Oglądał najpiękniejszą wystawę bez owego błysku w oku, na który tak czyhała Gaby.

- Nie chcesz nic mieć?

- pytała.

- Nie, kochanie - odpowiadał (dlaczego ze smutkiem?)

- nieznajdę tunic dla siebie.

- Nie jesteś chory?

- dopytywała się Gaby.

-Nie.

Co ci przychodziło głowy?

Niechciał nic mieć!

Może to naprawdę choroba?

Nie afrykańskachyba jednak ani polska; ci, którzy stamtąd przyjeżdżali, rzucali się nadmiar dóbr, zastany w jakimkolwiek miejscu świata, z nigdy nienasyconym łakomstwem, o ile oczywiście mieli środki, żeby je zaspokajać.

Na co więc był chory?

I w jaki sposób powinien się leczyć, żeby przede wszystkimnie przysparzać zmartwień Gaby, obserwującej go wciąż z niepokojem?

Kurację -najmniej spodziewanie - rozpoczęła ciotka Gloria.

Rozwiedziona od dwóch lat, całąenergię niemarnowaną już na poskramianie męża - poświęcała teraz sprawom ukochanej i osieroconej bratanicy.

Na początek wymyśliławystąpienie jej męża w UNICEF.

Marek początkowo bardzo się bronił.

Uważał, że w Afryce był zbytkrótko, żeby wypowiadać sięna temat, który wymagałpoważniejszychdoświadczeń.

Było zapewnewielu lekarzy, dowodziłpani Glorii, którzybardziej kompetentnie i autorytatywnie mogliby zabierać głos w sprawie lecznictwa i opieki nad dziećmi naczarnym łądzie.

- Mójdrogi - nie zgadzała się z nim - właśnie ktoś, kto przybywprostostamtąd, wnosi powiew prawdy iautentyzmu, tak ważnyw pobudzaniu pozytywnych decyzji w tej dziedzinie. Właśnie ty,który przybywasz wprostzeswego szpitaliku wBassar.

Ależ ciociu - wciąż broniącsię, usiłował żartować Marek - powyjeżdżiez Bassar spędziłem pięć dni wParyżu i ponad trzy tygodnie w Nowym Jorku.

Już właściwieprzygotowuję się do wyjazdu.

PaniSteinbrook przyjrzała mu się spod oka.

- Przygotowujesz się do wyjazdu.

- powtórzyła wolno.

-A więc dlatego - zaczęła z nowym przypiływem energii -właśnie ty powinieneś mówić na ten temat.

Bochyba pragniesz powiększenia dotacjiUNICEF dla swoich podopiecznych?

Skapitulował.

Skapitulował, nieprzeczuwając, że zgoda na wystąpienie przed tak poważnym audytorium może pociągnąć za sobąprzygotowania inne niżpoczynienie najkonieczniej szych notatek, sprecyzowanie potrzeb, o których zaspokojenie miał zamiar zabiegać.

Tymczasem ani się spostrzegł, jak znalazł się w kilku magazynach, skąd wyszedł przebrany odstóp do głów, objuczony ponadto paczkami z garderobą, która miała go upodobnić do innych tutejszymłodychludzi, pnących się poszczęblach kariery, bo taką mu - jakzorientował się później - przypisano tu rolę.

Uważał, że powinienzjawić się w UNICEF właśnie tak ubrany, jak zwykł chodzić w Afryce, ale pani Gloria przyjęła tenpomysł ze zgrozą.

Miała w UNICEFliczących sięznajomych i pragnęła, żeby mąż jej bratanicy zrobiłnanih Jak najlepsze wrażenie, według jej wyobrażeńoczywiście.

I tymrazem ustąpił.

Przyzwyczajony do dżinsów i koszuli, nie mógł odrazu przywyknąć do zakupionych garniturówi nie czułsię w nichswobodnie.

Do diabła!
myślał.

Zrzucę z siebie to wszystko, kiedy tylko zobaczę jeepojca Cyryla.

Starając się o bezwzględną szczerłość przed sobą, nie mógł zrozumieć, skąd się brała w nim ta tęsknota doprymitywu i ubóstwa, które przecież bardzo dokuczały mu w Afryce.

Czy rodził ją opór przeciwko temu wszystkiemu, co go teraz otaczało, co go teraz osaczało i co inni ludzie skłonni by byli uważać za niewątpliwą uśmiechlosu?

Amoże strach?

Przed czym?

Przed samym sobą?

Przed utratą czegoś, czego dopracowywał się w sobie w miejscach świata, gdzie jawi się on we właściwym obrazie i gdzie nie można powiedzieć, że się niewie, jakim jest w swej istocie.

Ale Gaby była, a raczej bywała, w tych dniach szczęśliwa.

I nie miał prawa tego nie dostrzegać, nie zdawać sobie z tego sprawy, Chodziła po sklepach, dobierając do Jego nowych garniturów odpowiednie koszule i krawaty, u jubilerów szukała spinek nie żałując trudu w wynajdywaniu najwłaściwszych.

Wiedział, że krzywdziłby ją sądząc, iż stanowi dla niej okazję do jeszcze jednej zabawy w życie. To nie była zabawa.

Przylapywał ją nieraz na czujnych i zatrzwożonych spojrzeniach, a w nocy obejmowała go zawsze mocno ramionami i budziła się od razu, kiedy oddalał się od niej.

Za oknami, przesłoniętymi żaluzją chroniącą od światła neonów, żył, tętnił, warczał i huczał, a także bawił się i płakał - Nowy Jork.

Bogaty, zasobny, z wszystkimi guzikami cywilizacji, które należało tylko nacisnąć - nie miał guzika, który należałoby nacisnąć, żeby doznać ciszy i spokoju sumienia, jaki nieraz miewało się w Bassar.

Do licha!

denerwował się wtedy, a zdarzało mu się to coraz częściej.

Wszędzie można mieć spokojne sumienie, wszędzie są ludzie czekający na pomoc lekarza i można mieć spokojne sumienie, jeśli się jej udzieli.

Przeraził się, że zaczął o tym myśleć, że jednak zaczął już o tym myśleć.

Zerwał się i poszedł do łazienki napić się wody.

Długo stał przed połyskliwą ścianą z ceramiki, luster i niklu, długo patrzył na odbicie swojej twarzy.

Kiedy wrócił do sypialni, rozbudzona i zatrzwożona Gaby zapytała od razu:

- Co się stało?

- Nic, kochanie.

Musiałem napić się wody.

- Źle się czujesz?

- Przestań podejrzewać wciąż chorobę w byku tak zdrowym, jak ja.

- Bo zerwałeś się tak nagle.

- Śpij już, proszę - powiedział łagodnie.

Wystąpienie UNICEF wypadło świetnie.

Sam może nie był sobie w pełni zadowolony, ale jego nowa rodzina była nim zachwycona. W przerwie podczas obrad pani Steinbrook zaczęła przepychać się ku niemu z wyciągniętymi ramionami.

- Marc!

Kochany!

Wspaniale!

Wspaniale przemówienie!

- Ciocia bardzo łaskawa - pocałował Glorię w rękę chyba w zbyt widocznym roztargnieniu.

Rozglądał się za tymi, których opinia mogła być miarodajna, ale Petersenowie otaczali go ciasnym kołem.

- Tylko szczerą!

- Zapewniała ciotka - Tylko szczerą!

Wiedziała, że muszę wprowadzić cię na sesję afrykańską w UNICEF.

Co innego czytać sprawozdania, a co innego zetknąć się z człowiekiem, który przybywa stamtąd.

Marek oczekiwał wciąż bardziej kompetentnych opinii ludzi, których poznał w UNICEF przed kilkoma dniami.

Stali opodal i śmiechali się do niego, ale żaden z nich nie skierował się ku niemu.

- Mogłem mówić tylko o moich skromnych doświadczeniach - powiedział, coraz bardziej tym speszony.

- Są to jednak doświadczenia, mój chłopcze!

- Dziadek Petersen wyczuł jego niepokój.

- A one wszędzie liczą się na świecie.

- Kochanie!

- szeptała Gaby.

- Byłam taka dumna, kiedy mówiłeś!

Nie masz pojęcia, jaka siedziałam wyprostowana.

Chciałam, żeby wszyscy wiedzieli, że to przemawia mój mąż.

- Nie przesadzaj, Gaby - poprosił.

- Na wieczór jesteśmy zaproszeni do senatora Morrisa - obwieściła pani Steinbrook.

- Bardzo mi zależy, żeby osobiście poznał Marca.

Zawsze otoczony ludźmi, a jednak znalazł sekundę czasu, żeby mi szepnąć, jak bardzo pozytywnie ocenia jego przemówienie.

- Ale po co.

od razu się.

- przeraził się Marek.

Marzył o tym, żeby po pozbyciu się zmory wystąpienia w UNICEF spędzić wieczór w domu, bez żadnych drinków, pójść wcześniej spać, a rano pojechać z Gaby do Central Parku na tenisa - Mój drogi - pani Gloria była rozczarowana, że nie wyraził entuzjazmu - trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Morris wiele znaczy w UNICEF.

- Ależ ja.

- zdumiał się - naprawdę nie potrzebuję żadnego poparcia.

- Kochany chłopcze!

- uśmiechnęła się i był to w tym momencie jedyny uśmiech w rodzinie Petersenów, dziadek i Gaby patrzyli gdzieś w bok i niemógł napotkać spojrzenia.

- Kochany chłopcze, na całym świecie nie ma jednego człowieka, który by nie potrzebował poparcia - uwierz nie całkiem jeszcze starej, ale doświadczonej ciotce.

Przyjęciu senatora Morrisa było raczej skromne i odbywało się na stojąco.

Kto chciał, mógł oczywiście przycupnąć gdzieś foteluze szklaneczką whisky w ręce, ale zadaniem Marka było krążyć wśród zebranych, zawierać znajomości i za wszelką cenę zrobić dobre wrażenie.

Wyzaczyła mu jepani Steinbrook i nie chcąc sprawić jej zawodu, poddał się temu życzeniu - nie bez przyjemności nawet, co stanowiło dla niego samego duże zaskoczenie.

Podobał się sobie w rozmowach, jakie tutaj prowadził - między innymi z ludźmi, na których opinii tak mu zależało, a którzy także byli na przyjęciu i, być może, wiedząc, że tu będą, nie pchali się do niego tuż po przemówieniu - podobał się sobie w bezustannej konfrontacji z przedstawicielami tego wspaniałego kraju, których nie opuszczało przeświadczenie, że jest to absolutnie najlepsza ojczyzna, jaką można mieć, ba!

podobał się sobie w licznych lustrach, wychodzących mu wciąż naprzeciw ze ścian.

Szukał wtedy bezwiednie Gaby, żeby i w jej oczach znaleźć potwierdzenie uczuć, jakich doznawał - ale Gaby była wciąż otoczona ludźmi; prawdopodobnie i jej ciotka Gloria wyznaczyła to samo zadanie: zawierania znajomości i sprawianie dobrego wrażenia na wszystkich.

W ciągu krótkich spotkań w tym tłumie, bezustannie popijającym na stojąco i na stojąco pogryzającym miniaturowe zakąski, zdołali jednak wyrazić sobie swoje wzajemne uznanie - ona zrobiła z niego kogoś przypominającego prawie Roberta Redforda w "Wielkim Gatsbym" i sprawiła, że naprawdę zaczął czuć się, jakby napisał go Scott Fitzgerald w najlepszym swoim okresie, on uczynił ją tak promienną, że można było ogrzać się w jej pobliżu.

Kiedy wychodzili po skończonym wieczorze, senator Morris ścisnął ich obojw ramionach.

- Miło będzie widywać was tu częściej - powiedział.

Marek powtórzył to pani Steinbrook po powrocie do domu.

- Zdawkowa formuła gościnności.

Jak on to sobie wyobraża?

- śmiała się.

"Miło będzie widywać was tu częściej"!

Za tydzień będziemy już w Bassar.

Bardzo rozochociona drinkami pani Gloria spoważniała natychmiast, choć uśmiechała się nadal, ale jakby z powagą i serdecznością należącej tej chwili.

- Senator Morris ma zamiar zatrzymać cię w centrali UNICEF.

- Ależ.

wyjął Marek nie prosiłem o to.

- Wiem, że nieprosiłeś.

To bardzo piękne z twojej strony, że nieprosiłeś - pani Steinbrook pocałowała go w czoło, zapominając, że ten gest matczyny była stanowczo za młoda.

- To niespodzianka, mój drogi!

Niespodzianka dla ciebie i Gaby!

- Ciociu.

- szepnęła Gaby z tym popłochem, który na przemian z wyrazem szczęścia miewała ostatnio w oczach.

- Nie cieszy się?

- pani Steinbrook nie spodziewała się takiego rozczarowania.

- Ojczy!

Oni się nie cieszą!

- Poczekaj, moja droga - odezwał się pan Petersen z wyczuwalną rezerwą w głosie.

- Zaskoczyłaś ich tak nagle.

- A jak inaczej miałam to powiedzieć?

Jak inaczej według ojca?

- Teraz młodzi lubią sami decydować o swoim losie,

- Ach, to nie dlatego - zaprzeczył Marek gwałtownie.

- Nie chciała odbierać pani Steinbrook słusznych jej zdaniem racji w załatwieniu tej sprawy.

- Nie dlatego.

, Ja po prostu muszę być za tydzień w Bassar.

Tam niema innego lekarza.

Kolega z Lome zgodził się tylko raz na tydzień tam dojeżdżać.

A poza tym także wyjeżdżana urlop.

- Mój drogi!

- Ciotka Gloria szybko zwalczyła uczucie przykrości, jaka ją spotkała.

- Na twoje miejsce na pewno znajdzie się ktoś inny.

- Ale nieprędko.

Tymczasem tam.

Słyszeliście przecież, co mówiłem przed południem na sesji.

Gaby poza tym zna to wszystko z autopsji.

Lekarz potrzebny jest tam każdego dnia.

Musi sam starać się o lekarstwa dla chorych.

- A jak dotąd żyli, kiedy cię tam nie było?

- zapytała z ochłota pani Steinbrook.

Marek zaczynał się denerwować.

Zaczynał się denerwować, czując równocześnie absurdalną śmieszność swego uporu.

Ciotka Gaby, oni wszyscy zresztą, wszyscy Petersenowie, mogli słusznie poczytywać go za wariata - posada lekarza w szpitaliku w Bassar i stanowisko w centrali UNICEF w Nowym Jorku!

Kto by się wahał w wyborze?

Ktoby niedoceniał.

Powiedział jednak:

- Nie wiem, jak dotąd żyli.

Posłano mnie tam, żeby było inaczej.

Mam trzyletni kontrakt i nie powinienem.

nie wolno mi go nie dotrzymać.

Są kraje, które bezustannie potrzebują pomocy i nie można
pomniejszać jej tak skromnych rozmiarów.

Mówiłem przecieży tym!

Mówiłem tylko o tym.

- Ależ, Marc drogi - przerwałam pani Steinbrook z wciąż żywą nadzieją, że zdoła
zmienić tok rozmowy - wszyscy są zgodni co do tego, że przemówienie było świetne,

- Ale nie tylko to powinienem być powiedzieć!

Mówimy wciąż o skutkach, skrzętnie przemilczając przyczyny.

Byłem przez dwa lata w Wietnamie.

- Marc!

- krzyknęła boleśnie Gaby!

- W Wietnamie zginął mój brat!

Przyciągnął ją przygarbił do siebie.

- Przykro mi!

Ja byłem dwa lata w Wietnamie po zawarciu pokoju.

I trzy lata postanowiłem spędzić w Afryce.

Przyrzekłem to mojej matce.

Przyrzekłem mojej matce przez pięć lat leczyć dzieci najbardziej potrzebujące pomocy,
ponieważ ona jako dziecko spędziła wojnę w niemieckim obozie dla dzieci.

Na pewno nikt tutaj nie wie i nie wierzy, że było coś takiego.

Żebyły obozy, gdzie dzieci cierpiały postokroć więcej niż żołnierze w okopach.

To powinienem był powiedzieć zamiast zachłystywać się zachwytem nad dobroczynnością.

I to jeszcze, że narody, których dzieci nie odczuły, co to jest wojna - nieznaną pełni jej
nieszczęścia.

- Marc!

O, mój Boże!

- szeptała Gabyz rozpaczą.

- I być może dlatego, być może dlatego stać tylko na dobroczynność, a nie na
zapobieganie złu.

- Stać nas było także na zapobieganie złu - odezwał się niecopodniesionym głosem pan
Petersen - mówisz do żołnierza wielkiej wojny.

Przepraszam.

Bardzo przepraszam - Wiem, wszedł pan razem z Hemingwayem do oswobodzonego Paryża.

Ale wielka wojna się skończyła, a małe wciąż trwają.

A cierpi się i umiera tak samonamątych, jak i na wielkich - i będzie się tak samo cierpieć i
umierać na tej największej, która może nastąpić, jeśli świat nie uruchomi sumienia i umysłów
wcześniej od wyrzutni.

To właśnie powinienem być powiedzieć ludziom, którzy mnie dziś słuchali.

Także i tobie, Gaby, oczekiwałaś, że kiedyś to nastąpi.

Że wreszcie powiem ci, dlaczego zdecydowałem się na tę pracę.

Przyrzekłem matce, że nigdy nie zapomnę.

Że będę jeszcze jednym ogniwem w łańcuchu pamięci, który powinien opasywać świat, żeby
się nie rozleciał na kawałki.

Cisza, która zapadła potych słowach i trwała bardzo długo, uprzytomniła Markowi
drastyczną niestosowność jego wybuchu w tym domu i w tym dniu, tak dotąd pomyślnym.

- Przepraszam - zaczął cicho, ale już było za późno, pani Steinbrook łkała, głośno i rozdzierająco, jak dziecko, które niesprawiedliwie ukarano i któremu nic już nie mogło wynagrodzić tej krzywdy -

-Mój Boże!

- wołała wśródłkań.

-I co jateraz powiem Morusowi?

Coja mu powiem?

Wykazałyte dobrej woli w załatwieniu tejsprawy!

Tyle prawdziwej serdeczności, zwłaszcza kiedy się dowiedział, że Gaby oczekuje dziecka.

- Och, ciociu!

- rozplakała się także Gaby.

-Po coś to powiedziała!

Niechciałam, żeby Marc wiedział!

Nie chciałam, żeby podejmował decyzję pod tą presją.

- Czy to prawda?

- Marekuniósł twarz żony ku sobie.

Płakałażby rozdzierająco, żeby móc odpowiedzieć.

- To prawda?

Pani Steinbrook przycichła w swoim żalu, skinęła na ojca uznając, że w takiej chwili powinno się młodych zostawić samych.

Stanowczo marnowała się, niezasiadając w ONZ.

Nastąpił teraz okres wzmożonej korespondencji.

Do Afryki oczywiście nie pojechali.

Nie pojechał!

Bo przecież to on był tam potrzebny, Gaby mogła w spokoju oczekiwać dziecka w Nowym Jorku.

Ale i tego nie mogła jej zrobić wiedząc, że wtedy spokoju by właśnie zaznała.

- Pani Steinbrook wykazała w tych dniach maksimum taktu.

Mogła na przykład powiedzieć, że w końcu itak po roku opuściłby Bassar, ale nie powiedziała tego.

Co dnia zdawała sprawę ze swoich starań wokół zapewnienia szpitalikowi nowego lekarza.

Nie ona ponosiła winę, że szło to opornie.

Obiecywano jej, że do Bassar zostanie przeniesiony irlandzki lekarz z Kapsztadu.

Łatwo było się domyślić, że nie miał na to ochoty.

Tymczasem Marek pisał listy.

Najpierw do matki.

Żeby zwolniła go z danego słowa.

Korespondencja z Polską wymagała cierpliwości.

Wreszcie nadszedł list ze słowami, których oczekiwał.

Któraż matka nie cieszyłaby się namyśl, że przed synem otwiera się amerykańska kariera?

Nie napisała tego wprost, nienapisała także wprost tego, że jednak miała nadzieję na jego powrót do kraju po wygaśnięciu kontraktu z UNICEF.

Za bardzo znał matkę, żeby nie wiedzieć, ile ją to kosztowało.

Wprawdzie w listach, pisanych po zawarciu małżeństwa, napomknął nieraz (cóż za straszne słowo!

ale nim właśnie musiał określić niematyczność swoich planów), że obydwójce z Gaby wybierają się do Polski, nigdy jednak nie sprecyzował, czy miałyby to być wizyta, czy też.

164

Pisał także do ojca Cyryla.

I w tym wypadku trzeba było długoczekać na odpowiedź.

Ojciec Cyryl nie zawiodł, tak jak nie zawiodła matka.

Uważał, że decyzja doktora była słuszną, przekazywał gratulacje z powodu nadziei na powiększenie rodziny, cieszył się, że Gaby miała odpowiednie warunki w tych trudnych i ważnych dla kobiety dniach.

W tym wszystkim był jakiś żal.

Nie wyrażony żadnym słowem, więc może nie był to żal doznawany przez piszących.

Żeby go stłumić, rzucił się w pracę w centrali UNICEF, jakby sam sobie przybywał naratunek.

Na pewno nie wymagała aż takiej gorączkowości, wszystko było tu poukładane jak w pudełku, nowi koledzy patrzyli na niego zdumieni - czy trzeba było tu coś zmieniać, poprawiać, reorganizować?

No, no.

myśleli.

Trzydzieści pięć milionów takich jak on!

Gaby pomału odzyskiwała spokój i pogodę.

Popłoch i niepewność w jej oczach przytłumił i wygładził ten szczególny sposób zamysłonego dalekiego patrzenia, jaki zwykle mają przysze matki.

Bała się już teraz tylko listów, które przychodziły do Marka, za bardzo na nie czekał, żeby można je było lekceważyć.

Ale i z nich płynął spokój, zwłaszcza po wiadomości przekazanej przez Cyryla, że irlandzki lekarz z Kapsztadu podpisał wreszcie dwuletni kontrakt, za o wiele wyższym w Bassar, niż w Kapsztadzie, wynagrodzeniem - Mareki z nim zaczął korespondować, czując się powołany, a nawet zobowiązany do udzielania mu pomocy przynajmniej w tej formie, choćjemu, gdy przybył do Bassar, nikt jej nie udzielił, poza życzliwą obecnością ojca Cyryla. Pisywał nawet do Abego i siostry Beatrycze, nie zrażając się tym, że odpowiedzi otrzymywał tylko od niej.

- Co za leń!

- mówił do Gaby.

- Przecież umiał już całkiem dobrze pisać.

Czy to możliwe, żeby przestał chodzić do szkoły i zapomniał pisać po moim wyjeździe?

- Taniem możliwe odpowiadała Gaby.

Nic Jej to nieobchodziło, ale intensywność, z jaką czekał na list od czarnego chłopca, nakazywała przynajmniej go pocieszać.

- Na pewno chodzi do szkoły i na pewno pomagał w szpitaliku nowemu lekarzowi, tak jak pomagał ci.

Ma więc mnóstwo zajęć, a napisanie listu, pierwszego przecież w życiu, wymagał czasu, i skupienia.

Zobaczysz, że wreszcie napisze.

Listu od Abego jednak wciąż nie było.

Powiniensię był z tym pogodzić, sprawa była w końcu całkiem błaha, pisał, nie pisał, trudno.

Ale chłopak obudził w nim istną obsesję - zaczął być dla niego całą urażoną ambicją czarnej Afryki.

Wciąż starał się uzyskać od niego choćby jedno słowo, a w nim.

cię, zamiastkę przebaczenia.

Daremnie.

Ani siostra Beatrycze, ani ojciec Cyryl, proszeni o nakłonienie Abego, żeby napisał wreszcie do swego doktora, nie potrafili tego dokonać.

Zresztą coraz częściej pomijali ten temat milczeniem.

Marek zaczął więc podejrzewać, że z chłopakiem dzieje się coś niedobrego.

Wyglądało na to, że nikt nie może sobie z nim poradzić.

Zamiast chodzić do szkoły i pomagać w szpitaliku, włóczył się zapewne po mieście i okolicy, jak inni chłopcy, których trudno było nakłonić do systematycznej pracy.

Marek - ku uldze Gaby - zdecydował, że ostatni raz zapyta o niego doktora Mc-Barthy'ego,

Tego dnia, kiedy przyszedł list od Irlandczyka, Gaby całe przedpołudnie spędziła z dziadkiem i ciotką w Central Parku, oddychając czystym powietrzem i zażywając ruchu, tak potrzebnego przyszłym matkom.

Wyglądała świetnie, pani Steinbrook uważała, że była jeszcze ładniejsza niż przedtem.

- Ciocia tak mnie tylko pociesza - śmiała się Gaby.

- i chcę przez to powiedzieć, że to chyba będzie syn.

Bo podobno, kiedy kobieta ładnie wygląda w tym stanie.

- Jestem pewny, że będziesz syn - wtrącił się do tych rozmów dziadek.

- Już nawet wiem, do jakiego lokalu zaproszę go w dniu jego pełnoletności.

- A nas nie zaprosisz?

- dopytywała się żartobliwie córka.

- Oczywiście.

W takim dniu powinna być przy stole cała rodzina Petersenów.

Ale niejako awansem zapraszam was dziś na lody pistacjowe do tej nowej włoskiej cukierni przy Piątej Alei.

Mam nadzieję, że Marc nie wróci zbyt zmęczony.

Po co ten człowiek tak haruje, nie mam pojęcia.

- Jest nowym pracownikiem i w dodatku cudzoziemcem - Gaby przy najłżejszym zaatakowaniu Marka zawsze od razu zaczynała go bronić.

- A poza tym.

- Co poza tym?

- zapytała pani Steinbrook.

- Poza tym.

nie chce żadnej taryfy ulgowej dla protegowanego senatora.

- On jest przeczulony, ten twój Marc.

Poznaliby się na nimi bez tej protekcji.

Senator może tylko sprawić, że stało się to.

nieco wcześniej.

Marek rzeczywiście wrócił zmęczony, ale zaczynał odpoczywać już od progu, usłyszawszy o cudownym przedpołudniu, jakie Gaby spędziła w Central Parku, o pozyskaniu nadzwyczajnej jakiejś nurse, która miała roztoczyć opiekę nad dzieckiem zaraz po jego urodzeniu,

o zaproszeniu przez dziadka całej rodziny na lody pistacjowe do nowej włoskiej cukierni.

o liście z Afryki wreszcie, czekającym na niego na stoliku w halu.

- Nie zaczynaj czytać przed obiadem - pani Steinbrook ostatnim spojrzeniem sprawdziła nakrycie stołu.

- Bellajuz podaje zupę.

Marek jednak rozerwał kopertę.

List był krótki.

- Od kogo?

- spytała Gaby.

- Od doktora Mc-Barthy'ego.

Pytał mnie w ostatnim liście o pewną afrykańską przypadłość i poradziłem mu.

- Marek przesunął spojrzenie po kilku nastu liniach tekstu, zbladł, złożył list wedwoje i wsunął go z powrotem do koperty, po czym znów go wyjął, rozłożył, przeczytał jeszcze raz, ręce mu drżały.

- Co się stało?

- szepnęła Gaby.

Marek nie patrzył na nią, nie patrzył na nikogo w pokoju.

- Abe.

Abe stracił wzrok.

Ślepotą rzeczna.

Dlatego.

nie napisał do mnie listu.

- Ten chłopak, który pracował przy tobie w szpitaliku?

- zapytała pani Steinbrook.

- Tak.

Tak!

- krzyknęła Gaby.

- On!

Co pisze doktor Mc-Barthy?

- zwróciła się cicho do Marka.

- Pisz - odpowiedział, wciąż nie patrząc na nią ani na nikogo w pokoju - żenie zna szczegółów.

.. Stał się to przed jego przyjazdem do Bassar.

Ojciec Cyryl opowiadał mu, że akurat zabrakło w szpitaliku lekarstwa na ślepotę rzeczna.

Siostra Beatrycze pojechała po nie do Lome, tam także go nie było, usiłowała pojechać do Akry, ale granica z Ghaną była zamknięta, w Akrze wybuchła rewolucja.

- Rewolucja w Akrze.

- niepotrzebnie usiłował sobie przypomnieć pan Petersen.

- Kiedy to było.

- Akurat wtedy - bardzo cicho powiedział Marek - kiedy obejmowałem tu stanowisko w centrali UNICEF, nawiązywałem znajomości, wygłaszałem nikomu niepotrzebne odczyty.

- Ty także nie zdobyłbyś tego lekarstwa - zawołała Gaby.

- Nie wiem.

nie wiem - jęknął.

- Przedostałbym się jakoś do Akry,.

Mam zagraniczny paszport.

- Nie zdobyłbyś!

- rozpłakała się Gaby.

- Uspokój się!

- Ciotka Gloria otoczyła ją ramieniem.

- To możeci zaszkodzić!

Przykra, ogromnie przykra sprawa, ale jeśli weźmie się pod uwagę, ile tysięcy ludzi umiera dziennie w tamtych rejonach świata.

- Przepraszam - powiedział Marek, kierując się ku drzwiom.

-Nie będę Jadłobiadu.

Zwykle zasypiali przytuleni do siebie, albo przynajmniej trzymając się za rękę, co wymyśliła Gaby - leżeć razem w łóżku, mówiła, itrzytać się za rękę, to dopiero szczyt bliskości!

Tej nocy także takzasnęła, z dłonią najego ręce, ale kiedy nabrał przekonania, że śpimocno - ostrożnie, milimetrpomilimetrze, wysunął rękę z uściskując palców.

Obudziła się odrazu.

-Nie kochasz mnie już tak, jak dawniej?

-zapytała.

- Co ci przychodzi do głowy?

- Natychmiast był przy niej, przytulił jej policzek do swojej piersi.

-Jak mogło cicoś takiego przyjść do głowy, kochanie?

Co innego mógł jej powiedzieć?

W każdym razie pewno nie to, że miała rację, że naprawdę kochał ją przynajmniej, ito dziecko mając dopiero się narodzić, ale posiadające już nurse najlepszą z najlepszych, kochał także mniej tylko dlatego, że niewidomy chłopak, którego wciąż miał przed oczyma, potykając się biegiem przez sawannę.

Za opuszczonymi żaluzjami żył, tętnił, warczał, huczał, bawił się, a także i płakał Nowy Jork.

Wszystko jednogdzie - i tu także ludzie potrzebowali pomocy, ale doktor Laskowski, tak świetnie zapowiadający się w LJNICEF, wiedział, że do końca życia nie opuści go myślo czarnym, chudym chłopcu wza obszernych na niegoporciętach, posuwającym się zwyciągniętymi przed siebie rękoma przez świat bez kolorów i kształtów, ale za to z obfitością cierpienia, przed którym nikt go nie obronił.

7977

168

Śmierć gangstera

Żadna starość nie jest radością, ale pomyślcie tylko o starości gangstera.

Stary Al siedział na pierwszym stopniu schodów prowadzących narozlegle podwórze, porosłe kępami trawy, a po brzegach, przy samym płocie, niepokonaną gęstwą pokrzywi dzikiego rabarbaru.

Dalej - zapłotem - ciągnął się sad.

Miał poza sobą piękne życie, skoro mógł odłożyć tyle, aby kupić synowi ten kawałek ziemi, skoro mógł wychować go na porządnego człowieka.

Jeśli osiągnął ten cel, ten jedyny cel, który miał w życiu, czy reszta warta była myślenia?

Przed kurnikiem dakały kury.

Na rudym pniu starej sosny, która pozostała tu powykarzowanym lesie, siedział dzięcioł i kiedy cisza na krótką chwilę zalegała podwórze, niby spokojna woda wypełniająca płytkistaw, słyhać było wyraźnie jego towarzyską ofertę składaną sosnowej korze.

Ranek był słoneczny, ostry jak blask ogromnego reflektora, przed którym mruży się oczy.

Stary Al przymknął powieki i cieszył się leżącym na nich ciepłem.

Należało mu się ten spokój i ten próg wystawiony na poranne słońce, gdakanie kur, dzięcioł stukający w pień sosny i jeszcze odrobina czegoś dopełniająca pełni.

Przeciągnął się, podwinął nogawki spodni, aby promienie słońca miały dostęp do białych łydek, z których wyrwał teraz dwoma palcami kilkasterczących włosów.

W głębi domu zastukały obcasy, zaszeleściła spódnica i nie otwierając oczu powitał Rosę - uśmiechem, który zawsze miał dla niej.

Ona także należała do tej części jego duszy, w której nie było miejsca na wspomnienia, w której panował dzień dzisiejszy dobrane do niego jej młodość, jej niewinność, jej jedmienność od wszystkich znanych mu kobiet.

Miał więc i synową, pasującą do tego pięknego kawałka ziemi, do życia, które wybrał dla syna, a w którym idła nie znalazło się miejsce na starość.

Otworzył oczy, żeby na nią popatrzeć, żeby mieć jeszcze jedną radość tego ranka.

Zobaczył najpierw z dotu jej piersi, ciepłe, drgające pod bluzką kobiece piersi, których prawdziwego kształtu i powabu nie krył żadenny łonowy pancerz i w którym przyszłe mleko mogło zbierać swobodnie, jak słodki sok drzew w nabrzmiątych pączkach.

Głowę miała ciemną i połyskującą gładkimi włosami, także brwi i oczy ciemne pod ciężkimi powiekami.

Trochę ciemnego puszcza okrywała też górą wargę, i tym bielsze wydawały się zęby, kiedy je ukazywała przy każdym słowie.

- Wie ojciec co?

- powiedziała.

- Może by tak zabić koguta na obiad.

- Co to za uroczystość?

Żadna.

Ale kogutów mamy za dużo, już się te młode zabierają do kur.

- Dobrze, jak chcesz.

- Bert wróci głodny.

Nie mam nic na obiad.

- No dobrze.

Ale pokaż mi, którego mam zabić.

- Wszystko jedno.

Któregoś z tych młodych.

Stary byłby łykowaty jak byk.

Tak - pomyślał, podnosząc się z progu - jednych ratują wady, drugich gubią zalety.

Wśród gromady drobiu najbardziej godnym noża wydał mu się wesoły kogucik o popielato brązowych piórach.

Dlaczego właśnie ten?

- zastanowił się, nie ruszając się z progu.

- Przyniosę ojcu noż - powiedziała Rosa.

- Potrafi ojciec sam go złapać?

Nie chciałabym biegać.

- Tym się nie martw - mruknął.

Kiedy jednak wróciła, stał wciąż w tym samym miejscu wpatrywał się w stadko drobiu, grzebiące w ziemi pod szerokimi liśćmi łopianu, Nie, nie ten - pomyślał.

- Tenna pewno jest za chudy.

Taki wesoły, dużo biega, jednej chwili nieposiedzi, skąd u takiego choćby gram tłuszczu?

U ludzi podobnie.

Ale zdarza się też, że jest inaczej.

Ten przedsiębiorca pogrzebowy, którego trzasnęli razem z Joe Witkesem, był okrągłutki jak bułka, a minutynie usiadł spokojnie.

Wciąż za czymś biegał, wciąż coś pokazywał, przynosił z głębi lokalu, rozkładał na kontuarze.

Był to prawdziwy sklep, w którym można było wybrać najwłaściwszą oprawę na tę niewiadomo jak długo trwającą drogę w mgliste zaświaty.

Zależnie od stanu majątkowego nieboszczyka i jego spadkobierców koronki na poduszkę pod głowę mogły być "prawdziwe" lub z nylonu, jakkolwiek również wysokiego gatunku.

Zabieg osobiste wokół zmarłego również dzieliły się na kilka kategorii, z

uwzględnieniem fryzjera, manicurzystki i zamówionego przez oplakujących ostatniego wyrazu twarzy nieboszczyka.

Przedstawił swoje życzenia, zaznaczając, że nic nie jest zadrogie dla ukochanej babci, którą właśnie obydwaj stracili, a kiedy właściciel zakładu dotarł w omawianiu szczegółów do makijażu zmarłej i wznosił dłoń, aby na własnej uśmiechniętej twarzy wyjaśnić pewne tajniki

specjalności - trzasnęli goi wygarnawszy zawartość kasy wraz z trzydziestoma metrami brukselskiej koronki, opuścili zakład pogrzebowy z odpowiednio strapionymi minami.

- Niechże ojciec weźmie wreszcie ten nóż - powiedziała Rosa.

-I niech się ojciec pośpieszy.

Ja rozpalę ogień.

Wypróbował ostrość noża na palcu i zszedł wreszcie ze schodów, ale przystanął zaraz na dole.

Ten rdzawy - pomyślał.

Rudawoopierzony kogut odwrócił głowę i patrzył mu prosto w twarz okrągłym oczkiem.

Prawdopodobnie pomyślał o nim właśnie dlatego, że tak patrzył, ale wydało mu się, że zaczął patrzeć, kiedy o nim pomyślał.

Do diabła!

Nie był przyzwyczajony do czegoś takiego.

Ludzie nie mają przeczuć.

Ludzie zachowują się jak głupcy.

Trzepoczą się doostatniej chwili, Jakby byli nakręceni, mówiąmnóstwoniepotrzebnych słów imilkną dopiero pod lufą rewolweru, jak kukiełki na metalowych prętach.

Wdowa po kapeluszniku!

Jakżeona szczebiotała, jakże ich zachęcała dokupna sąsiedniej willi, wystawionej własniena sprzedaż.

Przyszli do niej, aby zasięgnąć na ten temat najwiarygodniejszej informacji.

Z najbliższego i najbardziejuroczego źródła powiedział Joe; wiedział zawsze, co należy powiedzieć.

Mógł gawędzić godzinami w najmniej pewnych sytuacjach, nie licząc się nerwami współnika Z tą wdową rozmowazdawała się sprawiaćmu prawdziwąprzyjemność.

Omówił stosunki sąsiedzkie z poprzednimi lokatorami willi, niewłaściwą - jego zdaniem - pielęgnację ogrodu, bezpieczeństwo w podmiejskiej dzielnicy, zwłaszcza podczas długich zimowych wieczorów, a kiedy doszedł do nieuczciwości rzemieślników podejmujących się naprawy dachów, choć temat był ciekawy, uznał, że wdowa nie musi zapoznać się nim do końca.

Gdyby wtedy umiała spojrzeć choć raz, jak ten mały rudy ptak i gdyby miała takie okrągłe oczy, aw nich całą wiedzę o życiu, a więc także o nieodgadnionym sercu człowieka.

Skierował wzrok ku innej stronie podwórza, gdzie także grzebał w ziemi kolorowe stadko.

Młody drągał na wysokich nogach pasował wsam raz do garnka; napięzyste był może zbyt młodzieńczo nieforemny, a lena rosólnie wchodziły w grę tego rodzaju wymagania.

Schowawszy nóż do kieszeni zaczął zbliżać się na palcach ku kępiepokrzyw, aby pod ich osłoną podejść koguta z bliska.

Rosa znowu ukazała się na progu.

Zdziwiło ją, że zabity ptak nie leży jeszcze przy ostatnim stopniu schodów, popatrzyła na dziwną pozostawioną, który przygięty do ziemi pełzł poprzez pokrzywy, i krzyknęła zniecierpliwiona:

- Pomóc ojcu?

- Nie!

- odkrzyknął wściekły.

Kury pierzchły ze swoich ciepłych dołków wygrzebanych w ziemi.

Kogut na długich nogach przewodził im w poszukiwaniu nowego miejsca.

Gdyby mi nie przeszkodziła, już bym go miał - pomyślał.

- Wróć do domu!

- zawołał do synowej.

- Zaraz cigo przyniosę!

Oczywiście teraz trzeba go byłogonić.

Przez całe podwórze, pod przeciwległy płot, obrośnięty także pokrzywami i dzikim rabarbarem.

Kury jakoś zrozumiały po drodze, że tonie o nie chodzi, że one najwyżej stanowią osłonę ściganego, a nie miały ochoty być osłoną rozpierzchły siana boki, gdacząc i gubiąc pióra.

Pozostali więc ściśle ze sobą - ścigającymi ścigany.

W jednym mgnieniu oka ocenili swoje siły i nawiązał się między nimi ten szczególny kontakt, który zerwany może być tylko w jeden sposób, znany obydwu.

Nie lubił tego.

Tamten przynajmniej przeżywał to pierwszy raz.

Na pewno pierwszy raz.

A on bywał już w swojej roli - Więc wiedział, co to jest.

Deptać komuś popiętach.

Ten komiwojażer na przykład, jak on dyszał!

Nie, na pewno nie mógł tego słyszeć, wyobrażał sobie tylko, jak on dyszy, i to było więcej, niż gdyby słyszał.

Nie był już młody, a przedtem nachodził się już chyba porządnie, od domu do domu, z ofertą zakup nowego ilustrowanego wydania Biblii.

Ten biegnący przez pustą łąkę o zmierzchu, wzdłuż jesienno-pola, nie był na pewno dla niego.

I rozumiał w końcu, że tonie ma sensu męczyć się tak przed śmiercią.

Zwolnił - i kogut zwolnił także.

Obejrzała się nawet i przyglądała sobie wzajemnie przez krótką chwilę napiętego zdumienia.

Rosa wciąż stała na progu, ruszył więc dalej, ale kogut spostrzegł w porę ten zamiar, zdołał tylko wyrwać mu kilka piór z ogona.

Postrzępiony i żalony, chwiał się teraz nad grzbietem uciekiniera, któremu ziemia wydała się niepewna, przeniósł się więc na płot, a stamtąd na dach kurnika, kiedy tylko jego prześladowca zbliżył się do drewnianych sztachet.

- Poczekaj, poczekaj - mrucał, zaczaiwszy się przy drabinie opartej o tylną ścianę niskiego budynku.

Kątem oka spostrzegł, że

172

Rosa cofnęła się do sieni, co dodało mu pewności siebie.

Jej wzrok go obezwładniał, hamował ruchy, odbierał myślom przebiegłość.

- Poczekaj!

powtórzył.

- Zaraz będę ci?
miał

Zatrzymał sięna długi moment, abykogut się uspokoił.

Nie byłosię cośpieszyć - tegoroczny drób nie wymaga długiego gotowania.

Czekał więc przy drabince, słysząc, jak ucisza się wnim serce, taksamo zapewne jak serce koguta na dachu, który powinien byłzapomnieć już o pogoni i zobaczyć nad sobą pogodne niebo, jaskrawesłońce, obfitą zieleń gałęzi sosny, poruszającej się w łagodnym wietrze, i dwa małe obłoki zaplątane wśród igliwia.

Powinien to zobaczyć.

A jeśli spojrzy w dół, może dostrzeże także barwęświeżejtrawy wabiący cień wśródliści łopianu, imały przesmykpod płotem, prowadzącyku zakazanym rozkoszom wolności.

Przekazywał to wszystkimow myśli oczom koguta,które - zobaczywszy- miały na zawsze obraz ten utracić.

Miały go na zawszezabrać ze sobą - tak należało toformułować.

Gdybyjeszcze byław tym odrobina prawdy!

Przynajmniejnigdy nie miał złudzeń.

Nigdy nie usiłowałsobie niczego ułatwiać.

Mógłby na przykład myśleć:

przecież każdy i tak musi umrzeć, czy nie lepiejwobec tego umrzećw biegu lub podczas zajmującej rozmowy albo w olśnieniu spodziewanym zarobkiem, niż w łóżku, w starości, w chorobie?

Darowałtotym wszystkim ludziom -piękną niespodziewaną śmierć- Czywiadomo, oile wcześniejszą odtej przewidzianej bez jego nagłej interwencji?

Może były totylko krótkie lata, jeszcze krótsze miesiące,zupełnie krótkiedni?

I napewnopatrzyłina coś przyjemniejszego niżtwarz doktora zamyśloną nad wysokością honorarium, niż szczerąalbo udaną rozpacz tych, którzy mieliterminnieco odleglejszy.

PatRobinson!

Nazajutrz cała prasa była ozdobiona Jej zdjęciami.

Z "MyFairLady".

Żadna recenzja, żaden rozwód nie przyniósł Jej takiegozgłosu.

Czekała w parkuna nurse, która opiekowała się jej pierwszym dzieckiem zdrugiego małżeństwa.

Na trawniku przedławkąkwitł krzak magnolii.

Napewno śpiewały ptaki.

Albo nawet tawdowa po kapeluszniku.

Joe,jako mężczyzna, mógł się podobać.

Bóg wie, co tam sobie myślała, patrząc na niego.

Taki sąsiad przepłot nie byłdo pogardzenia dla samotnej kobiety.

Jeśli więc zabrałaze sobajego obraz - no tak, ale to nieprawda.

Prawdą natomiast było,że obraz na przykład zielonej gałęzi sosny, obłoków zaplątanych wigliwiei nieba owianegoróżowością słońca - dla jakichś oczu przestawał istnieć, adla innych trwał.

Czym zasłużył nato, aby to jegooczy syciłysięjeszcze jasnością tego poranka?

Najgorszą rzeczą było to, że pozwolił sobie myśleć.

Nigdy przytym nie myślał.

Tylkotyle, ile wymagało działanie.

To stwarzaznakomitą jasność.

Proste wytyczenie funkcji, robota prawie inżynierska, chłodna precyzja - oto czego mu teraz brak.

Rzucił się całym ciałem ku brzegowi dachu, na którym siedziałkogut, i wreszcie go miał!

Ale na krótką chwilę tylko.

Utraciwszyrównowagę przy skoku, upadł razem z nim na ziemię, przygniótł gonawet, ale mimo to kogut wyrwał mu się z obolałych rąk i wrzeszczącgnął przez podwórze na otwartym klaksonie strachu i rozpaczy.

Rosa ukazała się tymrazemw oknie.

Zobaczył ją, gdy podnosiłsięz ziemi iwycierało spodnie pokrwawione ręce.

Cofnęła się jednakzaraz do środka, zasłoniła Firankę.

Tego sięnie spodziewał.

Czuł jeszcze pod palcami ciepłe, trzepoczące się ciało.

Możeon mu wcale nie uciekł, możego po prostuwypuścić?

Kogut zatrzymałsię niedaleko schodów i łypał ku niemuoszalałym okiem, usiłując odgadnąć,co dalej nastąpi.

Posunął siękilka kroków w jego kierunku, udającobłudnie, że wcale na niego nie patrzy.

Gdyby przynajmniej wróciłdo pozostałych kur, gdybywłączył się w stado.

Wciążjednak tkwił na gołej patelni podwórza, z daleka od spokojuniedawnych towarzyszy, jakby Już nie miał prawa donich wrócić powyroku, który na niego zapadł.

Nie powinienbył wiedzieć.

Topsuło regułygry.

Psuło całą robotę.

Ten mały niezgrabny ptak wiedział.

Postanowił zapędzić go pod płot, między kury, żeby - gdybędzie je gonił - wyglądało nato, żewszystkie spotka ten sam los.

Rozłożył ręce i zacząłzaganiać kogutaku kolorowemu stadku podogromnymiliśmi łośpianu.

Kury od razuwszczyły spłoszonegdakanie, ale kogut nie miałzamiaru zarazić ichswoim losem.

Zadziwił go.

Ludzie chętnie wciągają innych w swojenieszczęście, mają mniej godności, każda nadzieja wydaje się imdobra.

Kogut wyminął wzburzonestadko i pognął ku pustemu kątowipodwórza, ocienionemurzez wysoką ścianę stajni.

Podążył za nimi znowu byli tylko we dwóch.

I to, co się zbliżało, między nimi.

Toza długo trwa - pomyślał.

Nigdy tego nie lubił.

Joe miał silniejsze nerwy.

W ogóle był silniejszy od niego.

Ale wpadł izginał, i nanicmu się to nie zdało.

A on przetrwał, wychował syna idoczekwał się pięknej starości.

-Nigdy tego nie lubił.

Zawszeusiłował skracać czas przedtem.

Kiedy długo tropili Billa Barkteya, kasjerabankuplantatorów bawełny, który zbiegł ze zgrabną walizką z różowegoplastiku, powiedział wreszcieJoemu, żechyba tego nie wytrzyma.

Billa tropiła policja i oni.

Chodziło tylko o to, kto go prędzej dostanie.

Doszło do tego, że chodzili z krok w krok i osaczyli go wreszcie w ieszce.

Potem się okazało, że różowa walizka zawierała piżamę w buraczkowe pasy, ręcznik i przybory do golenia oraz zmianę bielizny.

Miał jeszcze na tyle siły, żeby z nich zakpić.

Pokazał im bilet na statek do Europy, którym właśnie o tej samej godzinie odpływała jego dziesięcioletnia córka z kufrem.

pełnym zabawek.

-Z kufrem pełnym zabawek- powtórzył.

- Matka będzie czekała na nią w Hawrze.

A więc nie lubił tego babrania przedtem.

Kogut biegał jakoszałały wzdłuż ciany stajni; zbliżał się do niego ostrożnie, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, prawie pragnąc, aby smyrznął mu koło nóg i pognął w przeciwną stronę podwórza.

Tak też się stało.

Kiedy potykając się biegi za nim, naprogu poraz czwarty ukazała się Rosa.

- Niech ojciec da spokój!

- zawołała.

- Na obiad będzie fasolę z pomidorami.

Już ją namoczyłam!

Nie odpowiedział jej.

Przydybał koguta w pokrzywach i rzucił się na niego, parząc sobie twarz i ręce.

Znowu jednak zostało mu w palcach tylko kilka kolorowych piór.

- Bardzo ojcę proszę!

- zawołała Rosa.

- Przestań!

- krzyknął.

- Idź do domu!

Kogut był znowu na kurniku.

Siedział w tym samym miejscu, co poprzednio, idęszy ciężko ze zmęczenia.

Dyszał obawiając się ten krótki odpoczynek.

Stał, jak przedtem, przy drabinie, niewidziany przez koguta, nie słyszany chyba także.

Ostrożnie postawił nogę na pierwszym szczeblu, potem drugą na drugim.

Zielona gałąź sosny przybliżyła się do jego głowy, poczuł jej żywiczny zapach, rozkołysany cień przebiegł mu po czole.

I nieoboprzybliżył się także, gdy postawił nogę na trzecim szczeblu, małe obłoczki wplątane w igliwie.

Tylko nie wdawać się w te rzeczy - pomyślał.

Przechylił się gwałtownie i zanim kogut zdolał pierchnąć, miał go w swoich rękach.

Trzymając zdobycz pod pachą, zszedł z drabiny, zerknął ku oknom domu, nie ukazała się w nich jednak czarna głowa Rosy.

Podążył znowu ku pokrzywom.

Ale zmienił zamiar.

Zawrócił kutej części płotu, która oddzielała podwórze od sadu.

Z drugiej strony rosły maliny.

Przyglądał się im przez chwilę; właściwie nigdy nie przyszło mu na myśl, żeby się im dobrze przyjrzeć.

Różowiły już, zadawa, trzy tygodnie będzie można je zrywać.

Kogut pod pachą jakbysię uspokoił, ale kiedy wzięto międzykolana, zaczął się nowu
wrywać krzyżeć.
Wyjął nóż z kieszeni
175.

i długo go obracał, nie ułożył mu się w dłoni, palce do niego nieprzywykły.
I to serce kogucie, które było w jego ciele, jakby nie przytrzymywał ręką ściśniętego między kolanami pierza i mięsa, igarstki kości, ale samo oszalałe serce bijące na trwogę.

- Zaraz, zaraz - szeptał.

- Zarazię toskończy!

Musi się skończyć, więc skończy się teraz.

I tak masz więcej szczęścia niżinni:

maliny, niebo, łagodny wiatr nie najgorsze życie poza sobą, skoromogłeś zdobyć ten kawałek ziemi, tę odrobinę ciszy i odpoczynku na koniec.

Kogut nie przestawał wrywać mu się spomiędzy kolan ispodprzytrzymującej go ręki. W drugiej tkwił nóż, niezgrabnie, ostrzem do góry, jakby to niebo, najniższy obłok, miało być zaraz zabite.

Oszalałe serce, ściśnięte kolanami przestawało walić aninachwilę.

Spod miękkich piór biło ciepło, wilgotne ciepło, może kogut się poccił ze strachu, może to byłajego zwykła właściwość.

Palce obejmowały kruchą, gnącą się we wszystkie strony szyję ptaka - żywy klaxon, nie zaprzestający wyrzucania ochrypłych dźwięków.

Gdyby trzymał tak Barkleya, Pat Robinson, tego sprzedawcę ilustrowanego wydania Biblii, wdowę po kapeluszniku czy przedsiębiorcę pogrzebowego, gdyby czuł miotające się ich serca i kruchość ich szyj pod palcami, gdyby.

Mały obłok, zaplątany dotąd w igliwie sosny, natrafił teraz na słońce i przykrył je na długą chwilę.

Płot i maliny pogrzyżyły się w cieniu, ziemia stała się czarniejsza niż przedtem.

Czekała powrót blasku, na zapalenie małych różowych latarni wśród zielonych liści.

Więc gdyby czuł szyję tamtych pod palcami, gdyby ścisnął ich rozszalałe serca.

Zwolnił z warcie kolan, lewa dłoń obsunęła się wzdłuż ciała.

Obłok odpływał z twarzy słońca, a mały ptak na niezgrabnych wysokich nogach, odskoczywszy na bezpieczną odległość od człowieka, patrzył zdumionym bursztynowym okiem, jak ogromnie ciężki kształt osuwa się na ziemię, przykrywając sobą srebrne, migocące w słońcu ostrze noża.

1964

176

Trzechmiłych Agaty

One wszystkie chcą być kochane, młode i stare, ładne i brzydkie - brzydkie może najbardziej, bo tak rzadko się zdarza, żeby ktoś zaglądał im w oczy, obejmował ramieniem, albo wyczekiwał przed domem, patrząc w ich okna.

Tak, brzydkie chyba najbardziej - na przykład Agata.

Na przykład Agata.

Nie mogłaby chyba grać Jufii nawet w najgorszym teatrze amatorskim na najodleglejszym przedmieściu, a przecież była wciąż zakochana, wciąż była zakochana, nie mogła żyć bez tego podniesłego stanu duszy, który ją uszczęśliwiał, choć same zakochania Agaty nie były szczęśliwe, a przynajmniej nie pozostawały szczęśliwe zbyt długo.

Wypłakawszy się dowoli po kolejnej utracie złudzeń w swoim pokoiku obok kuchni, znów była gotowa na przyjęcie nowego rozczarowania, ufna i przyjazna wobec losu, który nie odpłacał jej tym samym.

Kiedy Agata zaczynała śpiewać przy obieraniu ziemniaków i od rana czesała swój mysi ogonek, upinany potem misternie na czubku głowy - wiadomo było, że znów nadzieja wstępuje w jej zawsze na oścież otwarte serce.

Pan Miecio był hydraulikiem, opiekującym się z ramienia ADM-ukranami całej dzielnicy.

Uspodobienie miał fantazyjne.

Człowiek -mówił -żyje raz tak, raz tak,jak popadnie.

Na całe życie tego samego nie starczy.

Agata wpatrywała się w niego wzrokiem, jakim się patrzy na świętych wołtarzach, klucz francuski wydawał jej się możej palną w jego dłoni, a skórzana, wyszmeicowana czapeczka, której nie zdejmował przy robocie, błyszcząca wokół głowy aureolą.

Nie wiadomo kiedy to się zaczęło, ale ilekroć weszło się do kuchni, siedział już w niej pan Miecio, choć krany nie wymagały jego bezustannej opieki.

Agata promieniała.

Stawiała na stół a to śledzikaw occie, to kiełbas?

z musztardą, kotlety, albo pierś kurczęcia, uratowaną z pogromu podczas wizyty wczorajszych gości.

Pan Miecio, trzeba przyznać, nie był wybredny, apetyt dopisywał mu zawsze, roz.

mowny stawał się już po pierwszym kieliszku i jeśli to uszczęśliwiało Agatę - Boże drogi!
-jeśli to miało uszczęśliwić Agatę, kto by miał serce i odwagę jej w tym przeszkodzić?

W takich okresach żyliśmy nie oprani, nie obsprzątni, żywieni byle jak i byle czym -
Jakieś inne, wielkie zalety Agaty pozwalały nam przetrzymać ten czas bez odwoływania się
do podłej urągłej nadziei, że to przecież nie będzie trwało zbyt długo.

Irzeczywiście - wizyty pana Mięcia stawały się coraz rzadsze, niekiedy zjawiała się
doprowadzany niejako przez Agatę odsądzony, gdzieś naprawiał kran, albo zgoła z ulicy,
gdzie nie całkiem chyba przypadkowo go spotkała.

Agata popadała teraz w zamysłenia głębokie i pępne, wroztargnienia nieobecne, bardzo
odległe od wszystkiego, czym akurat wypadło jej się zajmować.

Wieczorami, w swoim pokoiku, liczyła pieniądze.

Od czasu do czasu nad garnkiem parującą zupą rzucała bolesną sentencję o wiecznym,
wszechogarniającym draństwie tego świata.

- Agato!

- mówiłam, jeśli mi się zdarzyło zaglądnąć wtedy do kuchni.

- Nie można wierzyć każdemu.

- Niemożna!

- potwierdzała gorzko.

- Ale jak nie można, to poco człowiek żyje?

Nie znajdowałam odpowiedzi.

Moje życiowe doświadczenie stawało się bezużyteczne wobec spojrzenia Agaty, wobec jej
oczu, w których obok zwątpienia była jednak wciąż nadzieja. Czas płynął teraz w
pozornym spokoju, przepłaszonym nagłymi przypadkami Agaty, kiedy nie wracała z
zakupów, albo z kościoła, a pana Mięcia nie można było spotkać nigdzie, jakby porzucił
tędzielnicę, jakby się pod ziemię zapadł.

Usposobieniemiały rzeczywiście fantazyjne, i nie starczało mu tego samego na długo.

Trzeba więc było pana Mięcia przeboleć.

Przeboleliśmy gowszyscy razem z Agatą.

Niech no się nam tylko ten drańpokaże na oczy!

- mówiliśmy przystole, a Agata z trzaskiem i szczękiem zbierała naczynia,
rozpogadzana. Jednak jakoś wewnątrz każdego z nas słowem.

Pan Mićcio jednak na oczy się nam nie pokazał, minęła zima, a nawiosnę Agata już o
nim nie myślała.

Myślała o ogrodniku, który przyszedł ścinać pierwszą trawę w ogrodzie.

Sama muto zaproponowała, gdy zobaczyła go na pobliskim skwerze, dziarsko
popychającą maszynkę do koszenia, rozebranego do pasa i przyrumienionego już ostrym,
majowym słońcem.

Świadczenie usług dla ludności odbywało się wprawdzie poza godzinami służbowymi i za
wysokim

178

żywoplotem, niemniej jednak wolałabym go uniknąć; od dawna naszym trawnikiem
opiekowała się wiecznie pijany pan Gabryś, długoi dźwięcznie ostrzący swoją kosę przed
wyruszeniem w miniaturowy obszar miejskiej zieloności - Agata jednak rozsierdziła się od
razu na pierwsze wspomnienie o Gabryścu, a to, że kiedyś po pijanemu pościła, rabaty
podepcze, a w ogóle kosi nierówno za wysoko, trawy tyle od ziemi zostawia, że już na drugi
dzień chciałoby się ją kosić od nowa.

Jasne już było, o co chodzi i co się znowu zaczyna.

Ogrodnik miał na imię Boguś, był co najmniej dziesięć lat od Agaty młodszy i to się wydawało
jakby zagrożeniem podwójnym - taki młody, ładny chłopak i nasza pocziwa Agata!

Trawę strzygł niskopryziemi, ale choć nie zostawiał jej tyle, copan Gabryś, prawie nadruzi dzień chciało się ją kosić odnowa.

Oczywiście Agacie.

Nam obskuban naszegotrawnika wydawało siężałosne, prawie nieprzyzwoite wobec natury - naga, sucha ziemiawyzierała spomiędzy króciutkich, zgilotynowanych zaraz po narodzeniu źdźbeł trawy.

Boguś ponadto śledzika nie iubił, kiełbasa z musztardą mu szkodziła, przypromiennym wyglądzie,pozornie świadczącym ozdrowiu,wewnątrz -jak mówiła Agata - coś go paliło; pozostawał więc dopodania tyłkokurczak, albocielecina, o którą wszakżebyło trudno,więc już prawie nigdy nie pojawiała sięna naszym stole, przechowywana dlaBogusiaw najodleglejszym kącie lodówki.

Tęskniliśmy zapanem Mięciem - ale tylko my,Agata wpatrywała się w młodegoogrodnikaz tak intensywnym zachwytem, z tak natchnioną radością,że nie istniał dla niej żaden inny czas poza terażniejszym.

Snuła teraz plany, których piękność, rozległość ipomyślność niemogły się pomieścić już tylko w niej samej, musiała komuś się z nichzwierzyć,i szczęścia czasem zbyt wielkiego niemożnaudźwignąćsamemu.

- On ma domna wsi - mówiła, wyłączwszy odkurzacz.

-I ogród.

Można by tamzałożyć inspekty, albo szklarnię postawić,jakbym dostała tęspłatę po matce.

- Agato.

- zaczynałam ostrożnie, ale nie dość jednak ostrożnie,bo Agata wybuchała nie dając mi dojśćdosłowa:

- Pani to sobie od razu myśli.

-Nie, nie- wycofywałam się w popłochu.

- Nic sobie nie myślę,Agato.

Na szczęście spłaty po matce nie dawało się załatwić tak prędko, rodzina w takich sprawach przestaje być rodziną, każda złotówka wywołuje namiętności, godne pióra Szekspira. Agata jedną niedzielę spędzała teraz na wsi swego miłego, gdzie oglądała miejsca pod inspekty i szklarnię, a drugą na swojej, u brata, z którym wyklócała się przynależną jej część spadku. Obiady jadalіśmy w restauracji, a niedzielne kolacje zamierzaliśmy także spożywać poza domem, żeby uniknąć opowieści Agaty, którymi nasracyła po powrocie z obydwu wypraw. Nie zdążyliśmy jednak podjąć tej decyzji, bo Agata. Co drugą niedzielę zaczęła mieć wolną, tylko do brata jeździła wytrwale, choć młody ogrodnik zdawał się już tracić nadzieję na rychłą realizację zapisu.

Później, kiedy przestał już przychodzić, a przechowywana dla niego ciećcina nadawała się już tylko do lapa, brat Agaty stał się jedynym winowajcą utraty jej szczęścia. Odzyskaliśmy Agatę na wszystkie niedziele, nawet nakłanianą do wycieczki na wieś, pomiód albo świeże jajka, nie dała się na nią namówić.

- Nic od niego nie chcę - mówiła.

- Ponić do niego nie pojedę.

Niech się udławimo ją krzywdą, niech mu kością w gardle stanie!

- Agato - mówiłam - na pewno Agata odzyska swoje pieniądze.

Imoże w bardziej odpowiednim momencie.

Milkłam pod jej spojrzeniem i odwracałam szybko głowę.

Ogrodnik pamiętany i opłakiwany był bardzo długo.

Jesień przeszła spokojnie, już nawet zaczęło się nam zdawać, że tyjemy, karmieni troskliwie, prawie rozpieszczani przez Agatę, gdy któregoś zimowego dnia.

Trudno mi do dziś zapomnieć twarz tego człowieka, gdy poraz pierwszy stanął na progu naszego domu.

- Pan Gustaw - powiedziała Agata.

Najnowszy miły naszej Agaty miał zapadłe, spłoszone oczy, wklęśnięte policzki i łysiejące skronie.

Strzepnął topniejący śnieg z lekkiego paletka, wytarł nos w brudną, wstydliwie chowaną dłoń chusteczkę.

Rozejrzał się po przedpokoju.

- Takie zimno na dworze, taki śnieg - mówiła Agata drobniutko.

Nastawiała już wodę na herbatę, otwierała kredens.

Pan Gustaw, zaproszony do kuchni, usiadł przy stole, chrząknął, zakaszłał, obciągnął za krótkie rękawy wyświeconej marynareczki, jakby krępował go widok chudych nadgarstków własnych rąk.

- Niech pan Gustaw się rozgości, niech pan Gustaw się ogrzeje - mówiła Agata.

180

Pan Gustaw znowu zakaszłał, podciągnął x tak już wypchane nakolanych spodnie i - jak przedtem poprzedpokoju - tak teraz rozejrzał się po kuchni, jakby taksując wartość sprzętów, a poprzecznie zamożność domu.

Agata otwierała już lodówkę, wyjmowała z niej wszystko, co tam było tego dnia, ale pan Gustaw - i wtedy po raz pierwszy usłyszeliśmy jego cichy, jakby onieśmielony własnym brzmieniem, głos - pan Gustaw podziękował.

- Tylko herbatę wypiję - powiedział.

- I ch-wiłę posiedzę w takim ładnym, ciepłym domu.

Nie wiem, dlaczego nie usposobiło tonas, przychylnie do pana Gustawa.

Agata z rozczarowaniem zamknęła lodówkę, a my zaczęliśmy prawie czule wspominać pana Mięcia, obdarzonego tak znakomitym apetytem, nie kryjącego się z tym, że usposobienie miał fantazyjne, że nie starczało mu tego samego na długo.

I Bogusia wspomnieliśmy także, Bogusia o gładkich, opalonych policzkach, gęstej czuprynie i łakomym, młodzieńczym sprycie w niebieskich oczach.

- Chwilę sobie tylko posiedzę - powtórzył pan Gustaw.

Wycofaliśmy się do siebie, choć nieraz zdarzało się nam uczestniczyć w wizytach, składanych Agacie przez jej kolejnych miłych - przynajmniej w tych pierwszych, kiedy mieliśmy nadzieję wywnioskować, kto zaczyna bywać w naszym domu.

Tym razem jednak sprawa wydawała się od początku nieobliczalna w sposób tak jasny i zdecydowany, że szkoda było czasu na jakiegokolwiek dociekania.

Ogarnął nas nie tylko niepokój, ale jakaś ćmiąca przykrość, że taki oto osobnik o spłoszonych oczach siedzi w naszej kuchni, że nie chce nawet nic jeść, że ma za krótkie rękawy u wyraźnie nie jego marynarki, wstydzisz się swoich chudych nadgarstków i wypchanych na kolanach spodni, że jest taki, jaki jest, że to w ogóle jest możliwe, takie istnienie, takie życie, dlaczego jeszcze nie zmienione, nie zwalczone, nie pokonane.

Pan Gustaw zaczął odtąd przychodzić wieczorami.

Staraliśmy się wtedy zawsze być w domu, bo choć różne budził w nas uczucia, pierwsza nieufność okazała się najsilniejsza, zwłaszcza że Agata nic bliższego o nim nie wiedziała, a pytana odpowiadała jasno, milknąc w pół zdania.

- Gdzie go Agata poznała?

- Usiłowałam się dowiedzieć.

Agata nie patrzyła na mnie.

Łamała palce w stawach aż trzeszczały.

- Czy można w taki czas odmówić człowiekowi trochę tegociepła.

181.

- Ależ Agato - mówiłam - to przecież.
to przecieżmoże być.
złodziej.

Agata podnosiła na mnie małe, wyblakłe, bolesne oczy.

- To co ja zrobię, proszę pani?

Co ja zrobię, jak złodziej?

Odchodziłam pośpiesznie, pokonana racją najwyższą tego pytania, na które nie mogło być odpowiedzi.

Zaczęliśmy teraz zamykać drzwi, a nawet pokoje, zawstydzeni tym, ale jednak pewni, że przezorność to konieczna i, że tylko ona pozwoliła wyjść cało z nowego szaleństwa Agaty. Zastanawiała nas cisza, trwająca w kuchni podczas tych wizyt.

Z ciekawości, którą sobie później wyrzucałam, a także z podejrzliwego niepokoju, którego niepotrafiliśmy zwalczyć, zachodziliśmy od czasu do czasu do kuchni, żeby na własne oczy zobaczyć, że to jednak było możliwe - pan Gustaw z jednej strony stołu milcząc popijał herbatkę, a Agata z drugiej, cicha, uspokojona i jakaś dziwnie godna, wpatrywała się w to jego milczenie.

Nie mogliśmy zrozumieć, co to znaczy - nie chciał jeść, nie rozglądał się za kieliszkiem, nie zaczynał rozmowy o pieniądzach, nie interesował go spadek Agaty, co to było?

Coto mogło znaczyć?

- Agato - zaczynałam porażnie wiadomoktóry - to napewnozłodziej! Po cóż byinnego tu przychodził?

Itego jużnie powinnam była powiedzieć, tego jużmi powiedziećnie było wolno.

Agatamilczała bardzo długo, a potem ściereczką odkurzu przejechała po moim biurku i nagle podniosła ją do oczu.

- Tak - powiedziała bardzo cicho.

- Poco?

Tego samego dnia wieczorem usłyszeliśmy, jak krzyczał w kuchni - wszystkim nasze podejrzliwe dociekania objawiły w ustach Agaty całą swoją krzywdzącą niestosowność.

- Niech wreszcie coś zje!

- krzyczała.

- Niech wreszcie coś powie!

Po co tu przychodzi?

Żeby taksiedzieć i patrzeć?

Żebysię rozglądać po kątach.

Pan Gustaw wstał, zdjął z wieszaka w przedpokoju swoje lekkie paletko, podniósł do góry kołnierz.

- To ja już pójdę- powiedział.

Ana dworze, jak pierwszego dnia, kiedy się tu zjawił, padał śnieg, rzucony ostrym wiatrem o szyby.

Gdy pan Gustaw otworzył drzwi, gwałtowny powiew wdarł się do wnętrza, Agata skoczyła do progu, nie wiadomo po co, żeby je przytrzymać, stanąć w nich, zagrozić drogę temu, co się miało stać- ale pan Gustaw wyszedł, wyminął ją

i wyszedł, wiatr zatrzaskał drzwi, wycofał się poza nie i zrobiło się cicho, zupełnie cicho, jeszcze ciszej niż cicho i nawet płaczu Agatynie usłyszeliśmy tego wieczora.

Po iluś tam długich, zwłaszcza wieczorami, dniach - przysła domnie i stanąwszy przy biurku powiedziała, że odchodzi.

I, że bym jej nie zatrzymywała.

Ona rozumie, że nie powinna tak nagle, że należało się wcześniej wypowiedzieć -ale nic na to nie może poradzić, musi odejść, zaraz, jeszcze tego samego dnia.

Zrozumiałam, że na nic tu się nie zdadzą moje perswazje, czy prośby, więc tylko zapytałam, kiedy już była przy drzwiach:

-1 dokąd, Agato?

Dokąd?

Nie odpowiedziała.

Spakowała się i odeszła zaraz popołudniu, wysprzątawszy przedtem mieszkanie tak, jak to miała w zwyczaju, doostatniego pyłku, do najjaśniejszego blasku wszystkich podłóg i garnków.

Nasz dom stał się od razu pusty, obumarły, bez kuchennych woni i dźwięków, bez swojej codzienności.

Wróci - myśleliśmy, patrząc na siebie.

Ale niewracała.

Któregoś dnia pod koniec zimy spotkałam ją na ulicy.

Z kim?

Aż tak - z panem Gustawem.

Nie mogłam go poznać od razu - paltomił teraz inne, stosownie do pory roku, policzki wypełnione i zupełnie nowe spojrzenie, które zmusiło moje oczy do przecięcia - Agata wyglądała teraz także jakoś inaczej, mizerniej, ale lepiej, nie; umiałabym określić, na czym to polegało, musiałam odważym się uśmiechnąć - Niech pan idzie z nami - powiedziała.

- To niedaleko - I piec już teraz mamy, jak się patrzy, i okno podwójne.

Człowieku - Jakiś sam, to mu się nie chce do niczego przyłożyć ręki, a we dwoje wszystko od razu łatwiejsze.

Dotknęła leciutko ramienia pana Gustawa, pogładziła rękaw jego płaszcza.

- Wszystko od razu łatwiejsze - Obiecałam, że przyjdę, nie teraz, ale przyjdę na pewno, żeby zobaczyć, żeby przyrzec się z bliska szczęściu Agaty.

Bo one wszystkie chcą być kochane - myślałam wracając do domu - młode i stare, ładne i brzydkie, wszystkie, każda z nas.

^to niema rady.

niech nie będzie nato rady, niech tak zostanie, niech tak trwa.

970.

Ostatni rozdział

Uważałem się za znawcę problemu.

Od szeregu lat publikowałem artykuły o tematyce młodzieżowej, a że mój własny wiek coraz bardziej zdecydowanie przechodził w stateczną dojrzałość, mogłem zdobyć się na odpowiedni dystans potrzebny do bezstronnej obserwacji.

Ten obiektywizm mąciła mi nieco bardzo agresywna obecność w moim życiu istoty nastoletniej, która pełniła w nim podwójną rolę:

była moim synem iniezaprzeczalnym natchnieniem - o czym oczywiście wiedział - wszystkich moich dydaktycznych wystąpień.

Kiedy więc pewne poważne wydawnictwo zaproponowało mi wydanie moich artykułów w obszernym zbiorze, pomyślałem - i tym razem niewolny od mego "natchnienia" - o zamknięciu tomu rozdziałem, który nie był jeszcze napisany, a który miał dotyczyć mojej własnej nastoletniej przeszłości.

Pobrawszy więc zaliczkę od wydawcy, udałem się do miasta mojej młodości, wcale nie tak odległego, jeśli się już raz zdecydowało na podróż.

W drodze ułożyłem sobie szczegółowy plan owego wspomnieniowego rozdziału, w którym widziałem szereg wypunktowanych odpowiedników, korespondujących cienko, a wyrafinowanie poszczególnymi artykułami, rozprawiającymi się o wymyślonym zjawiskiem, zwanym ogólnikowo młodzieżą współczesną.

Poprzyjeździe i po odnotowaniu dziwnego spostrzeżenia, że miasto mimo niewątpliwego rozwoju jest jakby mniejsze od moich wspomnień - udałem się, pozdrawiając znajome domy, jak żywych, tylko trochę postarzałych przyjaciół, do budynku mojej dawnej szkoły.

I ona była mniejsza, niż sobie zawsze wyobrażałem, tak mała, że aż dobudowano do niej nowe, wspaniałe skrzydło, duże i nowoczesne, przy którym ona sama wydawała się starymi trochę śmiesznie doczepionym skrzydełkiem.

Irzeka była inna, czego zupełnie nie mogłem już jej wybaczyć, ponieważ rzeka była zawsze najprawdziwszą dumą i najprawdziwszym niebezpieczeństwem wszystkich chłopców tej szkoły.

Płynęła nieopodal budynku groźna i ciemna, podbita grząskim mułem dna.

Przez wiele lat szczyciliśmy się tym, że któryś z nas się w niej utopił, ponieważ nigdy nie było pieniędzy na ogrodzenie dla szkoły i podczas wszystkich przerw ciągnęliśmy zawsze na brzeg, już choćby tylko dlatego, że nie wolno nam było tego robić.

Teraz rzeka płynęła skromna i grzeczna w rygorystycznie uregulowanym korycie i nie trzeba było wcale tak wysokiej siatki wokół szkoły, aby uniemożliwić przesiadywanie nad jej brzegiem.

Po prostunie mogła ożywić niczyjej wyobraźni.

Główne wejście do starego budynku było zamknięte, więc skierowałem się ku szerokim schodom nowego skrzydła, żalując, że nie owionie mnie owa skondensowana woń szkoły, którą spodziewałem się odnaleźć tylko w wąskim, ciemnym korytarzu, gdzie obijaliśmy sobie boki, pędząc na przerwę, lub po skończonych zajęciach.

- W tej nowszej części szkoły powitała mnie cisza i czyste powietrze dobrze wentylowanego pomieszczenia.

Lekcje dopiero co się zaczęły we wszystkich klasach i broniąca ich spokoju woźna zatrzymała mnie w drzwiach.

- Do pana dyrektora - powiedziałem, pragnąc moje spotkanie z szkołą rozpocząć od oficjalnej wizyty.

- Pandyrektor na lekcji - staruszka była stanowcza, więc przystanąłem pełen respektu przy jej krześle.

I nagle uderzyło mnie coś w Jrysach i głosie, właśnie owa nadmierna "ważność", która zawsze pokrywała zbyt miękkie serce naszej pani woźnej.

- Pani Figus?

- krzyknąłem.

Staruszka trzepnęła mnie w ramię.

- Toś ty z naszej szkoły?

- A z jakiej by innej?

Niepamiętamnie pani?

- i nie chcąc narażać pamięci starej woźnej na zbyt wielki wysiłek przedstawiłem się jej z imienia i nazwiska, z wszystkich przezwisk oraz z wszystkich ławek, w których siedziałem w tej szkole.

Pamiętała mnie.

- Popatrz, popatrz - powiedziała.

- Tak wyrosłeś.

Przyzwyczałem się już do tego, że mówiono mi: Posunąłeś się, stary!

- a w najlepszym razie: Jak ty się dobrze trzymasz!

A ona powiedziała: Wyrosłeś!

I dodała zaraz: - Ja syna zastępuję, musiał wyjechać na dwa dni.

Nie pamiętasz Bronka?

Pewnie go pamiętałem, musiałem go pamiętać, wydawało mi się, że wszystko pamiętałem z tamtych lat.

- Przecież to ty go popchnąłeś wtedy do rzeki, nie przypominasz sobie?

Mato się nie utopił.

- Utopił się Środka!

- krzyknąłem.

- I nikt go nie popchnął.

- A, to było innym razem - staruszka poprawiła się na krześle.

-A Bronka uratował pan profesor od gimnastyki.

Już nie żyje - westchnęła.

- Bardzoprzykro- bąknąłem, nie zdając sobie sprawy, ile by terazmógł mieć lat czcigodny profesor.

-A wtedy te warkocze KrysiPastulance to teżty obciąłeś'- ożywiła siępani Figus.

-Nawet nożyczki odemnie pożyczyłeś.

Tylkoczekaałam, żebyś się przyznał, że to ja ci je dałam.

- Ale się nie przyznałem!

-Nie - staruszka znowu trzepnęła mnie w ramię.

- Anoga już cięnie boli?

- Noga?

- zdziwiłemsię.

- Bo przecież złamałeś nogę, kiedy zeskokczyłeś wtedy z pierwszegopiętra.

Miałeś zostać po lekcjach -zaraz,za co to było?

Nie pamiętam.

- Schowałem okulary panu profesorowi od matematyki - szepnąłem.

-Właśnie!

Panu profesorowi od matematyki.

Też nie żyjeMilczałem, patrząc na jasny parkiet nieskazitelnej podłogi korytarza.

Staruszka znowu dotknęła mojej ręki.

- A jak ukradliście samochód doktorowi, pamiętasz?

-Tojuż nie ja-krzyknąłem.

-To Wacek,jego syn!

- Ci.

- staruszka wymownie spojrzała po zamkniętych drzwiachklas.

-Dlaczego tak krzyczysz?

-Bo pani tytkona mnie!

Tylko ja i ja-innych pani nie pamięta?

- A pamiętam, pamiętam.

Wszyscy byliście do siebie podobni.

Tylko ty się tu zjawiłeś, więc sobie przypominam.

A co teraz robisz?

- Jakto - co robię?

- bąknąłem.

-Czekam na dyrektora.

- Ale tak wogóle?

Z czego żyjesz?

Zadźwiedział dzwonek i był to najsympatyczniejszy z dzwonekówświata po najdłuższej na świecie lekcji.

Otworzyły się drzwi klas, nakorytarzu zrobiło sięod razu gwarno i tłoczno, ktośmnie popchnął,ktoś kopnął w kostkę, a do pani Figus dopadł zdyszany młodzieniec.

- Nożyczki!

- wyszeptał.

-Na sekundę nożyczki!

Sięgnęła ręką w głąb przepastnej kieszeni fartucha, i mrugnęła domnie.

-Nie bójsię.

Oniteraz obcinają tylko tarcze-Poczekaj,zaraz cięzaprowadzę do pana dyrektora.

-Nie!

- krzyknąłem.

-Nie!

Przypomniałem sobie, że mam umówioną inną wizytę na mieście.

-I kiedy gnałem po schodach, czułem na swoich plecach zdumione spojrzenie starej woźnej, która tak bardzo lubiła łobuzów wszystkich pokoleń.

1976

186

Czarny warkocz

Moja matka przeżyła swoje życie - a umarła mając osiemdziesiąt dwa lata - nosiła czarny, gruby i ciężki warkocz.

Po ojcu była Onnianką, więc ten warkocz miał czerń głęboką, aż wpadającą w granat, jak warkocz wszystkich dziewcząt spod obydwu szczytów ormiańskiej góry Ararat.

Kiedy byliśmy dziećmi - starszymój brat Zygmunt i ja - czekaliśmy każdego ranka na ową piękną chwilę, kiedy mama się czesała.

Walczyła zwykle długo z bogactwem swoich włosów, aż wreszcie poskramiała je, zaplatając zwinnymi palcami długie, sięgające poza kolana warkocz, zawiązany zawsze na końcu aksamitną tasiemką.

Pozostawał poza nią puszysty pędzelek, który biegliśmy całować, gdy mama ruchem głowy przerzucała warkocz z piersi na plecy.

Wiele miałam prawdziwie pięknych chwil w życiu, ale wspomnienie tej właśnie najbardziej grzeje serce.

Mama bardzo lubiła opowiadać o swoim dzieciństwie i młodości, w przeciwieństwie do ojca, który - nawet pytany - skąpych udzielał na ten temat informacji.

Stąd życie mamy sprzed progumoiich narodzin jest mi bardziej znane i pamiętam z niego więcej szczegółów, niż nawet z mego własnego dzieciństwa i młodości, nie wspomnianych zbyt chętnie ze względu na tragedię ojca i tę najgorszą z bied, jaką był upokarzający i ukrywany inteligentcki niedostatek, który nasza rodzina przeżywała przez dziesięć przedwojennych lat,

Mama urodziła się w Chorostkowie pod Tarnopolem w tzw.

Galicji, wchodzącej w skład c.k. Austrii, której - przy prawdziwie patriotycznym wychowaniu, jakie odebrała, nie wspominała źle.

Dziadek bowiem, choć Ormianin, był gorącym patriotą polskim i ponoć, że by nie służyć w austriackim wojsku, zmienił nazwisko Isakowicz na Isakiewicz.

W każdym razie, ilekroć zjawiał się we Lwowie na jakichś ormiańskich uroczystościach kościelnych, arcybiskup Isakowicz (poprzednik arcybiskupa Teodorowicza) zawsze mówił do niego: mój drogikuzynie, co wciąż wspominała cała rodzina.

A był dziadek raptem zwykłym gorzelnikiem w majątku hrabiego S.

,o jedną stację kolejową od Tarnopola.

Skąd się tam wziął, skąd przybył - tego mama albo nie wiedziała, albo nie mówiła o tym zbyt chętnie, bo była to opowieść niewesoła.

Dziadek Ziańko - Zenon miał na imię - i jego brat Grzegorz wcześniej zostali sierotami, wychowywali ich jacyś obcy ludzie chyba już na uchodźstwie w Polsce, gdzie wielu Ormian znalazło schronienie przed tureckimi prześladowaniami.

Wskazywałby natomiast, że dziadek - poza kilkoma wyrazami i pacierzem - po ormiańsku mówić już nie umiał.

Synów jednak ochrzcił w obrządku ormiańskim, godząc się, żeby trzy córki - pomalce Marii Czownickiej - chrzczono w obrządku rzymskokatolickim.

Wandzia, moja mama, była jedną z nich, drugą pod względem starszeństwa; poniej przyszło jeszcze na świat dwóch braci i najmłodsza siostra.

Ze wszystkich dzieci mama chyba najbardziej wdała się w swego ojca, dziedzicząc po nim wiele cech, co w dziadku budziło uczucie jakiegoś wzruszającego współnictwa - tylko mamie napełniał z wieczora lampę naftą i niósł ją na drugie piętro, gdzie były pokoje babki i dziewcząt.

Bo mama lubił w łóżku czytać, a dziadek sam był namiętnym czytelnikiem.

Przenumerował, jak to w tamtych latach było zwyczajem, książki w jakiejś księgarni we Lwowie, pożyczał też biblioteki w pałacu, dbał, żeby w domu zawsze było coś do czytania. Prawdę mówiąc, z całej piątkidzieci tylko jedna Wandzia umiała to docenić.

Dziadek resztą miał i inne pasje.

Jedną z nich była muzyka.

Grała fortepianie i skrzypcach, na gitarze i cytrze, na trąbce - właściwie na każdym instrumencie, który wpadł mu w ręce.

Tańczył! Każdy bal w Chorostkowie otwierała hrabina - z dziadkiem! Jeździł świetnie na łyżwach, rzeźbił w drewnie, no i niestety - grał w karty.

Ale z tego, jak mówiłam o sobie, nie zaglądał do kieliszka.

Gorzelnik, mający każdej chwili do dyspozycji nieograniczoną ilość alkoholu, piłytko wina, sprowadzane w beczkach z Dalmacji, co w Austrii - Dalmacja wchodziła w jej skład - nie było żadnym luksusem.

Dziadek lubił chyba także.

pleć piękną.

Stąd też żadna nauczycielka, sprowadzana zwykle z Tarnopola lub Lwowa, a ucząca całą piątkę dzieci (do szkoły było daleko), nie zagrzewała długo miejsca w domu Sakiewiczów.

Babka była zazdrosna i panie zmieniały się często, adzieci uczyły się grać na fortepianie, na cytrze, francuskiego lub niemieckiego, zależnie od kwalifikacji pozyskanej akurat siły pedagogicznej.

Mamie resztą język niemiecki tak naprawdę przydał się

188

tylko raz w życiu.

- Podczas wojny (pierwszej światowej oczywiście), kiedy jej męża, a mego ojca, wcielono do austriackiego wojska, a pułk stacjonujący gdzieś na Morawach, dokąd rodziców zaniósł podczas wojennej ucieczki, miał być wysłany na front włoski - mama zapakowała ojca do łóżka, a sama udała się na dworzec, odnalazła w tłumie kłębiącego się wojska samego pułkownika i oświadczyła mu nieskazitelną niemiecką, że.

mąż źle się czuje i na front - nie pojedzie.

Po czym takim mogło nastąpić tylko rozstrzelanie.

Ale nie nastąpiło.

Może pułkownik nie miał już czasu nadać toku sprawie, bolokomotywa wyrzucała na boki kłęby pary i pociąg drżał już całym swoim żelazem, a może wzruszająca wydała mu się ta zapłakana bruneteczka z warkoczem po dziewczęcemu przerzuconym przez ramię - dość, że ojciec przeleżał kilka dni w łóżku, a potem jakby nigdy nic, udał się do intendencji, w której "pisał" jako jednoroczniak (w naszym wojsku podchorąży) i w dodatku okularnik, z zezwoleniem mieszkania na mieście z żoną i kilkumiesięcznym synkiem.

A że front włoski był jednym z najgorszych frontów w pierwszej wojnie światowej, co zresztą odnotował sam Hemingway, pasjami lubiący bić się w Europie, mówiło się potem w rodzinie, że mama uratowała ojcu życie, z czego oczywiście była bardzo dumna.

Ale zanim do tego doszło, było cudowne dzieciństwo, a później panieństwo Chorostkowie - kiedy dziś o tym myślę i współczesną przykładam do tych dni miarę, wydają mi się prawie bajkowe.

Trudno wyobrazić sobie dziś kierownika gorzelnicy, który mógłby zapewnić swojej rodzinie -

licznej!

- taką stopę życiową.

Albo więc hrabia Stak hojnie wynagradzał swoich pracowników, albo też czasy były takietanie i na wiele można było sobie pozwolić w żywej i zasobnej Austrii - na służbę i domowe nauczycielki, pięknie urządzone mieszkanie, na przyjęcia wyprawiane często i hucznie.

Dziadkowie mieszkali w nowym domu przy gorzelnicy.

Wybudowany solidnie i - jak na tamte czasy i galicyjskie miasteczko - całkiem okazałe, odgradzał sobą ogród od zabudowań gorzelnicy.

Miał trzy kondygnacje - na dole była ogromna kuchnia, spiżarnia i pomieszczenia gospodarcze oraz pokój, w którym się jadało, gdy nie było gości, na pierwszym piętrze w dużym pokoju dziadkowie urządzili salon z królującym w nim fortepianem, w mniejszym była "gościńska" jadalnia, na drugim piętrze znajdowały się pokoje babki i dzieci, dziadek miał swój pokój na terenie gorzelnicy, gdzie nie sięgała czujność babki, więc grywano tam w karty nieraz do rana.

Byłam w tym domu tylko dwa razy.

Pierwszy raz w drodze do Zaleszczyk na wakacje u ciotki Maryni, siostry ojca - mogłam mieć wtedy najwyżej pięć lat, i drugi raz, kiedy miałam lat dziewięć i kiedy akurat podczas naszego pobytu umarła babka.

Dziadek zresztą też już do kilku lat nie żył i był to zupełnie inny dom niż ten, zachowany w wspomnieniach mamy.

Przed wszystkim - życie towarzyskie!

Dziś trudno sobie wyobrazić, żeby w takiej miejscowości można było tak się bawić, tak "bywać", rewidować się, urządzać majówki w lecie i kuligi w zimie.

Dopisowanych przyjęć należały zawsze świąteczne śniadania.

Ponieważ łączyło się to z ogromem pracy - choć była kucharka, babki torty i ciasta piekła zwykle sama - panienki raz buntowały się i przysięgały, że następne święta urządzią bardzo skromnie.

Był zwyczaj, że po niedzielnej sumie całe grono znajomych spotykało się na plebaniu księdza Głowińskiego.

i tam właśnie zaprzyjaźnione panie ogłaszały swój bunt kulinarny.

Że to bez sensu!

Tyle pracy, a potem trzeba namawiać wszystkich do jedzenia!

Trzeba z tym skończyć raz na zawsze!

- Najgłośniej zarzekała się zawsze serdeczna przyjaciółka babki, chrestna matka mojej mamy - piękna i zalotna wiedeńska, żona potentata dóbr Freiera - I potem przychodziły święta i wszyscy pierwszego dnia jawiali się u Freierów.

A tam indyki z kasztanami pieczone prosięta, ryby i wędliny wszelkich gatunków, dziczyzna, torty, kremy, smakołyki.

Widzisz!

mówiła babka do dziadka, gdy wracali z przyjęcia.

Ładnie bym wyglądała, gdybym jej uwierzyła!

Bo następnego dnia zbierano się u dziadków.

I babka serwowała z dumą swoje słynne dania:

auszpiki - z indyka, prosięcia, gęsich wątróbek i cielęcych mózdzków, pasztety paszteciki na zimno i na gorąco, musy z kur ("Moussede Yolaille") i raków, szyneczki Lukullusa, nie licząc wędlin, ryb i pieczonego zależnie od sezonu.

Na deser podawano torty: słynny wiedeński tort Sachera, tort Fedora, tort Dobosz, tort z białej czekolady (nawetnie wiem, co to jest) migdałowy zwykły i Katalani, hiszpański, kruchy z marmoladą morelową, pistacjowy zwany tortem "Vert-Vert".

Tak.

Mam do dziś książkę kucharską babki, odziedziczoną po mamie, która umiała jeszcze wszystkie torty robić, ale potem zapomniała w okresie biedy - własnej (bezrobocie ojca) i ogólnej (wojna).

Ja robię już tylko na święta orzechowy i kruchy z morelami, nazwany na cześć mamy tortem "Wanda".

Reszta - pozostaje w przepisach.

i 90

Między świętami odbywały się oczywiście pomniejszych przyjęcia, zwłaszcza gdy młodzież podrosła i po "łyżwach" (dziadek za gorzelnią urządził szluzgawkę) całą gromadą ciągnęła do dziadka.

Zasiadał wtedy do fortepianu grał wszystkie najmodniejsze tańce - znut, albo ze słuchu, bo ten miał naprawdę znakomity - Po nuty dla siebie i mamy, gdy umiała już dobrze grać, wybierał się zwykle aż do Lwowa.

Którejś zimy, ubrany w czarne futro z krymkowym (karakułowym) kołnierzem i taką czapkę, wszedł na dworcu do lwowskiego tramwaju.

Usiadł nagle i widzi, że na przeciwległym krańcu długiej, ciągnącej się wzdłuż wozu, pustej ławki - siedzi jego brat Grzesio w takim samym futrze i czapce, i z taką samą po hiszpańsku przyciętą brodką i wąsami, Ormianie zresztą wszyscy byli do siebie podobni.

Ot, bisurman!

pomyślał dziadek.

Nie mógł napisać, że się wybiera do Lwowa, pojechalibyśmy razem.

- Ale uśmiechnął się jednak do młodszego brata, a on uśmiech oczywiście odwzajemnił.

A że tak niespodziewane spotkanie było jednak czymś bardzo radosnym, wstali z wyciągniętymi ramionami skierował się do brata, który także ruszył ku niemu.

Zbliżyli się tak do siebie manifestując rodzinne uczucia, aż się okazało, że to wcale nie Grzesio uśmiecha się i podąża z wyciągniętymi ramionami do dziadka, ale on sam.

do swego dobicia w lustrze, zdobiącym w tamtych latach lwowski tramwaj.

Na potańcówkach bywali też gorzelniarze praktykanci, przysyłano dziadka na przeszkolenie.

Zdarzali się wśród nich "obywatelscy synowie" - młodzi ziemianie z Kongresówki, którzy w dobrach hrabiego S.

pogłębiali swoją gospodarską wiedzę.

Jeden z nich "asystował" mamie, kiedy z podlotka całkiem wyraźnie stawiała się panną na wydaniu.

Zawsze był przy mamie, gdy chodziło się na łódki (staw) w lecie, na grzyby do Dębiny jesienią, wreszcie zimą na ślizgawkę tańce po niej.

Był to światowy i uroczy chłopak i mamie także śmiały się do niego oczy.

Ale między spotkaniami z konkurentem wciąż namiętnie oddawała się lekturze - co w rezultacie stało się przyczyną fiaska wcale już wyraźnych matrymonialnych planów.

Kiedy bowiem w swoim pokoiku na drugim piętrze pochłaniała "Nędzników", czy "Hrabiego Monte Christo", młodszy brat mamy, Janek, cicho podchodził pod drzwi i pukał, delikatnie i wytwornie.

Mama słowiczym głosem wołała: Proszę!

a on wpadał wtedy do pokoju i parskając triumfalnym śmiechem.

Któregoś dnia wszakże tegoż dnia mamie się sprzykrzyły i kiedy odezwało się delikatne pukanie, najpierw się w ogóle nie odzywała, a w końcu wrzasnęła; Zabieraj się stąd, gówniarzu!

I pocałuj mnie w dupę!

Wyładowawszy złość na braciszku, powróciła do lektury, ale zastanowiło Ją, że zamiast idiotycznego śmieszku, za drzwiami trwałaśmiertelna cisza, a potem powolne kroki zeszyły na dół i umilkływstępując w ogród.

Zerwała się wyjrzała przez okno - zupełnieśmartwiałażobaczyła, jak ścieżką między dwoma rzędami bukszanówpomyka ów czarujący obywatelski syn z Kongresówki, który -tak odprawiony- miał się potem nigdy już w domu przy gorzelni niepojawić.

Dziś taki incydent wyjaśniono by jednym telefonem.

Ale w tamtych czasach, mój Boże!

Panna nigdy by się nie przyznała, że z jej ust wyszły takie epitety, a młody człowiek - że je usłyszał.

Nie wyszła więc mama z ziemianina z Kongresówki, czego może nie żałowała, bo wkrótce "trafił" jej się ktoś inny, długo śmiertelnie była zakochana, aż w końcu oddała rękę mojemu ojcu, który odbił ją tamtemu panu.

A czasy były wciąż migdałowe i pistacjowe, Austria pękała od wspaniałego i taniego żarcia, babka porywając któreś dzieci do sklepu mówiła: Masz tu pięć centów, biegnij do Sławy po pomarańcze.

- Stara Żydówka Sława (nie wiem, czy to było nazwisko, czy imię) zawsze miała pomarańcze i w ogóle wszystko, cała miasteczko zaopatrywała się u niej.

Jeśli zjawiali się niespodziewani goście, a w domu było akurat dawno po świnobiciu i spiżarnia świeciła pustkami, ratunek można było znaleźć w sklepie Sławy, o ile oczywiście był już zamknięty i jego właścicielka nie chrapała pod betami.

Zdarzyło się tak właśnie któreś zimowej nocy, kiedy "z kolei" przyjechał narzeczony starszej siostry mamy.

Na strychu wisiały tylko kabanosy - To znaczy - powinny były wisieć, bo gdy poszło się po nie, okazało się, że wcale ich tam nie ma.

Wracając ze strychu ukraińska dziewczyna, pomocnica kucharki, wciąż jednak nadeptywana coś naschodach.

Poszła po świecę i wtedy zobaczyła, że były to kawałki kabanosów rozwłócone i ponadgryzane przez koty.

Ponieważ jednak nic innego nie było w domu, babka przycięła je szykownie, ozdobiła grzybkami i korniszonami i w takim garniturze pojawiły się na stole.

O tym, że dostał na kolację kabanosy niedojedzone przez koty, a jeszcze w dodatku podeptane przez Olesię - wuj dowiedział się dopiero po ślubie.

Ostatni konkurent mamy nie musiał dojeżdżać do swojej ukochanej.

Był namiejsu.

Chyba w 1908 roku nastąpił do Chorostkowa nowy nauczyciel, Władzie Krzycki - szatyn "słusznego" wzrostu, młodziutki i całkiem niewinny, o czym świadczył choćby fakt, że po ślu 192

bie z moją mamą przez cały tydzień spał osobno, czemu położyła wreszcie kres młodsza siostra mamy, Maneczka, całkiem jeszcze wtedy smarkata, która oświadczyła: Dosyć tego!

Przenoszę rzeczy Władka do pokoju Wandy!

- i tak oto uzyskaliśmy, brat mój i ja, szansę na pojawienie się na tym świecie.

Kiedy ojciec wkroczył w życie mamy, nie była ona - jak już wspomniałam - uczuciowo wolna.

Ten Kazik, jednak u swojej matki wdowy, z pokaźną kamienicą w Tarnopolu, pojawiał się potem przez całe życie przy najbliższych sprzeczkach rodziców.

Mama mówiła - ale nie zawsze żartem - ja miałam innego!

Dlaczego niedawałaś mi spokoju?

Kazik, choć tak bardzo kochał, jakoś się jednaknie deklarował, może właśnie ze względu na tę kamienicę powinien był według życzenia matki - ożenić się z panną odpowiedniozamożną, a Wandzia Isakiewiczówna nie miała posagu, dziadkowiez trudem gromadzili dla trzech córek skromną wyprawę (każda dostała m. in. meble dotrzech pokoi, własnoręcznie rzeźbione przezdziadka według sprowadzanych z Wiedniawzorów).

Władzie Krzycki, jak zawsze bezinteresowny, za posagiem się nieogłądał. Ukończywszy seminarium nauczycielskie w Zaleszczykach. zjawił się wChorostkowie i od razu stał się w tej miejsciniejakbyanimatorem kultury. Z dziadkiem, akompaniującym mu nafortepianie, grywał na skrzypcach pieśniSchuberta, założył teatr amatorski, w którym oczywiście zaczęła występowaćmojamama. Ztakimwarkoczem. Czyż można było sobie wyobrazić inną Anielęw "Ślubach panieńskich"? Bo ojciec uwielbiał Fredrę. Sprowadził zeLwowa 13-tomowe wydanieGebethnera i Wolffa, zawierającewszystkie jego sztuki (. Jedyne zupełne wydanie dzieł znakomitegopoety" - głosił napis na stronie tytułowej). Mam do dziś jeden z tomów tego wydania, podpisany rękąojca. Jak inni młodzi ludzie, zaczął nowy nauczyciel bywać w domuprzy gorzelni, gdzie ani tańczyć, ani jeździć na łyżwach -na ślizgawce za gorzelnią- się nie nauczył, ale za to wyjątkowo zdolny okazałsię - do kart. Naszczęście, nie grał nigdy tak namiętnie, jak dziadek,który psuł zwyklecórkomwszystkie bale. Bo jak tu się bawić, kiedywiadomo, że w pokojuza salą balowądziadek gra - i przegrywa! Natychbalach ojciec mój, niestety,byłzupełnie doniczego, nie umiałtańczyć, deptał po palcach, mama wstydziła się za niego. Odzyskiwała dobry humor,gdy ojciec dosiadał konia. A jeździł często,odkąd zapisał siędo "Sokoła". Kiedy Chorostków wystawił banderiedla uczczenia pięćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem - ojciec.

wyglądał na koniu wspaniale w pięknym mundurze z kurtką przewieszoną przez jedno ramię - i mama wreszcie to dostrzegła.

Po ślubie rodzice przenieśli się do jakiejś innej miejscowości. w której pobyt mama wspominała bardzo dobrze.

Milutka i Jkrainka i Nastka odciążała ją od zajęć domowych, a życie towarzyskie kwitło tutaj.

Zaprzyjaźniono się od razu i z księdzem i ruskim popem, ludziewokół byli serdeczni.

Ojciec miał ukochanego koguta, którego Nastka przynosiła mu zawsze rano do łóżka na dzień dobry.

Tego koguta i trochę rzecz) osobistych zabrali rodzice ze sobą.

gdy wybuchła wojna zaczął się zbliżać rosyjski front.

Wrócili do dziadków (kogut przeżył w Chorostkowie całą wojnę i piał tak, że było słychać w najdalszych punktach miasteczka), a stamtąd w miarę posuwania się frontu - do Gródka Jagiellońskiego, gdzie mieszkał brat dziadka Krzyckiego.

Tam jednak niedługo popasali, mama spodziewała się dziecka, nie wiadomo dlaczego decydowała się dalej uciekać w tym stanie, skoro cała rodzina nieruszała się z miejsca.

W Gródku Jagiellońskim została na peronie cały bagaż rodziców, w tłoku i panice dostali się do pociągu "do figury" i tak wyruszyli w nieznaną.

Brat mój, Zygmunt, późniejszy nauczyciel fizyki i wieloletni dyrektor Liceum Ogólnokształcącego w Kole, urodził się "po drodze" w Nowym Sączu.

Matka w tych przejściach długo nie mogła urodzić, w mieście nie było żadnego lekarza, więc ojciec mój pobiegł nad rzecze, gdzie wyładowywano rannych z frontu, i - w błocie i krwi - ukląkł przed lekarzem wojskowym, prosząc go, żeby poszedł razem z nim do rodzicielki.

W trzy czy cztery dni po porodzie trzeba było jechać dalej.

Dopiero gdzieś na Morawach rodzice zatrzymali się na dłużej i przeżyli kilka spokojnych miesięcy nawet wtedy, kiedy ojca powołano do wojska.

Na front włoski ze swoim pułkiem, jak już wspominałam, dzięki mamie nie pojechał, a w osiemnastym roku, gdy Austria odzyskała Galicję i zaczęła organizować polskie szkolnictwo na tych terenach, skorzystał z pierwszej okazji, żeby się "reklamować".

Zdecydował się pojechać do Siennowa pod Przeworskiem, gdy tylko zaproponowano mu tam szkołę.

W tej szkole, już "za Polski", przyszedł na świat, w tej szkole w dwudziestym roku podczas potoczno-ukraińskiej walki o Lwów znaleźli schronienie dziadkowie Isakiewiczowie i Krzyccy, tam też dziadek Ziańko niespodziewanie zmarł.

Nigdy nie lubił się leczyć.

Z musu poddawał się badaniom jakiegoś sławnego profesora z Wiednia, który przyjeżdżał do Chorostkowa do hrabiny.

Biegł wtedy do go

rzelnik lokaj z pałacu i zadyszany wołał; Pani hrabina prosi!

Pan profesor przyjechał! Profesor zapisał dziadkowi jakieś lekarstwo, które zrobione w aptece okazało się drobnymi kuleczkami we wcale okazałym pudełku.

Dziadek miał to lekarstwo regularnie zażywać, ale zażył raz, drugi, trzeci i zapomniał o nim.

Aż tu po jakimś czasie biegnie znów lokaj z pałacu: Pani hrabina prosi!

Pan profesor przyjechał!

- Dziadek przypomniał sobie o lekarstwie, wygarnął całą zawartość pudełka na dłoń, połknął, popił wodą i popędził do pałacu.

Profesor znalazł dziadka w doskonałym stanie.

Zażył pan całe lekarstwo?

- spytał.

Zażyłem - wyznał dziadek, bo to była prawda.

No, widzi pan - uśmiechną się profesor - od razu znać poprawę.
Serce jak dzwon, oko błyszczące!

Od tej pory nie brał dziadek żadnych lekarstw i umarł całkiem samodzielnie w Siennowie, gdzie też został pochowany.

Napogrzeb przyjechała hrabina S.

, która także w ucieczce przed Ukraińcami zatrzymała się opodal w swoim majątku rodzowym. Kiedy mama dziękowała jej za obecność na pogrzebie dziadka, powiedziała: Jakżeby mogła nie przyjechać?

Przecież to był mój ulubiony danser!

Przed śmiercią dziadek zawołał mamę i szepnął: Pamiętaj, Wandziu, Jeśli tam coś jest, to przyjdę i ci powiem.

Nie przyszedł.

W Siennowie moi rodzice spędzili dwa albo trzy lata; właściwie nie wiem dlaczego tam się wyjechali - zawsze wspominali Siennów z rozrzewnieniem. Kiedy po wielu, wielu latach - bodajże w 1970 roku - odwiedziłam Siennów, pan Michał Piątek, były kierownik szkoły, który nastąpił zaraz po moim ojcu i dosłużył się tam emerytury, zawołał: Pan Krzycki miał takie piękne pismo!

Zaraz panicoś pokażę!

- i przyniósł przechowywany przez niego zeszyt w twardej oprawie, w którym mój ojciec kaligraficznym pismem odnotowywał wszystkie wydarzenia od pierwszego dnia powstania Państwa Polskiego.

- Prawie oszalały z patriotycznego szczęścia oddał podczas zbiórki skarb państwa - prócz ślubnych obrączek - całe posiadane złoto: zegareczek, bransoletkę, wyjściowe kolczyki i pierścionki mamy, swoją dewizkę i te złote guldeny, ofiarowane przez dziadka Krzyckiego jako prezent ślubny.

Raz tylko mama wspomniała o tym w okresie bezrobocia ojca, kiedy w domu nie było nawet złotówki.

Już nigdy potem nie poruszała tego tematu.

Z Siennowa wywieźliśmy dwa cenne nabytki: młodocianą naszajniańkę - Kaśkę i uroczy kundla Mirtka.

Razem z nimi przenieśliśmy się do Grzybna aż pod Toruń, gdzie ojciec popadł od razu w zatarg z księdzem Niemcem, który po niemiecku głosił kazania.

i uczył dzieci religii.

W końcu ojciec uzyskał prawo nauczania religii, ale to oczywiście nie poprawiło stosunków z proboszczem.

Szkołą była tuż przy kościele i przed każdym pogrzebem trumnę z nieboszczykiem stawiano nam pod oknami, gdzie czekała, aż ksiądz wyjdzie z plebanii, a nie wychodził bardzo długo. Porachunkite wyrównywał jedynie Mirtek, który zwykł się czepiać zębami księżowskiej sutanny.

gdy proboszczosobiście - z brewiarzem wdłoni - zaganiał swoje bydło z pola do obory.

Mirtek uwielbiał ten rodzaj zabawy.

Trzymając w zębach spódnicę Kaśki, jeździł swoim futrzanym tyłeczkiem popodłódze, gdy Kaśka tańczyła razem z nami wokół studni, wybudowanej przez nią pośrodku kuchni z sosnowych polan.

Czasem oddawała się jednak poważniejszym zajęciom.

Kaśka, a nie ojciec, nauczyła czytać mego brata, co on - namiętny pożeracz książek - dodziś wspomina z wdzięcznością, Jana naukę czytania byłam jeszcze za mała i dopraszałam się tylko czytania na głos, a Kaśka spełniała rolę dzisiejszej telewizyjnej "dobranocki".

Kiedy ojciec wygrał konkurs na kierownikanowej 7-klasowej szkoły w Kole (do dziś najbardziej okazały budynek w tym mieście), Kaśka już tamz namijechać nie chciała.

Tęskniła do rodziców, do Siennowa i trzeba ją było w końcu wyprawić do domu.

Płakaliśmy oboje z bratem, jak bobry.

Po utracie Kaśki moja mama nigdy już nie chciała mieć tzw- pomocy domowej.

Dopóźniej starości wszystkim robiłam samą prawdę mówiąc, nikt jej nie potrafił dogodzić.

Kiedy już po wojnie (tym razem drugiej, oczywiście) przyjeżdżałam z Wybrzeża do rodziców, zawsze usiłowałam mamie pomóc, a żemówiło się, iż nic nie potrafię (a potrafiłam, przysięgam! szczyliłam się i szczycę tym, że jestem całkiem niezłą gospodynią) - brałam się za czynności najprostsze.

Siadałam na krzesła, które potem stało się przyczyną śmierci mamy, przysuwałam sobie koszyczek z ziemniakami i bardzo starannie zaczynałam je obierać.

Jeszcze nigdy nie widziałam - mówiła mama - żeby ktoś siedząc obierał kartofle.

Kulinarne talenty mamy zostały w Kole należycie ocenione.

W byłej Kongresówce nie pieczono nigdy tortów, tylko placki drożdżowe a mama pierwsza święta wystąpiła od razu z dziesięcioma tortami z kucharskiej książki babki.

Drzwi się więc dosłownie niezamykały, aż ten nadmiar gości rozproszyłam w końcu ja - we własnej pięcioletniej chyba osobie.

Mianowicie, usłyszawszy raz, jak biedna mama wzdycha zażywając w kuchni proszek od bólu głowy:

Mój Boże!

Żeby oni już wreszcie poszli, tak mnie strasznie boli głowa!

wa! - wkroczyłam do pokoju i obwieściłam ku przerażeniu bawiącego gościa ojca:

Mama mówi, żebyście już wreszcie poszli, bo mamę strasznie boli głowa.

Pierwsze lata w Kole były pogodne i szczęśliwe.

Mieliśmy piękne mieszkanie z dużą łazienką (był to pierwszy budynek w Kole z kanalizacją; w ratuszu, w którym później zamieszkaliśmy, stale była zepsuta), gdzie mama szorowała nas po zabawach na rozległym dziedzińcu wokół szkoły.

Ojciec zarządził, żeby wzdłuż płotu dzieci szkolne zasadziły akacje.

My też mieliśmy swoje drzewko ze starannie pielęgnowanym pod nim klombem.

Dziś są to już stare drzewa i lekko jestem w Kole, patrząc nie ze wzruszeniem.

Sprawunki załatwialiśmy w sklepie pani Biefickiej przy ulicy "rTo. ruńskiej.

Były tam zawsze czekoladowe cukierki Braci Howieckich(fabryka, która z powodzeniem konkurowała z Wedlem); kiedy jednak niezmiennie dostawaliśmy je w paczkach od św. Mikołaja, zaczęliśmy słusznie podejrzewać, że kryje się w tym jakiś szwindel, jao cztery i półroku młodsza od brata, skłonna byłamwyobrażać sobie że św.

Mikołaj nie chcąc obciążać się ogromnym woremna dalekądrogę znieba,zakupy robił na ziemi, właśnie w pobliskimsklepiepani Bielickiej.

Brat mój jednak uważał, żeto po prostu ojciec kupujecukierki, a św.

Mikołaj to w ogóle lipa, wmawiana dzieciom, żebyprzy tej okazjidać im kilka nauk.

Kiedy wygadał się z tym przedmamą, wcale nie uznała za słuszne zaprzeczać, powiedziała tylko, że skoro jesteśmy tacy mądrzy, to już nic nie będziemydostawać na św.

Mikołaja.

Mama zresztą jakośbez przesady traktowałaśprawy religijne.

Nigdy na przykład niechciała się zgodzić, żebymsypała kwiatkiw oktawie Bożego Ciała.

Ja szalałam, widząc, jak inne dziewczynkiw krakowskich strojach podążają do kościoła zkoszyczkami pełnymikwietnych płatków,aleniie wskórałam nic u mamy.

Kiedy przystępowałamdo pierwszej Komunii iwszystkie moje koleżanki z mamamiudawały się na tę uroczystość do klasztoru oo.

Bernardynów, mojabyla akurat chora, co zresztą zdarzało się jej niezmiernie rzadko.

Poszła ze mną natomiast do fary na bierzmowanie i nigdytegonie mogła odżałować.

- Siedzącw pierwszej kościelnejławce zobaczyłabowiem, jak biskup w asyście księży zatrzymujesię przed jej córką zaraz potem powstaje jakieś zamieszanie i bieranina, klerycy pędzą

do zakrystii i wynoszą stamtąd śnieżne ręczniki, którymicoś,

kogoś gwałtownie wycierają - jej dziecka pośród tego wszystkiegonie widać,więc mama rzuciła sięna ratunekw obawie, że może

zasłabłam z przejęcia, czy też długiego stania w kościele.

Tymczasem wcale nie zasłabłam, wprost przeciwnie - kiedy biskupowi podano naczynie ze

olejami, żeby zanurzył w nim palce, nim zdążył touczynić, ja w niezwykłym przypiływie energii i pomysłowości wpakowałam w nie obydwie paluchy, aż chlapnęło! Mama mała nie zemdląca ze wstydu.

Poszturchiwała mnie przez całą drogę do domu ile dowie się powstrzymała, żeby w dniu bądź co bądź takuroczystym nie spuścić mi porządnego lania.

Bijała nas zwykle ręcznikiem, albo kuchenną ścierką, co było dla nas szczytem upokorzenia.

Obrywaliśmy przeważnie za zbyt późnego powrotu do domu, gdy łowiliśmy rybki w rowach, albo ślizgaliśmy się na podmokłych, a zamrzniętych w zimie łąkach.

Dziś te tereny wokół szkoły są zabudowane i wszystko inaczej tam wygląda, ale też napewno dzisiejsze dzieci są mniej szczęśliwe, pozbawione zabaw, wędrówek przygód.

Choć owiele młodsza od brata, włóczyłam się stale za nim, co w końcu nie zawsze go cieszyło, chłopcy śmiali się z niego, że siostra za nim lata.

Przeskakiwał więc nieraz wysoki płot wokół szkoły i uciekał przede mną.

Ale ja, jak piesek, szarpałam pod płotem dziurę i z rykiem gnałam za nim.

Przystawał wtedy i czekał na mnie, a kiedy się z nim zrównywałam, dawał mi kilka potężnych klapsów w nadziei, że zawrócę do domu.

Gdzie tam!

Biegłam dalej, mimo że wciąż się zatrzymywał, żeby mi spuścić lanie.

- Nigdy nie miałam o to do niego żalu, wspominając tylko piękne chwile.

On nauczył mnie pacierza i kołęd, które śpiewaliśmy krążąc do upadłego wokół choinki, on - tak, jak jego przedtem Kaśka - nauczył mnie czytania.

Rodzice chętnie chyba patrzyli, jak ich obowiązki wobec młodszego dziecka przejmuje starszy syn.

I żylibyśmy sobie w tej szkole, jak u Pana Boga za piecem, gdyby nie to, że panu inspektorowi bardzo się podobała - bunda naszego ojca.

Było to długie futro, nieodzowne dawniej w podróży.

Pan inspektor uznał, że bunda bardzo by mu się przydała na polowania.

Pożyczył więc ją raz - oddał.

Pożyczył drugą raz - oddał.

Pożyczył poraz trzeci - i nie oddał.

Mijały miesiące, bunda nadobrze zadomowiła się u pana inspektora.

Mama błagała ojca: nie upominaj się!

Ale on się jednak upomniał.

Pan inspektor, owszem, bundę oddał, ale w Jego oczach ojciec, jako kierownik szkoły, nie miał już tylu zalet, co dawniej.

Stosunki wyraźnie zaczęły się psuć - i ojciec przyjął propozycję kandydowania w wyborach na burmistrza miasta Koła.

Wybrano go nim - na nieszczęście.

Poprosił w Ministerstwie Oświaty o bezpłatny urlop i przeprowadziliśmy się do ratusza, gdzie kanalizacja była wiecznie zepsuta, a myszy skakały po głowie, mama

- nim weszła do kuchni - stuknęła zawsze w drzwi łaską, żeby je wypłoszyć.

Kotanie mogliśmy trzymać, bo Mirtek sobie tego nie życzył.

Zaczęli teraz bywać u nas inni goście, którym także bardzo smakowały galicyjskie torty mamy.

Poza tym ojciec jeździł niekiedy w sprawach miasta do Warszawy, skąd przywoził nam babki śmietankowej pączki od Bliklego, a mamie nuty, jak dziadek dawniej ze Lwowa, ale nie były to już walce Straussa, czy pieśni Schuberta, tylko operetki Kalmana, albo piosenki ówczesnych gwiazd kabaretu.

Ojciec w ogóle lubił podróżować.

Z Siennowa na przykład dwa razy jeździł do Wiednia i Budapesztu, z Koła najczęściej wybierał się do Łodzi - gdzie było województwo - do Warszawy, lub Poznania.

Mama siedziała w domu, bo ktoś musiał zostać z dziećmi, może resztą nawet nie przepadała za podróżami.

Uwielbiała zatokino, teraz mogła chodzić na film każdego tygodnia (raz na tydzień zmieniano program, co utrzymało się chyba w Kole do dziś), bo z ratusza było bardzo blisko do budynku starego teatru przy dwóch - spalonych potem przez Niemców - synagogach.

i w ratuszu więc mogliśmy żyć, jak u Pana Boga za piecem, ale zaczął się słynny kryzys i wraz z nim manifestacje bezrobotnych, którym - ubogie przecież miasto - nie mogło zapewnić zatrudnienia.

Uruchomić pieniądze na ten cel, rozpocząć jakieś roboty publiczne mogły tylko starostwo, czy ówczesny sejmik, który był formą samorządu powiatowego, Starosta jednak, gdy ojciec łączył się z nim telefonicznie w takich wypadkach, kazał zwykle rozpędzać manifestacje przy pomocy policji; miejska komenda i areszt mieściły się na parterze ratusza.

Ojciec nigdy tych rozkazów, czy rad, nie posłuchał, aż raz, gdy manifestacja szczególnie przybierała na sile, poszedł z bezrobotnymi do starostwa, żeby razem z nimi domagać się rozpoczęcia robót.

To wystarczyło.

Starosta stracił do ojca całą sympatię i zrobił z niego groźnego "komunistę", niegodnego piastowania jakiegokolwiek stanowiska.

Kiedy skończyła się trzydziestoletnia kadencja i nadeszły następne wybory, kazał - pod jakimś pretekstem, lub zgoła bez niego

- zamknąć dwóch radnych, o których się wiedziało, że będą głosować na ojca.

Zamiast na sali obrad na pierwszym piętrze, siedzieli w areszcie nadole, przerażeni takimi objawami praworządności.

- Ojca jednak mimo to na burmistrzów wybrano.

Ale według obowiązującej ordynacji wyborczej wybór ten musiał zatwierdzić wojewoda.

I nie zatwierdził.

Nie musiał się tłumaczyć, dlaczego.

Ojciec zresztą jeszcze wtedy nie za bardzo się tym przejął.

Oczywiście, nie mógł się pogodzić z krzywdą i niesprawiedliwością, jaką w jego ukochanej Polsce spotkała, nie tak sobie wyobrażał życie i stosunki społeczne w kraju po odzyskaniu niepodległości - ale trudno, wszystkie idee realizowane są przez ludzi, a ci w końcu bywają różni; ojciec złożył podanie w Ministerstwie Oświaty i Wyznań Religijnych z prośbą o powrót do nauczycielstwa po bezpłatnym urlopie, jakiego mu udzielono.

i teraz dopiero nastąpiło bolesne rozczarowanie - do nauczycielstwa wrócić mnie pozwolono, Dostał nawet pismo z ministerstwa, przechowywane potem w papierach rodzinnych - tzw.

wilczy bilet, w którym wyraźnie napisano, że "niemożna uczyć na całym terenie katolickiej Polski".

Mój ojciec, który miał prawo nauczania religii, który nigdy nie położył się spać bez odmówienia pacierza 'Wydawało się to niemożliwe, wołające o pomstę do nieba!

Rozpoczęło się więc pisanie próśb o ponowne rozpatrzenie sprawy - do ministra, do prezydenta, do marszałka.

Nie rozpatrzyli, nie pomogli.

Nastąpiło dziesięć lat inteligentnej, skrywanej nędzy i upokorzenia, walki nie tylko o chleb i dach nad głową, ale i o naukę - w Kolebyto tylko prywatne gimnazjum (z bardzo wysokim czesnym), z którego nas wciąż wyrzucano, gdy czesne niewpłynęło do szkolnej kasy.

Nie chcę tego tu opisywać, przypisałam te przeżycia bohaterowi mojej książki "Powrót do miejsc nieobecnych"; w tym wspomnieniu interesuje mnie tylko mama, jej cierpienie, jej oddalenie się od ludzi, którzy bezpośrednio lub pośrednio byli autorami coraz to nowych objawów naszej tragedii.

Przestała wychodzić z domu.

Nie chciała nikogo widywać, z nikim rozmawiać.

Zacząła intensywnie, obsesyjnie prawie tęsknić do Małopolski, wyobrażając sobie, że tam nic podobnego nie mogłoby się wydarzyć.

Zapomniała, że pan inspektor, od którego zaczynała się ciągnąć nasza nieszczęść, był właśnie Małopolaninem.

Myślę, że w tamtych latach tęskniła również do nieznanych jej przecież miejsc wszelkiej szczęśliwości u stóp ormiańskiej góry Ararat.

Dziś to wszystko należy do przeszłości, ostatecznie zamkniętej jej śmiercią - Wojna, na szczęście, obeszła się z nią nie najgorzej.

Brata i mnie wywieziono wprawdzie na roboty przymusowe do Niemiec, ale cóż to znaczyło przy cierpieniu innych matek?

-- Powojnie przeżyła mama jeszcze ponad dwadzieścia lat w względnym dobrobycie i spokoju. Cieszyła się naszymi sukcesami,

o zmartwieniach przynajmniej moich nie wiedziała.

Nigdy niewciążałam rodziców w moje smutki.

Pisałam do nich tylko o dobrych sprawach i dobrych ludziach, których los pozwolił mi spotkać.

Przy śmierci mamy, niestety, nie byłam i do dziś rozrywa mi się serce na tę myśl. Spadła z tego chybliwego krzesła w kuchni, na którym ja przysiadłam obierając ziemniaki; mimo próśb, żeby tego nie robiła, weszła na nie, chcąc postawić coś na górnej półce w spiżarni. Spadła i złamała nogę w biodrze, a potem umierała długo w szpitalu z nogą na wyciągu, a ja nie mogłam wciąż przy niej siedzieć, bo miałam jakieś swoje ważne sprawy (jakie sprawy mogą być ważne, kiedy umiera matka?)

) i nie wiem, nie wiem, nie wiem, costoło się z jej warkoczem, który jej tam w szpitalu przed śmiercią obcięto.

Dziś, kiedy to piszę, sam jestem młodą kobietą i myślę coraz częściej o tym miejscu, które już mam pod wysokimi drzewami na sopockim cmentarzu, ale- choć to bez sensu, bo i świat może w każdym momencie rozpaść się na kawałki- tak bardzo mi wciąż żal tego kruczego, ormiańskiego warkocza mojej matki.

1983